

... nam tatko kazał zbierać jabłk

WSPOMNIENIA PODLOTKA

OPOWIADANIE

Z 50go WYDANIA POWIEŚCI KLEMENTYNY HELM

NAŚLADOWANE

PRZEZ

ZOFJĘ BUKOWIECKĄ

Z CZTEREMA RYCINAMI

WARSZAWA
NAKŁADEM I DRUKIEM M. ARCTA
1901

Дозволено Цензурою.
Варшава, 20 Сентября 1900 года.

I.

DO WARSZAWY!

Tak, miałam jechać do Warszawy! spełniało się nareszcie marzenie moich lat dziecinnych. Dotąd nie znałam żadnego większego miasta, a chociaż bardzo lubiłam wieś — bo któżby jej nie lubił, zwłaszcza, że Lipowce są doprawdy śliczne—pragnęłam gorąco zobaczyć to miasto, o którem kuzynka Klarcia opowiadała mi za każdą swą u nas bytnością.

Do Warszawy zabierała mnie z sobą siostra ojca, ciocia Paulina, którą kochaliśmy wszyscy, głównie z opowiadań rodziców, bo dopiero pierwszy raz bawiła u nas dłużej na wsi.

Ciocia była wdową, nie miała własnych dzieci, ale wychowana w Warszawie, najchętniej tam przebywała, otoczona pamiątkami po rodzicach i mężu, bo dom, w którym mieszkała, należał dawniej do dziadunia, to jest do ojca taty.

Stara nasza służąca, Marjanna, oddawna straszyła nas ciocią, mówiąc, że to pani z miasta, przy-

zwyczajona do różnych grymasów. Tak mówiła Marjanna, i my, dzieci, bałyśmy się trochę, czy potrafimy dogodzić kochanemu gościowi. Ale gość był ze wszystkiego zadowolony, chwalił nasze wiejskie przysmaki, a co najważniejsza, pomagał mamie w każdem zajęciu.

Wkrótce też oswoiliśmy się z cioteczką, a obawa zamieniła się w zachwyt, bo nikt z nas nie widział dotąd osoby tak miłej i tak wdzięcznej w każdym ruchu, jak ciotka Paulina. Nawet moi młodsi bracia mniej byli przy niej hałaśliwi, a mała Maniusia zakochała się w cioci z Wasiawy, bo Maniusia nie umie jeszcze wymawiać r i przekręca dużo wyrazów. Maleństwo! toż ma dopiero czwarty rok; czy też urośnie, zanim wrócę do Lipowiec?

Ale przedewszystkiem powinnam zacząć swoje wspomnienia podlotka od powiedzenia wam, nieznane moje towarzyszki rówieśnice, dla których kreślę te słowa, kto jestem i jak się nazywam. Wszak prawda, że to najprzód zrobić wypada?

Jestem Kostunia Boleska, mam lat piętnaście, a nawet zaczęłam już rok szesnasty; rodzice i rodzeństwo nazywają mnie Kocią, tatko często roztrzepanicą, bo niestety, bywam bardzo żywa, a mama zwykle starą, gdyż prócz brata Jerzego, który uczy się w szkole realnej, ja jestem najstarszą w domu. Mam dwie siostry: trzynastoletnią Władzię i małą Maniusię, którą wszyscy pieścimy. Moi dwaj młodsi bracia są bliźniakami i kończą lat dziewięć; ja to uczyłam ich czytać.

Kiedy po naradzie rodziców z ciocią postanowiono mój wyjazd do Warszawy, ucieszyłam się niezmiernie tym projektem. Nadzieja zobaczenia większego nieznanego miasta, a także myśl, że brać będę lekcje od profesorów, przejmowały mnie szczęściem, bo bardzo lubię się uczyć.

Ale gdy nadszedł dzień wyjazdu, gdy musiałam żegnać kochanych rodziców, rodzeństwo, Lipowce, o! wtedy poznałam dopiero, jak ciężko mi będzie rozstać się z tylu drogiemi osobami i z miejscem rodzinnem, w którem kochałam każde drzewo i każdy zagon.

Wiedziałam przecież, że za pół roku, na wiosnę, wrócę do Lipowiec; powtarzała mi to mama, pocieszając mnie, a jednak płakałam rzewnie, gdy żegnałam rodziców, rodzeństwo i służących.

Wszyscy wyszli przed dom: ojciec, mama, bracia, siostry; wszystko to mnie całowało po raz setny i ja ich wzajemnie. Nareszcie ciocia siadła do powozu, mnie pociągnęła za sobą, Jasiek furman strzelił z bata, i ulubione nasze kasztanki, którym nieraz nosiłam cukier, ruszyły galopem. Wtedy już łez powstrzymać nie mogłam.

Obejrzałam się; wszyscy przesyłali mi ręką pocałunki, a potem zdaleka jeszcze powiewały chustki, któremi moi najdrożsi przesyłali mi z ganku ostatnie pozdrowienie. Straciłam ich wkrótce z oczu, bo powóz skręcił do wsi; patrzę, a tu znajome kobiety powychodziły przed chaty, one także chciały pożegnać odjeżdżającą panienkę, a dzieciaki wiej-

skie posyłają mi od ust całusy swemi małemi zasmolonemi ręczynami.

Te oznaki życzliwości zrobiły na mnie takie wrażenie, że chętnie byłabym zaraz powróciła. Bo ileż razy odwiedzałam tę wieś z moją kochaną mateczką! ileż wspomnień łączy mnie z temi nizkiemi dworkami, na których progu siadywałam otoczona dziećmi, rozdając im nieraz owoce z naszego sadu!

A teraz rozłączam się na długo ze wszystkiem, co miałam najdroższego na ziemi; zostawiłam poza sobą dom swój rodzinny, ojczulka, mateczkę, rodzeństwo i naszą wioskę kochaną.

Są może piękniejsze na świecie okolice; dla mnie wszakże nie mogło być droższej, ani ładniejszej miejscowości nad Lipowce. Nie jechałam jednak sama, miałam za towarzyszkę podróży cioteczkę kochaną, ona to zabierała mnie z sobą do Warszawy; przy jej boku biedny nieśmiały podlotek będzie stawiał pierwsze kroki wśród nieznanego sobie obcego świata.

Widząc, że staram się wstrzymać łzy, wzięła mnie ciocia za rękę i sama wzruszona, próbowała uspokoić rozżaloną siostrzeniczkę słowami pełnemi dobroci, które, jak piękna muzyka, koiły mój żal. Ale właśnie powóz zawrócił ku gościńcowi i na zakręcie drogi ujrzałam po raz ostatni Lipowce. Czerwona wieża kościołka, szary dach naszego domu, nizkie chaty, tulące się wśród drzew, przesuwały się kolejno przed mojemi oczami.

Wtem dojrzałam zieloną okiennicę w pokoiku na

górze, gdzie zwykle odbywałam lekcje z mamą; wydało mi się nawet, że widzę białą chustkę, powiewającą wysoko, ale lipy zasłoniły mi dom rodzicielski. Wybuchnęłam płaczem, a potem, zasunięta w kąt powozu, myślałam o moich ukochanych.

Ciocia nie przerywała mej zadumy, ona także z żalem żegnała brata, którego widywała rzadko. Jasiek popędzał żwawo konie, więc choć obie smutne, bardzo prędko znalazłyśmy się u pierwszego celu naszej podróży, to jest na stacji, skąd kolej zawieźć nas miała do Warszawy.

Do Warszawy! Tyle razy marzyłam o zobaczeniu tego miasta, ale w tej chwili Warszawa nawet stawała mi się obojętną. Myślałam tylko, że rozstać się muszę z poczciwym Jaśkiem i z ulubionemi kasztankami. — Oni wrócą do Lipowiec, a ja... powtarzałam sobie w duchu.

Wysiadłszy z powozu, po raz ostatni nakarmiłam konie cukrem. Jasiek zniósł nasze podróżne kuferki do sali, podziękował cioci za srebrnego rubla, którego dostał przy pożegnaniu, pocałował mnie w rękę, co mi się dotąd nigdy nie zdarzyło, i siadł na kozieł.

Za chwilę poczciwy nasz stary powóz, starszy daleko ode mnie, bo tatko kupił go przed ożenieniem, znikł w tumanach kurzu wtedy właśnie, kiedy na peronie rozległ się pierwszy dzwonek.

Wkrótce ruszyliśmy, a mnie się zdawało, że mi ktoś zabrał wszystko, co mam najdroższego w ży-

ciu i że ja od nich czemprędzej uciekam. Jednak podróż wśród nieznanej okolicy, urozmaicona opowiadaniami cioci, która o każdej miejscowości ciekawe wiedziała szczegóły, zrobiła swoje, bo oderwała moje myśli od smutnych wrażeń poranku w wagonie. Zajmowali mnie różni, często zabawni sąsiedzi.

— A może oni także tęsknią za temi, których zostawili w domu?... pomyślałam nagle, i znów zrobiło mi się smutno na sercu, ale dobra ciocia, jakby odgadując, że potrzebuję pociechy, wyjęła pudełko, w które mama nakładła ulubionych przezemnie łakoci.

Kochana mama! nawet zdaleka dawała dowód swej pamięci.

— A jej córeczka? — spytacie.

Córeczka była jeszcze, przyznać muszę, tak dziecinną, że z radością powitała migdałowe obwarzanki i jedząc je, połykała zarazem łzy, które przed chwilą cisnęły się do gardła.

* * *

Warszawa! Nie, nigdy nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie zrobił widok tego pięknego, wspaniałego miasta. Tyle się o niem uczyłam w geografji, tyle razy czytałam o Warszawie w historji, a teraz miałam na własne oczy zobaczyć te cuda, ja wieśniaczka, która nigdy nie widziałam żadnej stolicy!

Od Skierniewic stałam wciąż w oknie, chcąc jaknajprędzej ujrzeć Warszawę, ale dojazd nie zachwy-

cił mnie bardzo. Dopiero gdy na ganku przed dworcem zobaczyłam szereg latarń, oświecających ulicę Jerozolimską, kiedy obił się o moje uszy szum dorożek, pędzących po Marszałkowskiej ulicy, wtedy uwierzyłam, że jestem w dużem mieście. Ogłuszona, na pół przytomna, spoglądałam po wielkich kamienicach, podziwiałam piękne wystawy sklepów i zdawało mi się, że czteropiętrowe olbrzymy patrzą dumnie na mnie, biedną wiejską dziewczynę, która ich ogromu ocenić nie umie, a śmie rzucać się zuchwale w kipiące morze ludzkie, co się u ich stóp rozbija.

Tymczasem ciocia, ze zwykłą dobrocią, nazywała z kolei ulice, przez które przejeżdżała nasza dorożka. Tu i owdzie zwracał moją uwagę jakiś gmach pamiątkowy, kościół piękny, pomnik we wspomnienia bogaty. I znów ciocia w paru słowach dawała objaśnienia, od których serce moje biło gwałtownie, bo inna to rzecz uczyć się historji z książki, a inna widzieć własnemi oczyma te miejsca, te mury, które...

No, ale nie mogę szczegółowo pisać o wszystkiem, co odczułam w ów pamiętny wieczór mego do Warszawy przyjazdu. Dorożka zatrzymała się nakoniec przed domem niższym od innych. Tu właśnie mieszkała ciocia, a ja uczułam się swobodniejsza myśląc, że dwa, nie cztery piętra, sterczeć będą nad moją głową; tak mnie przerażały te murowane olbrzymy, których dotąd nigdy nie widywałam.

Na wsi, mój Boże! tam się wszyscy znają, są blizko siebie i pomagają sobie w potrzebie. W Warszawie inaczej: tu ludzie są obcy, nietylko na ulicy, ale i w domu, bo też każdy dom setki mieszkańców mieści. Nawet piwnice, w których na wsi szczury tylko przebywają, tu służą za lokale dla ubogich rodzin. Zgroza przejmuje pomyśleć o tem, a przecież jest tak niezawodnie.

Dom cioci miał jednak niewielu mieszkańców i o radości! przy domu był ogród, bardzo mały, ale graniczący z innemi ogrodami. Widziałam z okna zielone gałęzie drzew, zupełnie jak w rodzicielskim dworku, i patrząc na nie, zapomniałam, że o kilka kroków płynie ulicą obcy mi tłum ludzi, że w Warszawie turkot dorożek nigdy nie ustaje.

Tu więc, w tym domu, miałam żyć i czuć się szczęśliwą, chociaż wszystko było mi obce, i dom, i miasto i jego zwyczaje.

Nigdy nie zapomnę wrażeń pierwszej godziny. Wchodziłam na schody z bijącem sercem, bo też takich schodów nie widziałam dotąd. Na wsi marmur uchodzi za rzecz rzadką i kosztowną, tu deptałam go bez ceremonji, biegnąc za ciotką i za służącą, niosącą nasze pudełka. Ciocia otworzyła przede mną drzwi do przedpokoju, ale ja stanęłam na progu, olśniona elegancją mieszkania, i nie śmiałam zdjąć płaszczyka.

Wszystko było tu tak piękne, że biedny podlotek stracił zupełnie głowę.

Gdy nareszcie zdjęłam ubranie i kapelusz, ciocia

wzięła mnie za rękę, wprowadziła do pokoju i posadziła obok siebie na kanapie, a potem powiedziała łagodnie:

— Jesteśmy zatem w domu. Pragnę bardzo, byś się w nim czuła szczęśliwą, droga Kociu, uściskaj więc ciotkę i bądź swobodną. Będę się starała, aby nam obu było razem dobrze!

Mówiąc tak, przytuliła mnie do siebie, a ja zrozumiałam, że przy boku ciotki Pauliny muszę stać się lepszą, że jeśli na jej miłość zasłużyć potrafię, łatwo tu odzyskam swoją wesołość i będę szczęśliwą.

Razem więc, jak dwie siostry, bo ciocia w obejściu ze mną miała swobodę jakby starszej siostry, uporządkowałyśmy swoje rzeczy, a potem oglądałyśmy mieszkanie.

Było ono duże, wygodne, pięknie urządzone; ale mnie uderzyła przedewszystkiem wielka czystość, panująca w całym domu.

W końcu weszłam i do kuchni. Jakże ta kuchnia była inną od wiejskich, gdzie nieraz miotła i ścierka mało są w użyciu! Zarumieniłam się. Co też ciocia pomyślała o naszej wiejskiej kuchni, tak niepodobnej do tutejszej?

Po raz też pierwszy przyszło mi na myśl, że dobre wychowanie polega przedewszystkiem na delikatności uczuć. Przez czas pobytu na wsi ciocia stosowała się we wszystkiem do naszego życia, nie ciężąc nikomu.

A nie była to grzeczność pozorna, którą się przy-

wdziewa dla gości, jak nowe ubranie; nie, ciocia ani razu, powtarzam, ani razu nie zrobiła nam przykrości, zaznaczając różnice naszych zwyczajów. Różnica jednak była bardzo wielka, widziałam to na każdym kroku, choć pierwszego wieczora uderzyła mnie ona najwięcej w kuchni. Tu świeciło się wszystko, od podłogi do rondli; możnaby sądzić, że nikt nigdy nie stawia ich przy ognisku, tak błyszczały na półce.

Dobra ciocia pokazywała mi swój dom, nie robiąc żadnych uwag, ani porównań; mnie zaś zachwycała harmonja, panująca we wszystkich szczegółach. Nie było nic olśniewającego, nic rzucającego się w oczy, a jednak myślałam, że tak, nie inaczej, powinno być urządzone mieszkanie osoby rozumnej i wykwintnej.

Śmieszna zarozumiałość, prawda?.. Bo czyż znałam się na tem?.. Pewnie że nie, ale przywykłam na wsi do prostoty, i tę samą prostotę, tylko milszą, bo wykwintniejszą, znajdowałam w mieszkaniu cioci.

A nietylko w mieszkaniu cioci samej, ale i w całem jej zachowaniu leżało coś, co budziło we mnie podziw, jak piękna muzyka, lub jak widok pięknej natury.

Co to było?.. nie wiedziałam, ale zachwycało mnie w cioci wszystko, zarówno jej głos, jak i sposób mówienia, zarówno wdzięk ruchów, jak i rodzaj ubrania, chociaż ubierała się bardzo skromnie. Patrząc na ciocię myślałam nieraz, że tak właśnie,

a nie inaczej, każda kobieta chodzić, mówić i obracać się w towarzystwie powinna.

Potem, poznawszy ją bliżej, zrozumiałam, że sekretem uroku, jaki rozpościerała koło siebie, był rozum i serce, które opromieniało ją samą i wszystko, do czego rękę przyłożyła.

Ale chociaż w pierwszej chwili czułam, że serdecznie pokocham ciocię Paulinę, byłam jednak niemniej zakłopotana myślą, czy ja, biedny wiejski podlotek, potrafię zadowolnić taką wykwintną, tak dostojnie wyglądającą osobę, chociaż była moją ciocią, a zatem tak blizką krewną, względem której zwykle nie bardzo się żenujemy.

W naszym dworku, wśród młodszego rodzeństwa nie przychodziło mi nigdy do głowy czuć się onieśmieloną brakiem towarzyskiej ogłady. Trudno o nią w skromnem, pracowitem kółku rodzinnem, gdzie matka, zmęczona gospodarstwem i opieką nad liczną gromadką dzieci, nie ma czasu na przestrzeganie drobnych szczegółów dobrego wychowania. Zwłaszcza kochana nasza matka, której słabe zdrowie wymagało ciągłych starań, czyż mogła podołać pracy nad liczną dzieciarnią, choć o sobie dla nas zapominała?

Biedna mama martwiła się nieraz, że, zastępując ją często w gospodarstwie, nie mam czasu uczyć się i tracę dobry układ.

Ja i tak nie pojmuję, jakim sposobem rodzice mogli nauczyć mnie wszystkiego, co umiem, a jeśli umiem mało, moja to, a nie ich jest wina, bo oni

poświęcali dla najstarszej córki wiele starań i pracy.

Trzeba także i to dodać, że moja mama poszła bardzo wcześnie za mąż i nigdy już potem nie miała czasu dokończyć przerwanych ślubem nauk. Żałowała tego zawsze, tem więc goręcej pragnęła dla mnie dobrych lekcji, o które na wsi tak trudno. Brałam je jednak razem z bratem przez lat kilka od nauczyciela, który przygotowywał Jerzego do szkół. Umiałam zdaniem tatki dużo i porządnie, ale pan Uliński, chociaż bardzo zresztą poczciwy, więcej dbał o tabakę, niż o dobry układ elewów. A to martwiło mateczkę.

Droga mama! gdybym pod względem łagodności i dobroci potrafiła być do niej podobną! Nic więcej nad to nie żądam i proszę Boga, abym umiała naśladować jej cnoty i dać tyle szczęścia innym, ile go ona wszystkim daje.

Ale moja mateczka jest bardzo dla siebie surowa, więc nie ufając własnym siłom, marzyła zawsze o moim pobycie w Warszawie, a że nikt lepszą niż ciotka Paulina nie mógł mi być przewodniczką w dalszem kształceniu i poznawaniu świata, to pewne.

Wielka też była radość w Lipowcach, kiedy rodzice otrzymali wiadomość, że ciocia przyjedzie w maju z projektem zabrania mnie na dłuższy u niej pobyt. Mama kocha ciocię Paulinę, jak siostrę; zaraz więc zaczęto robić przygotowania do mojej podróży, i oto byłam już u jej celu, byłam w Warszawie pod troskliwą opieką tej cioci.

Muszę jednak wyznać, że opieka ta, w pierwszych dniach szczególniej, nieraz bardzo mi ciążyła. Straciłam zupełnie dawną swobodę i czułam się nieszczęśliwą, jak nigdy na wsi. Tęskniłam do moich drogich, których tak daleko zostawiłam, a przytem byłam przygnębiona i zniechęcona, bo mimowoli porównywałam wykwintne obejście cioci z drewnianą sztywnością mojej osoby.

To porównanie i chęć naśladowania cioci czyniły mnie właśnie niezręczną. Nie umiałam np. siedzieć spokojnie, bawiłam się wciąż różnemi przedmiotami: frendzlą fotela, serwetą, lub widelcem, jeśli to było przy obiedzie, trzęsłam nogą, lub podrzucałam pantofelkiem brzeg sukni.

Spojrzenie cioci ostrzegało mnie, że źle czynię, a wtedy nagle traciłam zupełnie swobodę. Wrodzona nieśmiałość odbierała mi resztę odwagi; każde poruszenie, każde przejście przez duży salon, dywanem pokryty, było prawdziwą dla mnie męczarnią. W Lipowcach nie zastanawiałam się nigdy nad swoim układem; tu czułam, idąc, że ciocia patrzy na mnie, jak na dziwoląga; chcąc być bardzo correcte, szłam wykrygowana, do kija od szczotki podobna, a czerwieniłam się na każdym kroku, jak typowa koza. Odpowiadałam zaś na pytania cioci same niedorzeczności.

Boże! gdy sobie przypomnę, ile tych niedorzeczności zdążyłam popełnić i wymówić w czasie kilku pierwszych dni pobytu mego w Warszawie! Biedna ciotka Paulina dawała mi ciągle dowody cier-

pliwości swej i wyrozumiałości; bo że ją gniewać musiało moje zachowanie, to pewna. Jednak dobrocią swą dokonała cudu; jak śnieg pod wpływem promieni słonecznych, topniała moja nieśmiałość, odzyskałam wrodzoną wesołość, a jeśli jeszcze i potem popełniałam tysiączne błędy lub niezręczności, to robiłam to przynajmniej ze zwykłym mi dawniej swobodnym rozmachem.

Brałam też bury, oj brałam! a do tego przyczyniała się wrodzona moja żywość i roztrzepanie.

Ciocia powiedziała mi pierwszego dnia, że szczerze zawsze napominać mnie będzie. No, do tej szczerości dawałam kochanej cioci szerokie pole! Ale też muszę sobie oddać sprawiedliwość, że odważnie przyznawałam się do winy i że, pomimo złych rad, jakie miłość własna podsuwała mi niekiedy, umiałam zdusić bunt fałszywej dumy podlotka.

Choć ciężko mi było nieraz na sercu przy słuchaniu napomnień ciotuni, w duszy mówiłam sobie pokornie «mea culpa», jak braciszek Kazio z ministrantury powtarza.

Pomimo to kochałam ciocię z każdym dniem więcej, z każdym też dniem łatwiej spełniałam jej życzenia.

Dziś patrzę na wspomnienia pobytu w Warszawie, jak na chwile odległej przeszłości, ale ród podlotków nie zaginął; żyją i kwitną biedne nieśmiałe dziewczyny, które, jak ja, nieraz gorzkie przechodzą chwile.

Wiem z doświadczenia, ile kolców was czeka, wy piętnasto i szesnastoletnie moje siostrzyczki, wiem, jak wam nieswojo wśród dorosłych, którzy z góry patrzą na nieśmiałą pensjonarkę; dla was też ku pociesze i umocnieniu pisać będę dalej o dziejach mego występu na świat warszawski, kiedy pod skrzydłem cioci ja, żółtodziobek, pierwsze, nieraz niezgrabne stawiałam kroki.

II.

PIERWSZY DZIEŃ.

— Będziemy sypiały razem — powiedziała ciotka Paulina w ów pamiętny pierwszy wieczór mego pobytu w Warszawie.

Skończyłam właśnie pisać list do kochanych rodziców, skropiwszy go łzami tęsknoty.

Weszłyśmy do dużego pokoju, w którym prócz łóżka cioci stało drugie przygotowane dla mnie.

— Ach! jakże tu inaczej, niż u nas w domu! — pomyślałam.

Dziecinny pokój, gdzie sypiałam dotąd, nie był wcale podobny do wysłanej dywanem i zastawionej pięknemi meblami sypialni cioci. Chcąc upiększyć przeznaczony dla mnie kącik, ciocia kazała zawiesić nad mojem łóżkiem białe firanki, które je zupełnie zasłaniały. Podziękowałam serdecznie cioteczce za jej dobroć, ale w tym wspaniałym pokoju czułam się obcą, pewnie dla tego, że nie było w nim Władzi i Maniusi, które dotąd ze mną sypiały,

— Kto teraz Maniusię rozbierać będzie? — myślałam, bo zwykle ja właśnie kładłam siostrzyczkę do łóżeczka. Kochana maleńka!.. nie zobaczę jej dziś, nie zobaczę ani ojca, ani mamy.

Wśród tych myśli i tęsknoty piękna sypialnia cioci wydała mi się ponurą, jak więzienie.

— Muszę jednak być odważną—powiedziałam sobie, i chcąc ukryć smutek przed bacznem okiem cioci, zdjąwszy z siebie sukienkę i spódniczki odrazu, rozebrałam się prędko, zapomniawszy ułożyć swoje rzeczy każdą z osobna i gładko na krześle. Przytulona do poduszki, płakałam gorzko za firanką, której wartość teraz dopiero oceniłam należycie. Osłoniła mnie ona przed ciocią, a ja przecież swoim smutkiem zmartwić jej nie chciałam. Przez okno i przez roletę padał na dywan jasny blask księżyca.

— On świeci i w Lipowcach, zawołałam prawie głośno, bo zdawało mi się, że po srebrnej smudze spływa do mnie pieszczota drogich rodziców, że oni jeszcze siedzą na ganku i patrząc na księżyc, rozmawiają o swej najstarszej córce, która tu do nich śle swe łzy i tęsknotę.

— Oddalona, tylko modlitwą pomódz im mogę — pomyślałam, i uklękłam pod białą firanką.

Drzewa ogrodu szumiały, jakby to było w Lipowcach, a ze słowami pacierza w serce wstąpił spokój i pociecha.

Zmęczona płaczem, przytuliłam głowę do poduszki i zasnęłam, żeby śnić o naszym ogrodzie,

o Władzi i Maniusi, o moich swawolnych braciszkach, słowem o wszystkich ukochanych, do których nigdy nie przestanę tęsknić.

Musiałam spać mocno i śnić wyraźnie, skoro nazajutrz po obudzeniu, długo nie mogłam sobie przypomnieć, gdzie się znajduję.

Zielony pokój, gdyż taki był kolor obicia i dywanu w sypialni cioci Pauliny, świegot ptasząt za oknem i słońce, które poprzez zielone gałęzie drzew rzucało jasne promienie na sufit i ściany, wszystko to mnie dziwiło i mieszało się w umyśle moim. Nawet w uszach brzmiały mi jeszcze głosy rodzeństwa, o którem marzyłam przez sen. A jednak rzeczywistość oddalała mnie od nich o całe mil dziesiątki.

— Przecież jestem w Warszawie — pomyślałam nareszcie i westchnęłam głośno, ale tak głośno, że odchyliwszy firankę, spojrzałam na łóżko cioci w obawie, czy jej nie obudziłam. Ale kochana ciocia już nie spała i patrzyła na mnie życzliwie; nie wiele też myśląc, wyskoczyłam z pościeli i pobiegłam utulić się przy jej sercu.

— Czy dobrze spała moja siostrzeniczka? — zapytała kochana ciocia, okrywając mnie szalem, który leżał na kołdrze.

— Doskonale, całą noc śniły mi się Lipowce i rodzeństwo.

Pomimo jednak rozbudzenia, ziewałam głośno.

— Musisz być jeszcze śpiącą, Kostuniu; połóż się, może uśniesz; jeszcze jest wcześnie.

— Nie jestem śpiącą, widzi ciocia, że już wstałam.

— Prawda, ale widocznie zbyt rano, bo ziewasz tak głośno i otwierasz buzię, jak gdybyś mnie połknąć chciała.

Ciocia Paulina mówiła do mnie z wesołym i serdecznym uśmiechem; zrozumiałam jednak, że jest to pierwsze napomnienie i w duszy postanowiłam uprawiać odtąd sztukę ziewania w sposób mniej głośny.

— Jeżeli nie jesteś śpiąca, to czas nam wstawać, Kostuniu — powiedziała kochana ciocia. Widocznie to znaczyło, że mam wracać do swego łóżka.

— Ptaszek wyfrunął, a gniazdko zostawił — żartowała ciocia, wskazując spiętrzone spódniczki ponad resztą tualetowych przyborów.

Teraz dopiero spostrzegłam ubranie, które od wczoraj leżało przy mnie częścią na krześle a c...
ścią na ziemi.

Zawstydziłam się, bo za taki niepo...
ma byłaby mnie wyłajała.

Nie zdarzy mi się to już w...
siadając na małym stołeczku
czochy. Ale widocznie ...
sposób ubierania.

— W tym kostjum...
steś, Kostuniu, do ...
drodze swoje chud...
gając boso. Dla te...
ko firankami, żeby...
za niemi przy ws...

kładziesz pończochy, nie wytrzepawszy ich nawet poprzednio z wczorajszego kurzu.

Biedna panna Konstancja popełniła więc już trzy niedorzeczności, czy niestosowności. Niby to głupstwo trzy numery, a przecież wstawałam dopiero z pościeli; ileż ich zatem narachuję, nim nadejdzie wieczór i będę mogła znowu skryć swój wstyd za firankami łóżka?

Tymczasem jednak trzeba było kończyć ubranie, które w domu zresztą zajmowało mi bardzo niewiele czasu.

Wystraszona otrzymanemi napomnieniami, pode-
nieśmiało do umywalni i końcem ręcznika,
ego w wodzie, obmyłam twarz i szyję,
iar potem się umyć na dobre.

was na wsi trudno o wodę, że jej
isz? — powiedziala ciocia, podcho-
walni i wskazując miednicę,
do połowy nie była napeł-

i — odpowiedziałam nie-

ła dużo wody, ko-
czystości. Tak,
kąp nigdy — mó-
jest tyle wody,
; mydła żało-
ilości spotrze-
kulturalność
więcej przy-

czynisz się do wyrobienia dobrej o nas opinji. Masz tę gąbkę na wyłączną swoją własność, weź ją i umyj się zaraz cała od stóp do głowy, to bardzo zdrowo. Ale sama musisz przynieść sobie wody z kuchni, bo niema już wiele w dzbanku, a Wiktorja poszła na pocztę.

Podziękowałam cioci i pobiegłam z dzbankiem do kuchni. Nigdy dotąd nie widziałam kranu wodociągowego; sądziłam jednak, iż otworzę go z łatwością. Musiałam przecież zbyt szybko obrócić rączkę, bo woda trysnęła z takim impetem, że straciłam głowę i zamiast podstawić dzbanek, zatkałam otwór palcem. Naturalnie woda tryskała i oblewała wszystko naokoło; szczęściem właśnie w tej chwili weszła służąca i wybawiła mnie z kłopotliwego położenia; sama nie byłabym się zdecydowała odjąć rękę od kranu.

Zalana cała, wróciłam do sypialnego pokoju i stosownie do rozkazu cioci rozpoczęłam knajpowanie.

Pierwsza jednak próba wypadła bardzo niepomyślnie: gąbka zbyt nasiąknięta i niezręcznie przezemnie trzymana, ociekała strumieniami; ustępując przed zalewem, wywróciłam dzbanek, który postawiłam na ziemi, zamiast na umywalni, a chwytając go z przestrachu, przewróciłam i parawan.

Ach! któż opisze, co się teraz działo! Umywalnia, dywan, firanka łóżka, nawet krzesło, na którem złożyłam ubranie, pływało w wodzie.

— Brawo, Kostuniu! — wołała ciocia, nadbiegając z drugiego pokoju (szczęściem zdążyłam już

narzucić na siebie bieliznę) — to się nazywa być kulturalną! Jeśli w tym samym stosunku spotrzebujesz mydła, statystyka czystości polaków podskoczy o kilka procentów. Tymczasem jednak możemy utonąć w potopie, ratuj więc swoje suknie, a ja podniosę i zawinę dywan.

— To ta szkaradna gąbka narobiła całej biedy — mówiłam, patrząc z rozpaczą na zalew, który coraz szersze zagarniał przestrzenie.

— Wszystkiego nauczyć się trzeba, dziecko, i każdy początek jest trudny. Zawołaj służącą, a sama wytrzyj dobrze nogi ręcznikiem, bo przypłacisz katarem moją lekcję mycia — mówiła dobra ciocia; a ja myślałam ze strachem o tem, ile nieszczęść zdarzy mi się jeszcze, zanim się ubiorę.

— Lubię, kiedy młode dziewczątka są od rana porządnie uczesane, będziesz się starała robić to zawsze, prawda, Kostuniu?

— Tak, proszę cioci—odpowiedziałam pokornie, bo przygoda z wodą usposobiła mnie bardzo smętnie.

— Przedewszystkiem jednak opuścisz roletę. Okna nasze wychodzą wprawdzie na ogród, niewłaściwem jest jednak ubierać się w niezasłoniętym pokoju.

— Dobrze, proszę cioci.

— Trzeba także, abyś dała Wiktorji swoją szczotkę do umycia, albo jeszcze lepiej zrób to sama wedle jej wskazówek.

— Dobrze, proszę cioci.

Ach ileż razy w tych pierwszych dniach pobytu mego w Warszawie powtórzyłam te trzy wyrazy! — Dobrze, proszę cioci! — Gdyby ciocia za każdą odpowiedź płaciła dukatem, wróciłabym miljonerką do rodziców! Kochana ciocia! ona moją pokorę wynagradzała złotą cierpliwością i wytrwałością w nauczaniu.

— Przeczytam ci kurjera, Kostuniu, ty zaś tymczasem czesz się powoli, nie targaj włosów, a staraj się zwłaszcza upiąć je porządnie na głowie, bo zależy mi na tem, abyś wyglądała dobrze i przyzwoicie.

To mówiąc, ciocia Paulina przysunęła fotel do tualety, przy której rozpoczynałam ważną sprawę czesania.

Zasłonięta kurjerem, spoglądała jednak cioteczka na biednego podlotka.

Nigdy on jeszcze nie był narażony na tak ciężką próbę cierpliwości.

W domu załatwiałam się szybko z moją czupryną, przyczem wprawdzie dość często wydzierałam całe promienie włosów. Dziś jednak grzebień panny Koci musiał być posłuszny komendzie, padającej raz po raz z poza gazety.

— Wolno i ostrożnie przeczesuj włosy.

— Pleć miękko warkocz, równo, zwłaszcza równo.

— Wpinaj szpilki tak, aby nie sterczały.

— Lekko fryzuj grzywkę, niełądnie robiłaś to na wsi, nie umiesz obchodzić się z żelazkiem; poczekaj, ja ci dopomogę.

I dobra ciocia pokazała mi, jak należy fryzować włosy, aby uczesanie wyglądało skromnie i naturalnie.

Skończyłam nareszcie czesanie i z kolei miałam włożyć suknie.

— Obróć się, Kociu, zapnę ci spódniczki i zobaczę przytem, w jakim porządku moja siostrzenica utrzymuje haftki i tasiemki — mówiła ciocia, odsuwając na bok kurjera.

Zadrżałam, bo wczoraj właśnie urwaną tasiemkę przywiązałam do spódniczki, zamiast ją przyszyć porządnie. Może ciocia nie zauważy — myślę — a wtem krach! tasiemka leży na ziemi, a cioteczka roześmiała się, grożąc mi palcem. I groziła słusznie, czułam to dobrze, bo i mama gniewałaby się za takie niedbalstwo.

— Trzeba koniecznie zmienić haftki od stanika, przeświecają całym pasem, tak są rozwiedzione; przynieś inną sukienkę, a tasiemkę u spódniczki przyszyjesz zaraz, prawda?

— Tak jest, ciociu!

— I... pewnie, że prawda, ciocia słusznie mówi, myślałam, odchodząc do szafy z sukniami, a miałam przytem minę pudla, którego zimną oblali wodą. Podobieństwo było tem większe, że sama sobie dziś taką wyprawiłam kąpiel. Skruszona, jak na winowajcę przystało, naprawiłam niedbalstwo.

— Czy twoja dobra mama pozwalała ci zaniedbywać swoje rzeczy? — spytała ciocia, podczas gdy ja przyszywałam tasiemkę.

Zrobiło mi się gorąco ze wstydu.

— Nie cioteczko — odpowiedziałam żywo — mama jest sama bardzo porządną i od nas także wymaga porządku; to tylko wczoraj... na wyjezdnem... z pośpiechu... dlatego, że tatko wołał...

Chciałam się wytłomaczyć, ale żal ścisnął mi gardło i nie mogłam dokończyć zdania. Bolało mię, że z mojej winy padał cień na drogą mateczkę, ona tyle razy przestrzegała we mnie staranność w ubraniu; tylko nie miała czasu dopilnować wykonania swych zawsze słusznych i mądrych poleceń.

— Dam ci dobrą radę, Kostuniu — przerwała ciocia — jeśli mnie usłuchasz, nie zbraknie ci wolnej chwili na uporządkowanie twych rzeczy. Obejrzyj każdego wieczora suknię, którą masz włożyć nazajutrz, i napraw to, co potrzebuje być naprawionem. Tego wymaga porządek i staranie o nasze ciało. Jestem pewną, że przed uśnięciem obliczasz postępki przeżytego dnia, że badasz szczerze sumienie i postanawiasz powetować złe popełnione. Otóż pamiętaj, dziecko, że zarówno zaniedbanie wady, jak zaniedbanie porządku, pociąga za sobą nieobliczone szkody. Przypominam ci bajkę Jachowicza «Zaszyj dziurkę póki mała, Mama Zosię nauczała», i mówiąc między nami ta mama miała zupełną słuszność, bo dokładność w małych rzeczach jest podstawą porządku, a małą skazę i z ubrania i z serca łatwiej usunąć, niż dużą.

Chciałam przyznać ze skruchą, że tak właśnie

mówiła moja mama i pocałować ciocię w rękę, żeby jej podziękować za dobrą radę, ale ciocia uśmiechnęła się wesoło i przytrzymując końce moich palców dodała.

— Widzę, że moja siostrzenica jeszcze nie myśli o narzeczonym, bo na taką rączkę nikt by nie włożył pierścionka.

Zarumieniłam się, zrozumiałam bowiem przymówkę cioci Pauliny. Jej różowe, starannie obcięte paznokcie wyglądały tak ładnie przy moich... Jestem wam prawdę winna, siostry po wieku i zmartwieniach, powiem więc szczerze, że cioci paznokcie wyglądały dziwnie obok moich trochę ogryzionych i źle domytych.

— Czarne obwódki i uszkodzone paznokcie!... uroczy widok — zawołała ciocia z udanym przestrachem.

— Zobaczy ciocia, że już tego nigdy nie będzie — tłómaczyłam się pokornie.

— Jestem pewna, Kociu, bo takich przyzwyczajeń nie ma nawet moja Wiktorja, tem mniej są one stosowne dla ciebie. Od jutra będziesz mieć na swej umywalni szczoteczki do paznokci i postarasz się porządnie utrzymać ręce. Ale dość tych uwag na dziś, ciotka bardzo mantyczy, prawda? Musisz jej wybaczyć, gdyż te nauki płyną z kochania ciebie. Uściskaj mię, Kostuniu, i chodźmy na śniadanie, bo pewnie jesteś głodna.

W jadalnym pokoju stał już samowar i imbryczek z kawą, którą przygotowała Wiktorja.

— Od jutra, ty, Kostuniu, obejmiesz pod swój zarząd ranne śniadanie i wieczorną herbatę, dziś jesteś jeszcze gościem u mnie, a biedny gość tyle już dostał bur, że mu się przynajmniej za to dobra kawa należy.

Sięgnęłam po imbryk, ale ciocia przytrzymała moją rękę.

— Najprzód cukier, potem kawa, a nakoniec śmietanka i kożuszek — oho! przepadł kożuszek, bo moja gosposia taka hojna, że biedak spłynął z przepełnionej filiżanki. Za karę pij kawę bez kożuszka. Mówią, że kto zjada kożuszki, będzie miał deszcz w dzień ślubu, czy zrobiłaś to dlatego, aby na twojem weselu nie zmokła moja suknia? — żartowała ciocia, podczas, gdy zawstydzona nowem niepowodzeniem, łamałam bułkę, wyborną miejską, świeżą bułkę, jakiej niema na wsi. Ale i teraz ściągnęłam na siebie napomnienie mojej opiekunki.

— Oj, maleńka dziecino! — zawołała ciocia, palcem wskazując filiżankę — wzrostem wyglądasz na dorosłą pannę, a masz przyzwyczajenia właściwe twojej siostrzyczce Maniusi. Bo tylko Maniusia mogłaby nadrobić tyle bułki w kawę, że ciasto wyrosło aż po nad filiżankę. Niechże ci smakuje ta papka, ale przy gościach musi panienka wyrzec się niemowlęcych gustów, nie wypada w ten sposób pić kawy.

Dławiąc się, wypiłam swoją kawę z bułką, a raczej bułkę z kawą. Tymczasem ciocia nalała dwie filiżanki bardzo gorącej herbaty.

— Może popłuczesz twoją gęstą kawę filiżanką herbaty? — pytała.

— I owszem, bardzo lubię herbatę — odpowiedziałam.

Przysunęłam herbatę i chcąc ją wystudzić, wylałam połowę na spodek.

— Ależ, Kostusiu, ze spodka piją tylko koty, nie zaś dorastające panny — zawołała ciocia, rozśmieszona moim pomysłem. — Bądź cierpliwą, herbata wystygnie wkrótce, możesz ją zresztą chłodzić łyżeczką.

— Ciężką przechodzisz szkołę, prawda, mój podlotku? — dodała po chwili ciocia — bez miłosierdzia wytykam ci wszystkie niestosowności, ale też po to tu przyjechałaś, kochanko.

— Na dziś jednak stanowczo dość już tych morałów, dziś postanowiłam wyłożyć ci praktyczne zasady przyzwoitego zachowania się przy wstawaniu i śniadaniu. To była lekcja numer 1. Myślę, że jeśli codzień przejdziemy jeden rozdział z wielkiej księgi dobrych obyczajów, to za rok moja siostrzenica będzie wzorem podlotków, o ile wprzód nie ucieknie od swej cioci, znienawidziwszy ją za mantyctwo.

— Uciekniesz, prawda? — dodała ciocia Paulina, patrząc na mnie z wesołym uśmiechem. Wiedziała jednak, że kto raz ją pokocha, ten już nie odejdzie dobrowolnie od boku kochanej cioci, taki czar roztaczała koło siebie nawet wtedy, gdy łajala, a cóż dopiero, gdy pochwalić mogła.

A jednak pierwsze dni pobytu mego w Warszawie były bardzo ciężkie i pozostaną mi na zawsze w pamięci. Rzeczywiście nieraz miałam ochotę uciec do rodziców; a tęskniłam za niemi, ach jak tęskniłam!

Bo ileż rzeczy nauczyć się, ilu też oduczyć się musiałam! W domu byłam dzieckiem i jak dziecku uchodziło mi wiele niedorzeczności, tu wyrosłam odrazu na dostojną pannę, która liczyć się musiała z każdem słowem, z każdym ruchem nieledwie.

Myślałam nawet, przyznaję to szczerze, że ciocia wymagała zbyt wiele ode mnie. Powtarzałam też nieraz z Bohdanem Zaleskim:

«Święć się, święć się wieku młody,
Śnie na kwiatach, śnie mój złoty,
Ideale wiary, cnoty,
I miłości i swobody.

A moja swoboda została w Lipowcach!...

III.

PIERWSZE WIZYTY.

Dalsze dni pobytu mego w Warszawie nie zostawiły mi tak wyraźnych wspomnień jak ten pierwszy pamiętny poranek, w którym zasłużyłam na tyle uwag cioci Dystynkcji. Bo tak żartem nazwałam ciocię Paulinę, ten pierwowzór wszelkich doskonałości. Ciocia śmiała się z konceptu siostrzenicy, czułam jednak, że zależy jej bardzo na tem, aby ta siostrzenica nabyła w Warszawie swobody w obejściu, nauczyła się roztaczać koło siebie przyjemne, zjednywające obejście, pewien wykwint, co najskromniejszemu nawet życiu daje urocze ramy.

Jakże daleką byłam od ideału cioci Dystynkcji, zwłaszcza w obejściu z obcemi osobami! W listach moich, pisywanych do rodziców, najczęściej o to żalić się musiałam na siebie, szczególnie, kiedy nowych poznawałam ludzi.

Mam z tych czasów wspomnienia, które nie za-

rą się nigdy w mojej pamięci; niech one wam służą, kochane siostry-podlotki, ku nauce i przestrodze.

— Weź, Kostuniu, kapelusz, musimy dziś oddać parę wizyt — powiedziała do mnie ciotka Paulina w kilka tygodni po przyjeździe, a ja szybko spełniłam jej rozkaz. Wiedziałam już, że ciocia nie spóźnia się nigdy, ani też nie lubi czekać.

Pośpiech zresztą leżał w mej naturze, i właśnie roztrzepanie i żywość były przyczyną wielu moich zmartwień. W Lipowcach zawsze wszystko robiłam szybko, zwłaszcza kiedy chodziło o przechadzkę; wtedy panna Kocia chwytała kapelusz i w dwóch susach była już na swobodzie.

Ale do uroczystych wizyt nie czułam się powołaną. To nieznośne uzbrajanie swej osoby w parasolkę, płaszczyk, kalosze, rękawiczki, ach! jakież to nudne; nieznośnem zwłaszcza wydawało mi się kładzenie wualki, która zasłania świat Boży i tamuje oddech; a właśnie na wualce zależało bardzo ciotce Dystynkcji i musiałam ją nosić koniecznie. Że zaś ubierałam się sama, bez Wiktorji, bo tego żądała ciocia, nie było więc wiernego giermka, aby biednemu podlotkowi przypomnieć o jego rynsztunku; podlotek też zapomniał zwykle coś z nieodzownych dodatków tualety i wstydził się potem za swe roztrzepanie. Takie upokorzenie czekało mnie właśnie w ów pamiętny dzień, w którym oddawać miałam pierwsze wizyty w Warszawie.

Dotąd wychodziłam z ciocią tylko dla zwiedzenia miasta lub do kościoła.

Pierwsze wizyty! Te dwa wyrazy nasuwają zabawne i wcale niewłaściwe dla podlotka myśli. Pamiętam, kiedy do moich rodziców przyjechała z pierwszą wizytą kuzynka Klara. Znałam ją przecież pierwej doskonale, bywała u nas często, ale kiedy po ślubie zajechała przed nasz dwór z panem Władysławem, to jest ze swoim mężem, bo zapomniałam powiedzieć, że poszła za mąż; kiedy więc powóz stanął przed naszym gankiem, tatko zerwał się z krzesła, zawołał mamę, i oboje poszli witać Klarcię, jak jaką dostojną osobę, dla tego, że przyjechała z pierwszą wizytą.

— To się nazywa pierwszą wizytą — pomyślałam wtedy i nie śmiałam prosić Klarci, aby pobiegła ze mną do ogrodu, chociaż tak bywało dawniej; czułam w obec niej dziwną nieśmiałość, a mama posadziła Klarcię na kanapie, jakby jakiego nadzwyczajnego gościa.

Kiedy więc ciotka Paulina powiedziała, że zabierze mnie z sobą, abym oddała pierwsze wizyty, przypomniała mi się kuzynka Klarcia, ale niestety porównanie wypadło zupełnie na moją niekorzyść.

Naprzód więc szłam z ciocią, a nie z panem Władysławem, co zresztą zaznaczam dla uwydatnienia różnicy naszych położeń, bo ten pan Władysław nie bardzo mi się podobał; ale szłam, nie jechałam, a że tego dnia padał deszcz, więc dla nieprzyzwyczajonej do chodzenia po wilgotnych trotuarach, powóz Klarci byłby bardzo pożądanym.

Ciocia dała mi kilka mocnych szpilek i kazała



...umywalnia, dywan i gąbka, wszystko pływało w wodzie... (Str. 21).

niemi podpiąć suknię, tak, żeby podniesiona, zasłaniała jednak halkę i spódniczki. Uznawałam zupełnie słuszność tej rady, nim przecież zdążyłam dokończyć trudnego dla wieśniaczki zadania, ciocia była już gotową.

— Idę cioteczko — wołam z mego pokoju i dumna, że nie zapomniałam nawet parasola, w minutę stoję już na schodach. Wtem spostrzegam brak rękawiczek. Szczęściem Wiktorja nie odeszła jeszcze od drzwi; wróciłam, i nim ciotka Dystynkcja zeszła ze schodów w właściwy sobie majestatyczny sposób, byłam już przy niej, nie przyznając się nawet do swego roztrzepania.

Radość moja trwała jednak krótko.

— Wyszłaś, Kostuniu, bez kaloszy na taką wilgoć; czyż tak można wyjść? — pytała ciocia — zakatarzysz się, zniszczysz buciki i nie będziesz miłym gościem nikomu, bo nikt nie lubi, aby mu do domu wnoszono błoto.

— Myślałam, cioteczko...

— Zdaje mi się, kochanko, że właśnie nic nie myślałaś. W tej kamienicy na rogu mieszkają moi znajomi, państwo Darscy, zaczekam u nich na ciebie, a ty wróć po kalosze. Staraj się tylko przyjść prędko.

Wróciłam więc po nie. Gdybyż przynajmniej kalosze były czyste, ale zapomniałam o nich zupełnie i leżały zabłocone w garderobie. Straciłam więc dużo czasu, zanim z pomocą Wiktorji zdołałam doprowadzić do porządku tę część mojej tualety.

Ach, Klarciu, jakże inną była twoja pierwsza wizyta! Wolałabym już iść z panem Władysławem, chociaż on dla mnie brzydki, niż tak zupełnie sama wchodzić do obcych osób. Robiło mi się gorąco na tę myśl; w nadziei więc, że dogonię ciocię Paulinę i że pod jej opieką przepłynę Rubikon, pędziłam, jak szalona, ulicą, roztrącając przechodniów parasolem.

— A to się śpieszy tej pannie! — zawołał rozgniewany staruszek, któremu omal nie wybiłam oczów. Prawił mi i dalej morały, ja jednak nie zważałam na nie, ścigana rozpaczliwą myślą, że sama, zupełnie sama, wchodzić będę musiała do salonu państwa Darskich, których nie znałam wcale.

Uf! jakże się zmęczyłam i to napróżno! nie dogoniłam bowiem cioci. Zdyszana, czerwona, zadzwoniłam jednak śmiało, bo miewam czasem odwagę rozpaczy. Powiedziałam więc sobie, że muszę z godnością wyjść z trudnej pozycji, w którą z własnej popadłam winy. Śmiało też i bez zająknienia wymieniłam lokajowi swoje nazwisko; zdawało mi się, że je sama pierwszy raz słyszę, tak brzmiało dziwnie w obcym mi domu. Niestety, sztuczna odwaga opuściła zupełnie podlotka wobec pani Darskiej, która na moje spotkanie wyszła aż do przedpokoju. Ciocia była już w salonie, ale pośpieszyła także do mnie, żeby przedstawić swoją siostrzenicę.

Biedna ciocia! ileż ona za tę siostrzenicę wstydzić się musiała! Zalękniona i onieśmielona wido-

kiem gospodyni domu, dygnęłam przed nią sztywnie, jak najniezgrabniejsza pensjonarka.

— Siądź tu przy nas, kochana Kostuniu — powiedziała uprzejmie pani Darska, i przysunęła do kanapy wygodny fotel. Ciocia jednak wstrzymała w porę mój rozpęd, gdy już byłam gotową zająć zaofiarowane mi miejsce.

— Przepraszam bardzo kochaną panią — powiedziała biedna cioteczka z miną prawdziwie żałosną,— przepraszam panią, ale panna roztrzepanica musi wprzód wrócić do przedpokoju, bo zapomniała zdjąć kalosze.

Spojrzałam na swoje nogi, a potem w wielkie zwierciadło, wiszące na ścianie, i przerażona, omal nie krzyknęłam na widok zabłoconego, zmoczonego i rozczerwienionego straszydła.

Biegłam tak szybko, że zrujnowałam całe ubranie, kapelusz był przekrzywiony, promienie mokrych włosów zasłaniały twarz, zabłocone kalosze znaczyły ślad na dywanie, a parasol w przedpokoju rozlewał strugę wody; w dodatku zdążyłam włożyć jedną tylko rękawiczkę!

— Że też ciocia w taki szkaradny czas oddaje wizyty!— myślałam sobie, wracając do przedpokoju.

Nie tu jednak był koniec moich zmartwień, a przyznać muszę ze wstydem, i moich win. Spostrzegłam, że w pośpiechu, zamiast nowej, wzięłam starą rozprutą rękawiczkę z innej pary.

— Co robić?...—pytałam sama siebie. Na wsi byłabym bez wahania weszła do salonu z gołą rę-

ką, w Warszawie niepodobna było pozwolić sobie na takie lekceważenie form towarzyskich.

Ukryłam więc rękę pod pelerynką, co mówiąc nawiasem, jeszcze sztywniejszą i niezręczniejszą mnie czyniło, i siadłam pokornie na zwykłem trzcinowem krześle. Pragnęłam stać się jak najmniej widzialną, chociaż byłam pewna, że bacznym oczom mojej opiekunki nie ujdzie żadna z popełnionych przeze mnie niedorzeczności.

Gospodyni domu bawiła tymczasem ciocię Paulinę rozmową, odwracając jej uwagę od mojej osoby.

Moja osoba miała więc czas opanować pierwsze wrażenia. Czułam, że wracam do normalnego stanu, że nie drżę, że się nie czerwienię; cóż, kiedy nieszczęśliwa rękawiczka zatruwała mi spokój.

Daremnie skubałam i zaciskałam poprute końce; palce wydobywały się z nich uparcie i wyglądały jak różowe pączki wśród odchylonych białych listków.

Nagle,—tego jeszcze potrzeba było, aby dopełnić miary upokorzeń! —nagle więc uczułam, że chustka od nosa jest mi koniecznie potrzebna. Sięgam po nią do kieszeni... wyobraźcie sobie moje przerażenie, o wy wszystkie podlotki, które kiedykolwiek byłyście w podobnem położeniu, wyobraźcie sobie, że ja tę chustkę, tak mi w tej chwili potrzebną, zostawiłam w domu!

Wstać z krzesła i podejść do cioci, aby jej szepnąć o moim kłopocie, na to nie miałam odwagi.

Pozostawała więc druga ostateczność obchodzenia się bez chustki, co czyniło moje położenie prawdziwie rozpaczliwem.

Szczęściem, w tej właśnie chwili podniosła się pani domu, żeby zadzwonić na służącego. Spojrzałam błagalnie ku ciotce Paulinie, rzuciłam się ku niej i schwyciłam tak szybko jej śliczną batystową chusteczkę, którą właśnie wyjmowała z kieszeni, że aż się przestraszyła. Już otworzyła usta, żeby mi coś odpowiedzieć, kiedy wszedł lokaj.

— Niech Tomasz powie panience, że ma gościa i że proszę, ażeby panienka przyszła — mówiła pani Darska, podczas gdy ja wracałam już do swojego krzesła, udając, że nie widzę niezadowolonej miny ciotki.

Biedna ciocia! na jej miejscu byłabym się wyparła takiej siostrzenicy, zwłaszcza wobec wspaniałej i pięknej panny Anieli Darskiej, która w tej chwili właśnie stanęła na rozkaz matki we drzwiach sąsiedniego pokoju.

Jakże wyglądała wytwornie, jak wdzięcznie i zgrabnie przeszła przez salon, żeby się przywitać z moją ciotką! Na mnie nie spojrzała wcale, chociaż stałam, sztywniejsza, niż tyczka od grochu, czekając, aż się piękna panna ku mnie zbliży.

Gdy nareszcie stanęła przed moim krzesłem, złożyłam jej ukłon tak głęboki, jak te damy dworskie, które, prezentowane panującym, składają im podobno głębokie ukłony.

Na pannie Anieli moja ceremonjalna czołobit-

ność nie zrobiła jednak żadnego wrażenia. Kiwnęła mi zlekka głową i zasiadła wygodnie w fotelu, podczas gdy ja, przyczepiona do brzegu wyplatanego krzesła, wyglądałam niezawodnie, jak pensjonarka na pokucie. Milczałyśmy obydwie; panna Aniela końcem ślicznego pantofelka przyciągnęła sobie podnóżek, oparła rękę na poręczy i, przechyliwszy zlekka głowę, przyglądała mi się z miną protekcjonalną, a więcej jeszcze znużoną, wachlując się przytem od niechcenia.

Co się ze mną działo, tego opowiedzieć nie potrafię. Czułam, że czerwienieję, że jeszcze chwila, a spadnę z krzesełka, na którem i tak z trudnością utrzymać się mogłam.

— Panienka przyjechała z prowincji? — zapytała nareszcie panna Aniela wymuszonym głosem.

Panienka! Zrobiło mi się gorąco. Dotąd Lipowce nie były dla mnie prowincją, jakimś zakazanym pół-dzikim zakątkiem; byłam, owszem, szczęśliwa, gdy mogłam o nich rozmawiać; dziś po raz pierwszy czułam, że w zapytaniu wspaniałej panny mieściła się ironja, dotycząca tych Lipowiec.

Sądziła zapewne z mojej nieszczęśliwej miny o całej naszej okolicy. Ładnie też przedstawiłam wieśniaczki wobec warszawianki, ja, sztywna, nieśmiała i w poprutej rękawiczce!

Dobra ciocia Paulina wyprowadziła siostrzenicę z kłopotu i odpowiedziała za mnie. Nie odważyłam się też mówić dalej; milczałyśmy obydwie; dopiero po chwili odezwała się panna Darska protekcjonalnie.

— Ile panienka ma lat?

Znów panienka! i to wymówione tonem hrabiny, która łaskawie zaszczyca rozmową swą garderobianę. Ile mam lat? Nigdy nie przyszło mi na myśl wstydzić się mojego wieku, ale pragnęłam szczerze nie wyglądać tak dziecinnie przy tej dorosłej pannie. Zwyciężyłam jednak pokusę kłamstwa i powiedziałam nieśmiało.

— Kończę właśnie piętnaście lat.

— A więc jeszcze zupełny podlotczek... — wycedziła przez zęby panna Aniela, ukrywając uśmiech za wachlarzem.

Nie było nic ubliżającego w tem, co powiedziała panna Darska. Podlotek! Tak nazywała mnie ciocia i znajomi rodziców; nie obrażałam się przecież, ale w jej ustach wyraz «podlotek» brzmiał jako obelga. Czułam, że chciała nim zaznaczyć swe lekceważenie i musiałam zapanować nad rozdrażnieniem, żeby nie odpowiedzieć niegrzecznie. Na szczęście, ciotka Paulina wstała z kanapy, żegnając panią domu. Trwało to dość długo jeszcze, wiedziałam jednak, że zbliża się chwila wyzwolenia. Pragnęłam gorąco opuścić salon pani Darskiej, bo ta Aniela niecierpliwiła mnie swym protekcjonalnym tonem.

Ooo! jakże się swobodnie oddycha na ulicy! — myślałam, idąc obok cioci. Ale ciocia nie zaczynała rozmowy, a ja czułam burzę w niej i w sobie. Nareszcie grom spadł.

— Ciężką była dla ciebie dzisiejsza wizyta, Ko-

stuniu; a to wszystko przez twoje roztrzepanie — powiedziała ciocia nakoniec.

Ja nie mogłam dłużej wstrzymać łez, które mi się cisnęły do oczu.

— Ach, cioteczko, — mówiłam, — sama czuję, ile popełniłam niedorzeczności. Ciocia słusznie się za mnie wstydzi; to też taka niezgrabna i niemądra dziewczyna powinna siedzieć w domu i nie pokazywać się ludziom.

— Którzy właśnie na ciebie patrzą, dziwiąc się zapłakanym oczom mojej biednej siostrzeniczki; sądzą zapewne, że ci muszę dokuczać; prawda Kociu?

— Ależ nie — odpowiedziałam, uśmiechając się — alboż ciocia mogłaby komu dokuczyć? Płaczę, bo zrobiłam przykrość cioci i sobie. Wyłaj mnie porządnie, cioteczko; będzie mi lżej, gdy dostanę burę, na jaką zasłużyłam.

— Nie powinnaś tak łatwo tracić głowy, Kostuniu; trzeba koniecznie umieć zachować zimną krew. Zapomnieć chustki do nosa, a nawet wejść w kaloszach do pokoju, nie jest jeszcze nieszczęściem ani wielką winą, zwłaszcza u roztrzepanego podlotka. Starsi wyrozumiewają łatwo takie przestąpienie reguły «nie wypada». Nie mogę cię więc łajać, bo trudno, abyś odrazu zdobyła układ i swobodę towarzyską dorosłej panny. Zabraniam ci tylko oblewać łzami moją chustkę, której batyst przemókł już do nitki, a nakazuję kochać swą ciotkę i wierzyć, że mimo wszystko, bardzo jej jest dobrze z tą zrozpaczoną siostrzenicą.

— Nawet wtedy, gdy ta siostrzenica wchodzi do salonu w kaloszach.

— I z poprutą rękawiczką — przerwała ciocia, patrząc na mnie z zabawną miną.

Parsknęłam śmiechem z poza łez.

— Byłam pewna, że ciotka Dystynkcja zauważy moje rękawiczki, chociaż ukrywałam je pod pelerynką.

— Co, mówiąc między nami, nie przyczyniało się wcale do swobody twoich ruchów, zwłaszcza że masz zły zwyczaj siadania na samym brzeżku krzesła.

— Za to panna Aniela umie wygodnie rozłożyć się w fotelu, no, i patrzeć na wszystkich śmiertelników z wysokości swej godności, jak źle wychowana księżniczka.

— Prawda, jej także należała się nauka moralna za niewłaściwe zachowanie się. Aniela powinna była pamiętać, że grzeczność zrodziła się z miłości bliźniego, z obawy, aby go nie urazić. Zadaniem dobrze wychowanej gospodyni domu jest odczuć kłopotliwe czasem położenie gościa i oddać się uprzyjemnieniu mu chwili, którą spędza u niej. Ale, Kostuniu, nie sądźmy drugich i przebaczajmy im, dziecko, z całego serca. Przebacz więc Anieli jej złe wychowanie.

Kochać ludzi, to stokroć ważniejsze, niż zgrabny ukłon lub nowe rękawiczki. Jestem przekonana, że moja Kostunia ma tę miłość i że będzie zdolną do czynów uszlachetniających kobietę. Dziś wró-

cimy już do domu i odłożymy wizyty na czas pogodniejszy, dobrze?

— I owszem cioteczko! — zawołałam, wchodząc w bramę naszej kamienicy.

— Dobrze, że ten deszcz pada, bo tymczasem nauczy się moja panienka pamiętać o chustce do nosa, no i o tem także, że wszędzie i zawsze człowiek powinien panować nad wrażeniami, że tracić głowę dla tak błahej przyczyny, jak wizyta, nie jest godne nawet rozumnego podlotka, z którego kiedyś ma wyrosnąć dzielna kobieta.

IV.

PRZYJACIÓŁKA.

Z radością zaznaczam, że ciocia była ze mnie coraz więcej zadowolona. Zrozumiałam słuszność jej uwag, więc myśl o stosunkach z ludźmi nie przejmowała mnie już tak wielką, jak wprzód, obawą. Niemniej każde wspomnienie o nowem wystąpieniu na świat warszawski sprowadzało mi lekkie dreszcze, które wracały regularnie, ilekroć szłam z ciocią do jej znajomych, wśród których napotkałam dużo łaskawych dla mnie osób, o czem z radością donosiłam rodzicom. Żadna przecież z panien, jakie poznałam w Warszawie, nie trafiła mi do serca i tem więcej tęskniłam do siostrzyczek.

— Dziś pojedziemy odwiedzić daleką krewną mego męża, którą bardzo kocham,—mówiła ciocia, siadając do obiadu.—Dopiero od kilku dni wróciła do Warszawy i dla tego nie znasz jej jeszcze.

— Czy muszę koniecznie pójść z tą wizytą? — zawołałam tragicznym tonem.

— Ta wizyta zrobi ci przyjemność; moja krewna ma córkę, którą pokochasz, i zdaje mi się, że znajdziesz w niej... przyjaciółkę.

Przyjaciółkę! Ach, jakże marzyłam o tem szczęściu! Mieć kogoś w tym samym co ja wieku, módz zwierzać się przed nim z każdej myśli, z każdego uczucia, razem dążyć do udoskonalenia, słowem kochać i być kochaną, cóż większem może być szczęściem?

Ale taki skarb z pewnością nie w Warszawie znaleźć można, nie wśród sztywnych panien w rodzaju Anieli Darskiej i jej podobnych. Ja, wieśniaczka, czyż mogę się zrozumieć z panienką wychowaną w mieście? To tak różny gatunek, te eleganckie i bardzo correcte panny! Stanowczo należymy do zupełnie przeciwnych typów; wiejski kopciuszek, traktowany z łaskawą pobłażliwością przez warszawianki, ma jednak swój świat myśli, wrażeń i pragnień, w który tak chętnie wtajemniczyłby przyjaciółkę; ale bratniej duszy nie w mieście szukać będę.

Tak myślałam i byłam swego sądu prawie zupełnie pewna, wchodząc, a raczej, jak nieśmiałe pisklę, wsuwając się pod opiekuńczem skrzydłem cioci Pauliny do skromnego saloniku państwa Mirskich.

Gospodyni domu, jeszcze młoda i ładna, wybiegła na nasze spotkanie, a powitawszy ciocię serdecznie, zawołała przez uchylone drzwi bocznego pokoju.

— Chodź, Maryniu, zobacz, jakiego miłego masz gościa.

Młodziutka panienka, z niebieskiemi oczami i blond włosami, splecionemi w długi warkocz, stanęła w tej samej chwili na progu saloniku.

Ciotka Paulina uściskała ją tak czule, jak żadnej ze znajomych mi dotąd panien, i przyprowadziła do mnie.

O! nigdy nie zapomnę wrażenia, jakiego doznałam, spojrzawszy w łagodne, głębokie, trochę nieśmiałe oczy Maryni. Ona także patrzyła na mnie z dziwnym wyrazem. Może nasze dusze odnajdywały się wprzód jeszcze, nim zdołałyśmy wymówić pierwsze wyrazy powitania. Wyrazy?.. Czemże są słowa wobec nieprzepartego uczucia sympatji, która pociąga do siebie dwie istoty, stworzone na to, by się kochać i rozumieć.

O, bo uczułam odrazu, że pokocham Marynię, tak, jak nie kochałam dotąd żadnej panienki, nawet Klarci, chociaż lubiłam ją bardzo. I gdyby nie pan Władysław, gdyby nie różnica wieku, może zostałybyśmy przyjaciółkami.

Teraz jednak zapomniałam o Klarci, straciłam zwykłą nieśmiałość i myślałam tylko o tem, czy też Marynia doznaje tych samych uczuć co ja?... Czy czyta w mej duszy, jak mnie się zdawało, że czytam w jej oczach, to wielkie pragnienie znalezienia przyjaciółki i wypowiedzenia jej wszystkiego, co czuję: mojej tęsknoty za Lipowcami, mojej gorącej chęci kształcenia się, pomagania rodzicom,

słowem, marzeń i nadziei, z któremi nawet ciotce Paulinie zwierzyć się nie śmiałam?

— Słyszałam już o pani, bo ciocia Paulina opowiadała nam dawniej o Lipowcach — mówiła Marynia, siadając obok mnie.

Dotąd nie pojmuję, dlaczego pokochałam odrazu to słodkie stworzenie, które, wymawiając wyraz *pani*, uśmiechało się do mnie tak, jak gdyby ceremonjalna nazwa była żartem między nami, jak gdybyśmy znały nasze upodobania, zamiary, tęsknoty.

Zapomniałam, że Marynia jest warszawianką. Zapomniałam o wszystkich uprzedzeniach wieśniaczki do mieszkanek dużego miasta. Rozmawiałam z Marynią tak swobodnie, jak niegdyś z Klarcią w Lipowcach na ganku, kiedy zachodzące słońce złociło czerwonemi promieniami gałęzie dzikiego wina, którego zielone wąsy lubiłyśmy ogryzać. Były wprawdzie kwaśne, lecz Klarcia przepadała za kwaśnemi przysmakami.

Ale wracam do swojej wizyty u pani Mirskiej.

Rozmawiałyśmy więc wesoło, siedząc pod oknem na małej kanapce; sądzę, że chyba umyślnie postawiono ją tam, żeby dwie przyjaciółki mogły sobie powiedzieć to wszystko, co je obchodzi, a co nie jest wcale ciekawe dla starszych osób.

Mówiłyśmy sobie już po imieniu, a kiedy ciocia wstała z kanapy i musiałam się żegnać, to czułam, że wracać tu będę z radością, zwłaszcza jeśli nasz projekt brania razem lekcji znajdzie uznanie u mamy Maryni i u mojej cioci.

— Cóż, Kociu, czy słusznie chwaliłam Marynię Mirską? Jakże ją znajdujesz?... Milczysz jakoś, czyż miałaby ci się nie podobać moja siostrzenica?

Marynia miałaby mi się nie podobać? — myślałam, nie mogąc zdobyć się na odpowiedź, tak byłam cała przejęta szczęściem pozyskania przyjaciółki; po chwili dopiero odrzekłam z powagą.

— Najgorętszem prągnieniem mego serca będzie posiąść przywiązanie Maryni Mirskiej.

Ciocia rozśmiała się, co mnie boleśnie zadziwiło.

— Jakto? więc pozbyłaś się uprzedzeń do warszawianek i odrazu pokochałaś Marynię? A jeśli ona twego uczucia nie warta?

Zaczerwieniłam się.

— Moja ciociu! dość spojrzeć w oczy Maryni, żeby poznać przymioty jej szlachetnego serca.

Ciocia rozśmiała się po raz drugi.

— Oj dzieciaku, dzieciaku! — powiedziała, głaszcząc moje włosy, z których właśnie zrzuciłam kapelusz, bo pilno mi było biedz do swego pokoju, żeby donieść mamie o swojej nowej, milutkiej znajomej.

— Oj, dzieciaku! — mówiła — jakże łatwo dajesz się powodować uczuciu! Ale tym razem zrobiłaś szczęśliwy wybór. Marynia istotnie warta jest twojej przyjaźni; lecz na przyszłość bądź ostrożniejszą, bo często pozory zwieść mogą. Umówiłam się z mamą Maryni. i od jutra zaczniecie wspólne lekcje. Mam nadzieję, że, chociaż Marynia jest

starszą od ciebie, uczyć się z nią będziesz mogła.

Dobra ciotka Paulina odgadła więc nasze życzenia, i podczas gdyśmy rozmawiały o możności wspólnej pracy, starsze panie obmyślały już jej program.

Rzuciłam się do jej rąk i ucałowałam je serdecznie.

— Ach! ciociu, co za szczęście! — mówiłam pełna radości. — A myśmy właśnie marzyły o tem, aby razem się uczyć, razem pracować i myśleć.

— Hola, moja panno! nie za daleko idź w swoich marzeniach. Ale i ja jestem zadowolona, że to się dało ułożyć.

Z poznaniem Maryni Mirskiej zaczęło się dla mnie w Warszawie zupełnie nowe życie. Zrozumiałam, co to za szczęście mieć przyjaciółkę. Z nią też i przy jej sercu, które czuło tak jak ja, uczyłam się kochać naukę, poznawać jej cele, obejmować swoim słabym rozumkiem cuda przyrody, a bardziej jeszcze dzieła i losy człowieka na ziemi.

Marynia, starsza ode mnie, nie była już podlotkiem, pomimo to, nie szukała towarzystwa dorosłych panien. Prosta, naturalna, a zwłaszcza dobra, przez tę dobroć zapewne polubiła mnie. Jak wyglądałam przy jej wykwintnej osobie ja długa, chuda, z tyczkowatą figurą, z niezgrabnemi, zawsze w ruchu będącemi rękami! jak straszydło. Nawiasem mówiąc, za tę niepotrzebną gimnastykę rąk brałam stale bury od cioci, jak dawniej od mamy; no, ale straszydło kochające śliczną, cichą Mimi, gdyż tak nazywałam moją Marynię.

Przyjaźń nasza, zawiązana za pierwszem widzeniem, a raczej za pierwszem spojrzeniem, bo jak już mówiłam, kochałam Marynię od pierwszej chwili, gdy ją ujrzałam, utrwalała się i starałyśmy się okazywać ją sobie ciągle.

Naprzód więc wpisałyśmy sobie w swoje albumy ulubione wiersze, zastosowane do okoliczności. Ja nie wahałam się ani chwili co do wyboru stosownej poezji, bo czyż jest piękniejsza nad tę, w której Mickiewicz mówi o przyjaźni:

> Razem młodzi przyjaciele!
> W szczęściu wszystkich są wszystkich cele.

Cały ten cudowny ustęp przepisałam starannie w albumie Maryni, a kochana Mimi w moim umieściła prześliczny wiersz Gabrjeli Żmichowskiej «Do moich dziewczynek», który podobał się nam niezmiernie.

Ciotka Paulina darowała obu siostrzenicom jednakowe pierścionki z turkusami; zamieniłyśmy je zaraz między sobą, zupełnie tak, jak Klarcia z panem Władysławem.

Odtąd przyjaźń nasza zdawała nam się być jeszcze ściślejszą. Nad biurkiem swojem powiesiłam fotografję Maryni i oplotłam ją gałązkami bluszczu, który wyhodowała Wiktorja. Z radością zobaczyłam, że kochana Mimi zrobiła tak samo z moją, bardzo zresztą nieudatną podobizną.

Ucząc się więc, czy pisząc, miałyśmy przed oczami swoje wizerunki, a czyż potrzebuję mówić, że

pisywałyśmy do siebie listy w każde święto, bo dni powszednie były najszczęśliwszemi dla nas chwilami; wtedy bowiem wspólne lekcje, odbywane kolejno to u pani Mirskiej, to u cioci, dawały nam sposobność zwierzania się wzajemnego z uczuć i myśli i spędzenia kilku chwil swobodnie.

Jakże się czułam szczęśliwą! Mimi nie upokarzała mnie nigdy swoją biegłością w naukach, owszem, pomagała mi chętnie w pracy, a nieraz dobrą radą ustrzegła od popełniania niedorzeczności w rodzaju tych, które opisywałam wam już, kochane podlotki, a które i wy popełniacie dosyć często. Wszak prawda?

Bez obawy szlam teraz z ciocią na podwieczorki z herbatą, czyli five o clook, jak je w Warszawie nazywają, bo wiedziałam, że między zaproszonemi gośćmi zastanę moją drogą Mimi. Jej niebieska suknia, taką bowiem zwykle nosiła, wydawała mi się obłoczkiem i szłam za nim w las ludzki, jak Izraelici za cudownym obłokiem szli przez pustynię. A często obłoczek sam zbliżał się ku mnie.

Bo też jakby pustynią był dla mnie każdy salon, w którym nie zastawałam Maryni.

Ciocia Paulina łajała trochę swą siostrzeniczkę za tę wyłączność uczucia. Nie lubiła, gdy smutna siedziałam wśród gości, i miała słuszność, gdyż i między niemi były zapewne osoby dobre, które wybaczyłyby podlotkowi jego nieśmiałość. Ale ja byłam bez Mimi, jak bez duszy. Kiedy jej brakowało wśród zebranych gości, cały czas myślałam

o tem, jak rozkoszne czeka mnie jutro, bo jutro przed lekcją opowiem jej wszystkie swe wrażenia.

Pomagała też dzielnie moja przyjaciółka ciotce Paulinie w trudnem zadaniu zrobienia ze mnie dobrze wychowanej panny. Ciotka często nawet odwoływała się do Mimi, dając mi ją za przykład.

Obie też były do siebie trochę podobne, o ile młodziutka Mimi mogła być podobną do ciotki Pauliny. Ten sam chód, ta sama uprzejmość bez natarczywości, ta sama swoboda i jednostajność zachowania się, tak przy gościach, jak i wtedy, gdy były same. No, i ten sam takt w postępowaniu.

Mimi dała mi go w niejednej lekcji.

Raz naprzykład, idąc ulicą w dniu, w którym nie miałyśmy wspólnych lekcji, widzę zdaleka niebieską suknię...

— Mimi! — zawołałam uszczęśliwiona, i pędzę, zapomniawszy o przechodzących; nagle chwytam Marynię za rękę, a potem obejmuję ją, ściskając czule; ona jednak, ku mojemu wielkiemu zdziwieniu i przerażeniu, chłodno przyjęła objawy mojej radości.

— Co tobie, Mimi? czyś ty chora, czy nie kochasz mnie już? — pytam zdumiona.

— Ależ wcale nie, tylko proszę cię, chodź dalej, nie zatrzymuj się — rzekła półgłosem.

Teraz dopiero spostrzegłam, że na trotuarze stanął jakiś pan z drwiącą miną i podziwiał wybuch mojej czułości dla Mimi. Żartował z nas widocznie, bo dosłyszałam nawet piękny komplement:

4*

— Rozkoszne, urocze, inséparables-papużki.

Oburzona tym jego niby dowcipem, szłam szybko z Mimi, oglądając się jednak za owym jegomością.

— Kociu! co robisz, czemu się oglądasz?! — zawołała Marynia takim głosem, że serce zamarło we mnie.

Na szczęście dom cioci był blizko; weszłyśmy w bramę.

— Jakże mogłaś, Kostuniu, ściskać mnie na ulicy i ściągać tem uwagę przechodzących?... To nie wypada — mówiła Mimi.

— Ależ Mimi! — zawołałam prawie z płaczem — przecież tak witamy się zawsze, a miałam ci tyle rzeczy do opowiedzenia. Widzę, że się gniewasz; cóżem ja winna, że ten źle wychowany jegomość żartował z nas?

— Dałaś mu do tego powód. Na ulicy nie ściska się i głośno się nie rozmawia, a przedewszystkiem nie ogląda się tak, jak ty, Kociu, zrobiłaś z tym panem.

— Słusznie mnie łajesz, Mimi; jestem niemądra wiejska gąska i wstyd ci przynoszę, ale powiedz, czyż w Warszawie nie wolno okazać tego, co się czuje?... Przecież to okropny taki przymus!

Mimi uśmiechnęła się tak, jak to ona umie.

— Na ulicy, naturalnie, trzeba się tak zachować, żeby nie zwracać niczyjej uwagi. Zresztą, zawsze i wszędzie, moja droga, powinnyśmy panować nad swemi wrażeniami, nie okazać smutku, choć go mamy w duszy, żeby nie zasmucać innych, tak jak

zbytnią radością także można zranić kogoś nieszczęśliwego. Uczucia należą do naszego wewnętrznego świata i trzeba umieć kryć je we własnej duszy.

Doprawdy nie wiem, skąd Mimi jest taka rozumna! Ona mówi, że to smutek po stracie ukochanej babci zrobił ją rozsądną, ja myślę jednak, że urodziła się ze wszystkiemi cnotami. Musiała dobra wróżka stać przy jej kołysce, podczas gdy w moją złośliwy chochlik podrzucił roztrzepanie i żywość, a z temi wadami walka jest bardzo trudna.

Byłam zmartwiona swojem zachowaniem się na ulicy, ale dobra Mimi dodała mi odwagi.

Weszłyśmy do pokoju cioci Pauliny.

— Zobaczysz, Kostuniu, jak prędko nauczysz się stosować do zwyczajów dobrego wychowania — mówiła Marynia.—Początek tylko jest trudny, potem robi się już mimo woli to, co robić wypada, a unika instynktownie niestosowności. To tak, jak z muzyką; kto raz wyrobi słuch, ten nie zagra fałszywie. Dobry układ także na harmonji polega.

— Jesteś za mądra i za dobra, Mimi! taką doskonałością nie stanę się nigdy — mówiłam zniechęcona.

— Wierzaj mi, Kociu, mam i ja dużo złych przyzwyczajeń, tylko się ich powoli oduczam.

— Ale nikt się za ciebie wstydzić nie potrzebuje — przerwałam — a ty ze mną na ulicy pokazać się nie możesz.

Za całą odpowiedź Marynia uściskała mnie serdecznie i dodała na pociechę.

— Niechże więc moje kociątko (bo tak nazywała mnie czasem, żartując) niechże więc moje kociątko przestanie lamentować nad sobą, bo wiedz o tem, szkaradna dziewczyno, że ani ja, ani moja mama nie oddałybyśmy cię za najwykwintniej ubraną i wykrygowaną pannę. Ileż między takiemi jest próżnych i powierzchownych dziewcząt, niegodnych rozwiązać rzemyka twoich, mówiąc między nami, rozwiązanych bucików — i Mimi śmiała się. Poczekaj — dodała, widząc, że poprawiam sznurowadła, — nauczę cię wiązać je tak, jak to mama robić każe, tylko że i ja, nieposłuszna córka, zapomniałam o jej przestrogach; dla tego i moje buciki są także nieraz w nieporządku.

— No, teraz moja kotka przestanie się martwić, bo powinna wiedzieć, że ją bardzo kocham.

Ale muszę już uciekać do domu, bo słońce zachodzi, a należy to także do przepisów dobrego wychowania, żeby młode panienki nie zapóźniały się na ulicy.

Powiedziawszy to, Marynia wyszła, przesyłając mi od drzwi całusa, a ja stałam w oknie, patrząc na zachodzące słońce i myśląc o Lipowcach. Tam wybiegłabym teraz do ogrodu, bo najprzyjemniej chodzić po nim, kiedy światło księżyca srebrzy gałęzie drzew, a od łąk dolatuje rechot żab, urągających klekocącemu bocianowi.

Bocian, żaby, drzewa, księżyc, wszystko to przy-

pominało mi moich ukochanych. W Lipowcach nie potrzebowałam obawiać się śmieszności, okazując radość lub smutek, jak dziś na ulicy, bo tam byłam wśród swoich w domu.

Ach, tak! dom i swoi. Ten tylko, kto tęskni, zrozumie czar tych dwóch wyrazów.

V.

SMUTNE DOŚWIADCZENIA.

Życie moje w domu cioci Pauliny płynęło bardzo jednostajnie, ale przyjemnie i szybko; ciocia pilnowała ściśle godzin, gdyż inaczej nie potrafiłaby spełnić swoich obowiązków.

A były one wielkie i ważne. Należała do założycielek przytułku dla sług, i zarząd dawał cioci dużo istotnej a bardzo użytecznej pracy.

Ja zajmowałam się lekcjami, które niezmiernie lubiłam, gdyż wykład profesorów budził we mnie myśli, jakie nigdy dotąd nie postały w pustej głowie podlotka. Ciekawe szczególniej były lekcje ekonomji, bo profesor umiał oświetlić nam z zupełnie nowego punktu stosunek wzajemny ludzi.

Po każdym wykładzie pana Karskiego rozmawiałyśmy długo z Marynią. Ona także teraz dopiero uczyła się rozumieć gospodarstwo świata, stosunki społeczne, wytwarzanie bogactw narodów, podział tych dóbr między pojedyńcze jednostki.

Lekcje dawały nam zapał do użytecznej pracy, myślałyśmy o tem, jak przyczynić się możemy do powiększania zamożności narodu, a ja snułam zuchwałe na przyszłość marzenia.

— Wezmę od rodziców ogród w dzierżawę, nasadzę drzew, będę robić przetwory owocowe i przysyłać je do Warszawy — mówiłam do Maryni, bo ona to właśnie miała sprzedawać je w mieście. Dowodziła mi przytem z dumą, także na zasadzie wykładów pana Karskiego, że pośrednictwo w zbywaniu towaru jest równie użyteczne, jak samo wytwarzanie.

Nie wszystkie jednak lekcje bywały tak zajmujące, jak te wykłady ekonomji.

Obie z Marynią nie lubiłyśmy np. francuskiej gramatyki i nudnej a śmiesznej figury pana Dijon. Często też ciocia łajać nas musiała za nieuwagę przy lekcjach francuskich.

— Nie dość jest zapłacić nauczycielowi — mówiła ciocia — trzeba przez grzeczność okazywać zainteresowanie w czasie jego lekcji, trzeba być mu szczerze wdzięczną za podjęty trud. Nic wstrętniejszego nad złe wychowanie ludzi, którzy przyjmują usługi doktora lub nauczyciela, jak rzecz należną sobie, niby że płacą za to. Wysiłek myśli ludzkiej nie da się tylko pieniędzmi zapłacić, jak funt kawy lub mydła.

Czas schodził na rozmowach z moją śliczną Mimi, na wspólnem przygotowywaniu lekcji, lecz miałam go zawsze za mało; to też listy do Lipowca,

choć wysyłane często, zostawiały dużo do życzenia pod względem stylu i staranności pisma.

Dobrze, że ciocia Paulina nie czytała nigdy tych tych korespondencji; ileż by to za nie było uwag! Aż strach pomyśleć! Ale cioteczka nie pytała nawet, co piszę, żeby mi zostawić zupełną swobodę wypowiadania swych uczuć; tak samo i listów, które przychodziły do mnie, nie czytywała, chociaż spragniona była zawsze wiadomości od braterstwa.

— Nigdy nie można być dość delikatną w kwestjach cudzej korespondencji—mówiła ciocia. I miała słuszność jak zawsze, bo choć nie ukrywałam przed nią swoich myśli, wolałam, żeby listów, które pisałam do rodziców, nawet ciocia nie czytała.

I to nie tylko dla bur, jakie byłabym dostała za złą kaligrafję i styl, ale matce i ojcu donosi się czasem takie drobiazgi, takie nic nieznaczące spostrzeżenia, że one tylko kochanych rodziców interesować mogą.

Już co się tyczy napomnień, tych nie skąpiła mi ciotka Dystynkcja nigdy, a niestety, zasługiwałam na nie, zwłaszcza przy jedzeniu.

Przekonałam się bowiem, że jeść porządnie jest niemałą sztuką. W Lipowcach w czasie obiadu musiałam krajać mięso Maniusi, pomagać mamie w nakładaniu na talerze dla braci, nie było więc czasu uważać na staranność jedzenia. Obie z Mamą pragnęłyśmy tylko powstrzymać hałaśliwą dziatwę, żeby nie przeszkadzała ojcu w czytaniu ga-

zety. Biedny tatko pracował cały dzień, więc kurjera przeglądał w czasie obiadu, i jadł szybko, śpiesząc się znów do roboty.

Ale u cioci Dystynkcji przychodziło się do obiadu z pewną uroczystością. Panna Kotka musiała wprzód przyczesać włosy, umyć ręce, oczyścić paznokcie, poprawić ubranie i spojrzeć na zastawę stołu, żeby siedząc przy nim, wyglądać wytwornie i nie wstawać w czasie jedzenia ani po cukier, ani po kompot. Tego ciocia bardzo nie lubiła. Bo też na swem wysokiem rzeźbionem krześle przy obiedzie ciocia miała minę królowej Wiktorji, przewodniczącej parlamentowi angielskiemu, a trzeba było widzieć, jak spoglądała na mnie, kiedy próbowałam jeść nożem sos z talerza, lub gdy w pośpiechu rękę obtarłam o fartuszek, albo usta ręką zamiast serwetą.

— Robią tak w kraju, gdzie serwety nie rosną, powiedziała ciocia, i musiałam przyznać, że miała rację.

Miała ją zawsze kochana ciocia, tylko mnie trudno było pogodzić się z wymaganiami dobrego wychowania.

Dlaczego naprzykład nie wypada krajać przy stole chleba nożem albo wziąć w palce kostki z kurczęcia i ogryźć ją porządnie? A właśnie tę przestrogę dała mi ciocia, wybierając się ze mną na proszony obiad do prezesostwa Waniewskich.

Proszony obiad! Ach! to znaczy siedzieć dwie godziny przy stole, uważając wciąż, aby nie uchybić

etykiecie i rozmawiać z jakim panem radcą, który będzie żartował z podlotka. Prawdziwa pokuta dla roztrzepanej Koci!

Przewidywania moje jednak w części tylko się sprawdziły: miałam istotnie sąsiada nudnego radcę, ale za to z drugiej strony posadzono przy mnie moją drogą Marynię.

— Jestem ocalona! — szepnęłam jej do ucha — nie dopuścisz, abym popełniła jaką niedorzeczność, prawda?

Marynia kiwnęła śliczną swą główką na znak, że bierze podlotka w opiekę, przestrzegając mnie przytem, abym rozmawiając z nią, nie obracała się plecami do mego sąsiada z drugiej strony.

— Miej dobrą wolę, a z najnudniejszego wykrzeszesz może jaką iskierkę, no i nie uchybisz prawom grzeczności — powiedziała Mimi, siadając do stołu.

Rozłożywszy serwetę na kolanach, myślałam właśnie nad słowami Maryni, czy istotnie wykrzeszę z sąsiada radcy ożywczą iskrę rozmowy, kiedy podsunięto mi salaterkę z potrawą, której nie widziałam dotąd. Przypuszczając, że czarne kulki to jakiś nieznany mi gatunek borówek, dałam folgę łakomstwu, gdyż lubię borówki, i nabrałam ich dość dużo na talerz.

Ale jakże nieprzyjemnego doznałam zawodu! Zamiast słodkich konfitur, język mój dotknął czegoś słonego, ślizkiego, klejowatego. Za skarby świata nie połknęłabym więcej tego czarnego szkaradzień-

stwa, którem mój sąsiad smarował cienkie tartynki i zjadał je, mlaszcząc językiem z ukontentowania. Tłusta jego i czerwona twarz zwróciła się teraz do mnie promieniejąca zadowoleniem.

— Widzę, że pani jest także amatorką kawioru; to bardzo dobre — mówił, poruszając szczękami.

— Dobre? Gdzieżtam! to było wcale niedobre i niemądrze zrobiłam, że przez łakomstwo wzięłam na talerz tak dużo nieznanego mi przysmaku, o którym słyszałam nieraz, ale go u nas na wsi nigdy nie jadłam.

Siedziałam zawstydzona, nie mając odwagi skosztować po raz drugi tego zachwalanego kawioru. Sąsiad mój połykał go tymczasem z rozkoszą.

— Czemu pani nie je? Jest świeży, wyborny, proszę mi wierzyć, ja znam się na tem — mówił pan radca, spoglądając łakomie na mój talerz. Byłabym go tak chętnie zamieniła na jego własny, opróżniony do ostatniego ziarnka!

Usłużny lokaj uwolnił mnie nareszcie od porcji, na którą wszyscy spoglądali.

Moją uwagę pochłonął istotnie sąsiad radca i sposób, w jaki zjada zupę. Bo robił to bardzo zabawnie, delektując się każdą łyżką, jak gdyby oceniał, ile funtów mięsa użyto na wyborny rosół. Pamiętna przestróg cioci, jadłam go wolno, wystudziwszy wprzód.

Następne potrawy przeszły szczęśliwie, gdyż znałam je dobrze. Uważałam pilnie aby nie brać za wiele do ust, nie bawić się nakryciem stołowem,

nie opierać na stole, nie mówić, gdy miałam pełne usta, trzymałam zgrabnie nóż i widelec, słowem byłam correcte w całem znaczeniu tego wyrazu. Ściągnęłam tylko niezadowolenie Maryni z powodu kalafiorów, które chciałam jeść nożem i widelcem zarazem.

— Widelcem, samym tylko widelcem jada się jarzynę — szepnęła.

Ale wracam do pamiętnego obiadu, na którym mówiąc nawiasem nie miałam czasu się nudzić, słuchając wesołych rozmów i podziwiając piękne tualety pań. Już to państwo Waniewscy po mistrzowsku umieli podtrzymać ożywioną przy stole dyskusję. Wszyscy bawili się wybornie. Nikomu, nawet memu sąsiadowi, nie przyszło na myśl mówić o pogodzie, o krótszym dniu, o cenie mięsa, o złych sługach, o tych zdawkowych tematach, tak zwykłych, gdy się nie ma nic do powiedzenia, a które tak niecierpliwiły ciocię Paulinę.

— Starajcie się, aby gość wyszedł od was podniesiony na duchu i zajęty tem czemś niebanalnem, co w miarę jego pojęcia wpleść potrafiłyście w wątek rozmowy — mówiła do nas ciocia właśnie w wigilję uroczystego obiadu, i jej słowa przyszły mi na myśl, gdy słuchałam ślicznego toastu, jaki wzniósł pan Waniewski.

Gdy podano pieczyste, przestrzeżona już dawniej przez ciocię, okrawałam mięso z kuropatw na talerzu, choć mi w połowie nie smakowały tak, jak w Lipowcach, gdzie wolno było ogryzać smaczne

kosteczki, trzymając je w ręku. Złorzeczyłam też konwensansom, które dla śmiesznego „nie wypada", pozbawiają ludzi swobody i ulubionych przysmaków. Jednak zauważyłam, że moi sąsiedzi z przeciwka okrawali swoje kuropatwy zręcznie i szybko; widocznie więc można nabrać swobody i w przyzwoitem jedzeniu, naturalnie trzeba na siebie uważać i starać się o to.

Myślałam właśnie o tem, gdy rozległ się huk podobny do wystrzału z pistoletu i przeraził mnie okropnie.

Skoczyłam na krześle, aż roześmiał się mój sąsiad. Przyczyną strachu był korek szampańskiej butelki, który z impetem wyskoczył w powietrze. Nie piłam dotąd szampańskiego wina, kosztowałam go też ostrożnie, zrażona doświadczeniem z kawiorem, ale tym razem skutek przeszedł wszelkie moje oczekiwanie. Wino było słodkie, orzeźwiające i przyjemne, maleńkie perełki gazu drażniły rozkosznie podniebienie. Wypróżniłam prędko kieliszek, a sąsiad mój, ubawiony łakomstwem podlotka, bo go ukryć nie umiałam, dolewał mi wciąż musującego napoju.

I ja niemądra piłam z coraz lepszym humorem, śmiejąc się i rozmawiając głośno i żywo, choć pałały mi policzki, choć migały przed oczami kryształy wspaniałej zastawy, zwierciadła, rozwieszone na ścianach, i światła ośmioramiennych kandelabrów. Marynia tymczasem rozmawiała ze swoim sąsiadem.

Nagle poczułam taki zawrót głowy, że bezradna chwyciłam Marynię za rękę.

— Czyś ty chora Kociu? — szepnęła przerażona Mimi.

— Nie wiem, co mi jest, ale wszystko tańczy wkoło mnie.

— Może wypiłaś za dużo szampana? Jest bardzo mocny.

— Trzy kieliszki, nie, nie więcej, choć pan radca chciał mi jeszcze nalewać.

— Ach! jakże mogłaś być tak nieuważną! — łajała Marynia, nalewając mi wody.

Woda była zimna, z lodem; oprzytomniałam też po jej wypiciu i mogłam przejść z Marynią do ogrodu, bo właśnie wstawano od stołu, żeby na tarasie wypić czarną kawę.

Moja dobra Mimi nie opuszczała mnie teraz ani na chwilę, przyglądałyśmy się z tarasu ekwipażom, jadącym Alejami Ujazdowskiemi, i powoli wracała mi przytomność, a z nią skrucha za popełnione winy. Wkrótce też pożegnałyśmy państwa Waniewskich.

Bogatsza o jedno więcej doświadczenie, wracałam z ciocią Pauliną do domu. W drodze wyspowiadałam się sumiennie ze wszystkich popełnionych niedorzeczności, i tak skończył się ten pierwszy proszony obiad, który na zawsze został mi w pamięci; więc opisałam go dla waszej przestrogi, niedoświadczone jak ja podlotki. Opisałam go i w liście do moich kochanych rodziców; niech się tam Władzia naśmieje ze swej starej.

Następnego wieczora mówiłyśmy z ciocią o tym

moim pierwszym występie i o rozmowach, jakie słyszałam w czasie obiadu.

Przypominam sobie właśnie przestrogę, jaką ciocia wówczas wypowiedziała do Maryni i do mnie.

— Starajcie się mówić to tylko, co żywo czujecie i co dobrze rozumiecie. Nic tak nie obniża skali naszego umysłu, jak czcza rozmowa. W duszy ludzkiej, w potrzebach społecznych i umysłowych tyle jest przecież żywych i niewyczerpanych tematów do rozważenia i do omówienia.

Kochajmy tylko gorąco to, co kochania warte, a będziemy zawsze mieli czem się dzielić z drugiemi, zamiast czas tracić na banalnej rozmowie. Państwo Waniewscy muszą mieć tę miłość, i goście ich wyszli z pewnością lepsi i zagrzani do czynów. O moim sąsiedzie radcy nie mówię, bo i tacy ludzie znudzeni i zajęci więcej jedzeniem niż rozmową często się trafiają; zresztą to jakiś sąsiad, którego zaprosić musiano. Nie mam prawa być dla niego surową.

VI.

NIEZNAJOMY PAN.

Początek jesieni sprowadził do Warszawy różnych znajomych cioci Pauliny, którzy na wsi, u wód, lub tylko podróżując, spędzali zdala od miasta gorące miesiące. Zaczęło się więc wzajemne odwiedzanie; szczęściem te wizyty nie sprawiały mi już takiej przykrości jak pierwsze, kiedy niedoświadczony podlotek nie znał jeszcze form towarzyskich.

— Poczwarka zaczyna powoli przeobrażać się w motyla — powiedziała raz ciocia, a choć moje skrzydła opadały jeszcze czasem w zetknięciu z obcemi ludźmi, czułam sama, że poruszałam się wśród nich swobodniej. Na szczęście, nabierając cech dorosłej, dobrze wychowanej panny, nie traciłam naturalnej wesołości i życzliwości, z jaką zwykłam była w Lipowcach witać ludzi.

Ciocia Paulina umiała prowadzić rozmowę o przedmiotach, interesujących wszystkich gorąco, ożywić ją dowcipem, uprzyjemnić czas muzyką; nikt u nas

nie bywał dla ploteczek i banalnej paplaniny.

— Gość w dom, Bóg w dom — mówiła, i gość ten, czy mniej lub więcej zabawny, czy też pożądany, doznawał zawsze życzliwego przyjęcia; nigdy nie ośmieszano nikogo, bo i sama prawość nie pozwala źle mówić o nieobecnym. Słowo niebaczne razi boleśnie, a językiem można tak kaleczyć jak nożem.

Każdy też zastawał drzwi i serca otwarte; ciocia potrafiła ukryć smutek lub kłopot własny i oddać się zupełnie na usługi odwiedzających, rozmawiając tylko o tem, co przybyłych interesować mogło.

Mnie z łatwością przychodziło naśladować ciocię w gościnności, bo żywa z natury, lubiłam obsługiwać gości i dogadzać im; nieraz nawet ciocia powstrzymywać musiała mój zapał w tym kierunku.

Zaczęły się u nas tak zwane poniedziałki, to znaczy, że w poniedziałek nie wychodziłyśmy z domu. Wieczorem gromadziło się więc w ten dzień liczniejsze towarzystwo, a do mnie należało rozlewanie i podawanie herbaty, w czem zwykle pomagała mi Marynia. Lubiłam bardzo gospodarstwo; przyzwyczajona przez mamę do posług względem naszej licznej rodziny, spełniałam dobrze w salonie ciotki Dystynkcji obowiązki wicegospodyni.

— Nie umiesz Kociu podawać ręki, witając; uścisk ręki powinien być szczery, a podając rękę jak z łaski, zatracamy szlachetne znaczenie tego zwyczaju — mówiła raz ciocia.

Brałam do serca te przestrogi i służyłam gościom

czasem zbyt gorliwie, nawet nalegająco, co dawało pole do nowych napomnień. Podlotek przechodził nową klasę o długim kursie nauk, wchodzących w zakres dobrego wychowania.

Najprzód więc oduczyła mnie ciocia nalewania za pełnych filiżanek herbaty. Trudno mi było zastosować się do tego jej życzenia, bo niepełną filiżankę uważałam za objaw skąpstwa lub braku gościnności. Chodziło tu jednak tylko o nierozlewanie herbaty na spodek, bo mokrą filiżanką można splamić ubranie, co nikomu miłem być nie może. Tę źle zrozumianą uprzejmość i zbytnią gorliwość ciocia studziła, utrzymując, że osoby dobrze wychowane nie potrzebują być ciągle zachęcane do jedzenia, gdyż biorą same tyle, ile uważają za dostateczne.

— A przedewszystkiem służ gościom cicho, powoli, bez hałasu i biegania — mówiła ciocia — niema nic nieznośniejszego jak popłoch, jaki w niektórych domach robi dzwonek, oznajmujący wizytę. Wyrzekłabym się wizyty i przyjęcia, byle nie widzieć rejwachu, jaki przyjściem swojem sprowadzam. Spokój ducha zachować zarówno w wielkich jak i małych sprawach, na tem polega także dobre wychowanie.

— Dobre wychowanie! Kiedyż nareszcie poznam wszystkie kółka tego skomplikowanego mechanizmu? — myślałam po pierwszym poniedziałku, chowając do kredensu resztę owoców i suchych ciasteczek, które tak chętnie byłabym posłała Maniusi. Czułam zadowolenie z siebie: odwiedziny udały się,

a ja służyłam im z całem oddaniem. To też starzy znajomi cioci żegnali serdecznie podlotka, który uprzejmością skarbił ich względy.

Paniom podsuwałam podnóżki, żeby wygodnie siedzieć mogły na staroświeckiej kanapie cioci Pauliny, przynosiłam wodę, dolewałam do niej soku, obierałam z gotowością owoce; starszym panom przysuwałam fotele, wyszukiwałam kapeluszy i czapek, słowem, służyłam chętnie zwłaszcza staruszkom, i co było najtrudniejsze, słuchałam cierpliwie po raz setny tego samego opowiadania.

— Mało pytać, więcej odpowiadać, niż samej mówić, dobrze i uważnie słuchać, nikogo nie obmawiać, nie okazywać gościom zmęczenia, oto reguła rozmowy — mówiła ciocia — a ja szłam za jej radą wedle sił i możności, bo być kochaną, to tak miło, a ja pragnęłam bardzo, aby goście cioci byli życzliwi i jej siostrzenicy.

W Lipowcach znali mnie wszyscy; nikt, tak jak ja, nie umiał dogodzić księdzu proboszczowi przyrządzaniem ulubionej jego mizerji, nikt nie wyprzedził mnie w usłudze dla naszej starej sąsiadki, którą co niedzielę mama zabierała na obiad, więc i w Warszawie pragnęłam być równie uprzejmą. Czemuż ciocia Paulina uśmiechała się, widząc moją gościnność, a po odejściu gości, dziękując mi za pomoc w ich podejmowaniu, dodała znowu w formie przestrogi.

— Dobrze, moja Kociu, tylko trochę przesadzasz. Trzeba wiedzieć, co się komu należy, inaczej mo-

żesz się ośmieszyć, a nawet narazić na nieprzyjemność, lub jaką uwagę.

Zdawało mi się, że tym razem ciocia przesadziła w swej trosce o siostrzenicę, bo przecież uprzejmością i gotowością do usług ani śmieszności na siebie ściągnąć, ani narazić się ludziom nie mogę — myślałam pewna swego, a jednak...

Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Piątego Września, o! tę datę pamiętać będę zawsze, obchodzono rautem zaręczyny panny Jadwigi Waniewskiej. Ciocia jedna z pierwszych otrzymała zaproszenie, i tego samego dnia kupiła dla mnie i dla Maryni jednakowe białe sukienki. Tylko u s... nika Mimi miały być wstążki niebieskie, a przy moim żółte; cieszyło mnie to jednakowe ubranie, i ... dodawało uroku wieczorowi, który zapowiadał się bardzo nudnie, gdyż prócz państwa Waniewskich nie znałam nikogo.

Przyjechałyśmy jedne z ostatnich. Sala była pełna czarnych fraków i strojnych tualet. Przywitałam gospodynię domu, a potem, dojrzawszy Mimi we framudze okna, podeszłam do niej i miałam zamiar nie ruszyć się z zacisznego kącika, w którym mogłyśmy rozmawiać swobodnie.

Wtem patrzę... i nie wierzę własnym oczom.

— Maryniu! spojrzyj, wszak to doktór Sulski rozmawia z temi panami przy piecu? Ten wysoki blondyn w białym krawacie — mówiłam, wskazując go palcem. Tak to on, nie mylę się, był w Lipowcach na wiosnę.

Chciałam już podbiedz i przywitać mego znajomego, ale Marynia schwyciła mnie za rękę.

— Przedewszystkiem, zmiłuj się, nie wskazuj nikogo palcem, bo to nie wypada i zwrócisz na nas uwagę wszystkich, a potem czyż to stosowne, żebyś szła do tego pana wtedy, kiedy on stoi między kilkunastu obcymi nam mężczyznami? Musieliby ci się ustąpić, ażebyś mogła podać rękę doktorowi.

— Nie myślałam o tem — powiedziałam zawstydzona.

— A czy ten pan Sulski jest przyjacielem waszego domu, że pierwsza chcesz go witać?

— Przyjacielem?... Nie, ja go tylko raz widziałam. Przyjechał, bo miał interes do taty, ale został na herbacie, i było mi miło porozmawiać z nim o Lipowcach, o rodzicach...

— Wiesz co, Kostuniu, skoro go tak mało znasz, to lepiej poczekaj, niech on przyjdzie pierwszy przywitać się z tobą. On ma dla ciebie ten urok, że zna twoją rodzinę, ale ty nie obchodzisz go może wcale; gdyby zależało mu na twojem towarzystwie, byłby już zbliżył się do nas.

Przyznałam Maryni słuszność, niemniej cierpiałam nad obojętnością pana Sulskiego, nawet już straciłam zupełnie nadzieję, gdy wtem, o radości! widzę że jasna, jak len, czupryna doktora zwraca się ku nam.

— Idzie! idzie! — szepnęłam, ściskając rękę Mimi, ale zachowałam minę obojętną.

— Jaka to niespodzianka dla mnie spotkać tu panią, panno Konstancjo! Nie wierzyłem własnym oczom, i dopiero pan Waniewski upewnił mnie, że to istotnie panią widzę w Warszawie. Śpieszę więc przypomnieć naszą znajomość z przed pół roku — mówił pan Sulski, witając mnie.

A co, czy nie miałam słuszności? Więc i on cieszy się, że będzie mógł rozmawiać o wsi, o Lipowcach, o tem wszystkiem, co mnie tak żywo interesuje, a ja miałam być na to zupełnie obojętną?..

— Więc i ja nareszcie mam znajomego w Warszawie — myślałam, i uszczęśliwiona spotkaniem, rozmawiałam z nim jak ze starym przyjacielem, opowiadając mu dzieje swego pobytu w Warszawie i zapominając nawet o Maryni, a tembardziej o całem obcem mi towarzystwie.

Nagle spostrzegłam, że ciotka Paulina patrzy na mnie zdziwionemi oczami i widocznie jest niezadowolona.

— Ciocia nie zna pana! — zawołałam, zrywając się z krzesła i biorąc go za rękę, żeby go zaprowadzić do cioci; ale pan Sulski wstrzymał mnie, mówiąc, że poczeka chwilę, bo ciocia teraz rozmawia z innemi paniami. Uwaga ta zmieszała mnie i ostudziła w zapale.

Znów więc popełniłam niestosowność! Po chwili Dr. Sulski podszedł do cioci i przedstawił się, ale ona, tak zwykle anielsko dobra dla wszystkich, witając go, miała coś w zachowaniu, co mimowoli odsuwało pana Sulskiego od nas obu, a przecież przed

chwilą rozmawiałam z nim tak szczerze o swoich siostrzyczkach, o naszych polach, o domu rodzicielskim.

Czemuż więc ciocia obojętniej niż innym skinęła mu głową, gdy się od nas oddalał?

— Czy pan Sulski jest przyjacielem mego brata? Nigdy o tem nie słyszałam — mówiła ciocia, prowadząc mnie do kanapki z wyrazem niezadowolenia na ustach. Usiadłam ze strachem, bo czułam, że postępowanie moje nie podobało się jej. Odpowiedziałam więc nieśmiało.

— Pan Sulski był raz u nas, przyjacielem tatki nazwać go więc nie mogę, ale tak mi było miło zobaczyć w Warszawie znajomego ze wsi...

— Że z radości zapomniałaś, co przystoi dobrze wychowanej panience; patrzano też ze zdziwieniem na swobodę twego zachowania. Co ci się stało, dziecko? Ty, zawsze taka nieśmiała i cicha, chichotałaś dziś i szeptałaś z tym panem, jak gdyby to była Marynia, a nie obcy dla ciebie mężczyzna.

— Ach cioteczko, opowiadałam mu o swoich występach w Warszawie, że często łajać mnie musiałaś za popełnione niedorzeczności.

— Więc masz aż tak wielkie zaufanie do pana Sulskiego? — przerwała ciocia — a czy znasz go dosyć, aby wiedzieć, że nie wyśmieje twej naiwności?

— O nie, ciociu! słuchał uważnie wszystkiego, co mu opowiadałam o sobie i o co go wypytywałam; gdyby był zły, nie zajmowałyby go sprawy mojej rodziny.

— Miałże uciec od panienki, robiącej mu zwierzenia?

— Ależ cioteczko — przerwałam blizka płaczu.

— Nie, nie daruję ci, musisz wysłuchać kazania za nierozwagę. Twój pan Sulski opowiada może w tej chwili swoim znajomym, jaki to jeszcze dzieciak z tej panny Konstancji i oni się bawią kosztem mojej siostrzenicy.

— Ciociu, zmiłuj się, nie mów tego — błagałam, powstrzymując łzy, które mi się cisnęły do oczów.

— Miejmy nadzieję, że tak źle nie będzie — pocieszała ciocia — a przedewszystkiem obetrzyj oczy, Kociu, i staraj się powstrzymać wzruszenie, bo dasz widowisko numer drugi. Ot nadchodzi Marynia, ona lepiej, niż ja, potrafi cię uspokoić.

Dobra, kochana Mimi siadła ze mną w tej samej co wprzód framudze okna; przysłonięta firanką, mogłam opowiedzieć jej wszystko. Ale ją także zgorszyło moje zachowanie.

— Byłabym przerwała waszą rozmowę, lecz nie wypadało, bo nie znałam twego przyjaciela.

— Dla czego nazywasz pana Sulskiego moim przyjacielem, Mimi? On może nie wart mego zaufania, może wyśmiewa teraz niemądrego podlotka — mówiłam smutna i zniechęcona.

— Nie, tego nie przypuszczam. Ma łagodną i rozumną twarz, a z oczów dobrze mu patrzy, więc zaufania twego nie zdradzi, jestem pewna.

— Czy istotnie tak sądzisz, Mimi? — zawołałam ucieszona.

— Nie mówiłabym tego, czego nie czuję; uspokój się więc i przejdźmy do drugiego pokoju, gdzie właśnie ktoś grać zaczyna. Posłuchasz muzyki, dobrze?... a ja pójdę pomódz pannie Jadwidze. Prosiła mnie o to. Już wnoszą łody, a trzeba wskazać służącym, komu je najprzód podać wypada.

Dobra Mimi! ona zawsze umie być pożyteczną, a przytem nie narzuca się ludziom i nie przesadza w grzeczności — myślałam ze skruchą, jedząc powoli porcję lodów, którą kochana moja przyjaciółka podała mi na osłodzenie smutnych wrażeń. Odpoczywałam też istotnie po doznanych przykrościach i obca wśród gości, słuchając muzyki, patrzyłam na siedzące obok mnie osoby.

Czy wszystkie te panie i panny zachowują się właściwie, czy w ich obejściu nie znalazłaby ciocia Dystynkcja żadnego przekroczenia przeciw zasadom dobrego wychowania? — mówiłam do siebie.

Ale napróżno śledziłam każdy ich ruch, każdy ukłon, każde odezwanie: strojni i wykwintni goście byli bez zarzutu.

— Więc tylko ja jestem plamą na tym pięknym obrazie — pomyślałam i odwróciłam głowę zniechęcona, gdy nagle wzrok mój padł na niemłodego, jak sądziłam, pana, który widocznie obcy tu był wszystkim, bo wyglądał jak onieśmielony i, nie wiem dla czego, wydał mi się być wieśniakiem.

Pomyślałam, że i jemu zapewne nieswojsko wśród tego świetnego warszawskiego towarzystwa. To obudziło moją sympatję dla nieznajomego.

Ucichła muzyka, i razem z ostatnim jej taktem powstała ożywiona w salonie rozmowa; tylko nieznajomy stał, trzymając w ręku spodek po zjedzonych lodach, i nie wiedział biedak co zrobić z tym fantem.

Właśnie miałam odnieść swój talerzyk.

— Na uprzejmości nikt nigdy nie traci — pomyślałam i podszedłszy do nieznajomego, odebrałam od niego spodek, współczując nieśmiałemu i nieobytemu z warszawską wytwornością, ja, która w paradnych salonach byłam także obcą.

Odpowiedzią na to był niezgrabny ukłon, przeciągły cichy wykrzyknik zdziwienia i wdzięczności, a potem nieznajomy stanął znów onieśmielony, rzucając wystraszone spojrzenia po obecnych.

Wróciłam na dawne miejsce, słuchając prześlicznego preludjum Chopina.

Przyszła mi nagle wątpliwość. Czy ten pan jest istotnie stary, a przynajmniej to, co się nazywa starszy? Bo jeśli starym nie jest, uprzejmość moja była może zbyteczna?.. Spojrzałam na niego raz jeszcze, a nie będąc pewna, spojrzałam znowu. Nie, on, niestety, wcale na starego nie wygląda, tylko ma taką dziwną minę. Nie poprzestałam na przelotnym sądzie i po raz trzeci przypatrzyłam się swemu sąsiadowi, teraz bardzo dokładnie. Ach! czemuż niema tu cioci lub Maryni, żebym się ich spytać mogła o tego jegomościa i jego wiek?

Jest do kogoś podobny. Do kogo, może do wuja Jerzego?.. Czy czasem nie do brata Klarci? Nie,

on prędzej przypomina nowego sąsiada Lipowiec.

Tak, tak, niezawodnie — myślałam, ale nie śmiałam już teraz spoglądać ku nieznajomemu, bo chociaż spuszczoną miałam głowę, widziałam, że i on patrzy na mnie bardzo uważnie.

Co on we mnie widzi szczególnego? Mógłby też nie wytrzeszczać tak oczów, przecież nie jestem dziwolągiem. Patrzy, ciągle patrzy. Lepiej pilnowałby kapelusza, który tak niezgrabnie w ręku trzyma.

Co to jest wymówić przestrogę w złą godzinę!

Pac! wypada mu z rąk kapelusz i toczy się pod mój fotel. Niewiele myśląc, schylam się i podnoszę szapoklak, ale zanim zdążyłam wręczyć go nieznajomemu, już upuścił rękawiczki; znów więc podnoszę je i oddaję. Ukłon numer pierwszy, potem jakiś niewyraźny pomruk, w którym domyśliłam się dziękczynnej oracji, znów ukłony bez końca, po których nieznajomy staje przy mnie zaklęty w posąg niemej wdzięczności.

— Boże mój Boże! czyż on ciągle tak stać będzie? — myślę, i biorę ze stolika album Matejki.

Daremnie jednak pogrążam się w oglądaniu fotografji; nieznajomy stoi wciąż i spogląda na obrazki, które trzymam w ręku. Omal nie parsknęłam śmiechem, bo podobny był do bociana, upatrującego żaby z wysokości swoich długich nóg.

Niewiele myśląc, podałam mu jednak obejrzaną przez siebie fotografję, sądząc, że tym sposobem pozbędę się natrętnego sąsiada. Ale uprzejmością

odczarowałam zaklętego smoka. Na widok «Hołdu pruskiego» i «Unii lubelskiej» pan nieznajomy ożywia się, siada na stojącem obok mnie krześle i zaczyna tak pięknie tłómaczyć tekst obrazów, że słuchałam z największą przyjemnością jego objaśnień, wymówionych głosem przyjemnym.

Czasem tylko przypominają mi się przestrogi cioci, że nie powinno się rozmawiać z obcemi i nie przedstawionemi nam mężczyznami.

Czyż jednak warto zważać na drobiazgi wobec pięknego wykładu o sztuce i historji?

Bo mój nieznajomy był widocznie wielkim znawcą malarstwa i wysoko wykształconym w naukach.

Nagle widzę niebieskie wstążki mojej drogiej Mimi, a zaraz potem także niebieskie jej oczy, bardzo zadziwione, któremi patrzy na mnie.

— Daruje pan — mówię zaczerwieniona po same uszy, bo czuję burę w powietrzu — daruje pan, ale szukają mnie — i z temi słowami biegnę do Mimi.

A Mimi...

— Nie wiedziałam, że pan jest tu także; cieszę się bardzo ze spotkania — mówi Marynia, wyciągając uprzejmie rękę na powitanie.

— Mimi, to ty znasz tego pana? — szepcę do przyjaciółki — przedstawże mi go, proszę.

— Rozmawiałaś tak swobodnie, a nie wiesz nawet z kim? — odpowiada Mimi zdziwiona.

Prawda! czyż to wypadało? Ach Mimi, Mimi! gdybyś wiedziała, że przez uprzejmość odnosiłam jego talerzyk, podawałam mu kapelusz i rękawiczki!

Tymczasem pan nieznajomy wyglądał także jak winowajca. Tylko Mimi zachowała zwykły spokój i wedle wszelkich form zaprezentowała mi kolegę swego brata, pana Gustawa Halickiego.

Dygnęłam, pociągnęłam Marynię za rękę i wybiegłyśmy z nią do salonu; od progu jednak kiwnęłam jeszcze uprzejmie głową panu Halickiemu, bo widziałam, z jak nieszczęśliwą miną zostawał znów sam wśród obcych i krępujących go osób.

— Co ci się dziś stało, Kociu? — żartowała Mimi—nie poznaję mojej nieśmiałej przyjaciółki. Przed chwilą zaszczycałaś swemi względami doktora Sulskiego, teraz znów zawracasz głowę temu panu. Doprawdy warta jesteś medalu, jeśli potrafiłaś rozruszać poczciwego dziwaka; tylko może niepotrzebnie przerwałam rozmowę...

— Ach Mimi, Mimi! czyż się godzi tak żartować z przyjaciółki? Ja doprawdy zasłużyłam na naganę, ale gdybyś wiedziała, jaką ten twój pan Halicki miał nieszczęśliwą minę! Więc chciałam go pocieszyć.

— Bylebyś tylko, pocieszając go, nie zawróciła mu głowy, bo biedak wciąż za nami patrzy — i Marynia śmiała się, a ja piekłam raki, istotnie bowiem pan Halicki nie spuszczał nas z oczu.

Szczęściem nadeszła ciocia, dając znać, że czas jechać do domu. Marynia zaś, wsiadając do dorożki, jeszcze winszowała mi niezwykłego powodzenia na raucie.

VII.

ZABAWNE NIEPOROZUMIENIE.

Nazajutrz po owym pamiętnym wieczorze, właśnie kiedy czytałam list, odebrany z Lipowiec, Mimi przyszła jak zwykle na lekcję. Zaczęła jednak od prześladowania mnie panem Halickim, nazywając go moją ofiarą. Śmiałyśmy się obie i chichotały, aż ciocia zapytała nas o przyczynę niezwykłego rozbawienia. Musiałam więc opowiedzieć całą historję mojej nowej znajomości. Szczegóły tego poznania były tak śmieszne, że żartowałyśmy dalej, teraz już wszystkie trzy, na mój koszt.

W końcu jednak ciotka Dystynkcja wzięła górę nad wesołą ciocią Pauliną i zaczęła się nauka na temat dobrego wychowania, jakto zawsze i we wszystkiem trzeba zachować miarę, jak nie należy przesadzać nawet w uprzejmości. Bo wyspowiadałam się cioci uczciwie i z talerzyka i z podniesionego kapelusza i z podawanych rycin.

— Mea culpa, mea maxima culpa — mówiłam

skruszona, a cioteczka prawiła dalej, tylko teraz kazanie miało za temat miłość bliźniego.

— Nie godzi się wyśmiewać pana Halickiego— mówiła—jest niezręczny i nieśmiały, ale ma z pewnością dobre serce. Wiem od twego brata, Maryniu, jaki to zacny człowiek i jak cierpi, że śmierć zabrała mu niedawno obojga rodziców, a rodzeństwa i bliższych krewnych nie miał nigdy. Kto wie? Może spragniony uczucia, wziął twą uprzejmość, Kociu, za głębszą sympatję, a wy z niego żartujecie, nie myśląc o tem, jak smutnym czuje się człowiek, którego nikt nie kocha.

— Cioteczko!—zawołałam wzruszona—nie mów tak, bo mi doprawdy przykro. Któż mniej ode mnie ma prawo wyśmiewać niezręczność i złe zachowanie się? Ale jestem pewna, że pan Halicki sam żartuje z podlotka, prawda Mimi?

Dzwonek, oznajmiający przyjście profesora, przerwał burę; ciocia jednak, odchodząc, jeszcze pogroziła nam palcem.

Tego samego dnia, właśnie kiedy kończyłyśmy ostatnią lekcję, wszedł doktór Sulski. Zaczerwieniłam się po same uszy i spojrzałam wystraszona na ciocię, bo stanęła mi nagle w oczach cała niewłaściwość mego wczorajszego postępowania. Ździwiłam się jednak, spostrzegłszy, że ciocia Paulina z widoczną radością przyjmuje gościa.

Ciocia bywa czasem istotnie niepojęta. Dla czego wczoraj zupełnie inaczej go traktowała?...

Ale gość wart był, trzeba przyznać, dobrego

przyjęcia. Rozmawiał swobodnie, okazując cioci, a nawet nam obu z Marynią wielkie względy. Chyba więc nie żartował ze mnie? — pomyślałam i nabrawszy odwagi, zaczęłam mieszać się do rozmowy. Jakiś dobry sylf podpowiadał mi stosowne odpowiedzi, nawet ciocia po odejściu doktora przyznała, że zachowywałam się tak rozsądnie, jak dorosła panna.

— Ach cioteczko! — zawołałam — ależ ty także byłaś dziś zupełnie inną dla pana Sulskiego, niż wczoraj.

— Bo swoją bytnością przekonał mnie, że właściwie ocenił twoje wczorajsze zachowanie i z naiwności podlotka śmiać się nie myśli. To mi się podoba; pan Sulski jest wykształconym i prawdziwie dobrze wychowanym człowiekiem, a takiego zawsze pragnę widzieć w swoim domu.

Skoczyłam cioci Paulinie na szyję i uściskałam ją serdecznie, bo jej słowa po wczorajszych zmartwieniach pocieszyły mnie zupełnie. Szkaradna Mimi żartowała jednak trochę z mego przyjaciela, jak nazywała doktora Sulskiego.

— Oddam ja ci kiedy te żarty z procentem — powiedziałam, zamykając drzwi za odchodzącą, a byłam w bardzo dobrym humorze, bo zdawało mi się, że nareszcie jestem już dorosłą panną, która rozsądnie rozmawiać potrafi, no, i nie narazi się już swem zachowaniem na śmieszność lub naganę.

Niestety jeszcze tego samego dnia popełniłam niedorzeczność, tak jest, wielką niedorzeczność!...

Zacznijmy więc protokół nowej winy.

Miałam kilka sprawunków do załatwienia i prosiłam ciocię, aby mi pozwoliła iść po nie.

Zdawało mi się, że znam już dobrze miasto i że potrafię z wyborem zakupów poradzić sobie sama.

— Śpiesz się tylko, Kociu, bo dzień krótki — upominała mnie ciocia.

Śpieszyć się! Łatwo to powiedzieć starszej osobie, która wie ceny towarów i zna ich gatunek. Ja przeciwnie, dość długo robiłam sprawunki. Dopiero gdy zapalono lampę w sklepie, spostrzegłam, że jest już późno i miałam zamiar wracać prędko do domu; ale na rogu ulicy zobaczyłam wystawę obrazów, a obrazy, to moja słabość; nie mogę przejść koło nich, żeby im się nie przypatrzyć.

Teraz więc także stałam, podziwiając śliczny tatrzański krajobraz i główki aniołków, które mi zupełnie przypominały moje siostrzyczki. Ach, jakże były do nich podobne! A ja jak bardzo stęskniłam się już za temi drogiemi różowemi buziakami! To też patrzałam dość długo i miałam już odejść, gdy na przeciwnej ścianie dojrzałam kopje tych samych obrazów, które mi wczoraj objaśniał pan Halicki. Ucieszona i rozbawiona przypomnieniem, stanęłam przed mistrzowskiemi dziełami Matejki, gdy wtem zajrzał mi pod kapelusz jakiś pan. Odskoczyłam od wystawy sklepowej i zaczęłam iść prędko ku domowi, lecz szkaradny natrętnik szedł krok w krok za mną, próbując zawiązać rozmowę.

Byłam blizka płaczu, bo przypomniałam sobie,

co mówiła Mimi, że dobrze wychowana panna zapóźniać się na ulicy nie powinna. Teraz dopiero spostrzegłam, jak bardzo się zapóźniłam, i to w dzielnicy miasta, której prawie nie znałam.

Ścigana przez nieznajomego natręta, szłam coraz prędzej, ale niestety, zmieszana, prawie nieprzytomna, tembardziej zmyliłam drogę.

— Czemuż nie wsiadłaś do dorożki? — powie zapewne niejeden rozsądniejszy odemnie podlotek.

Tak, czemuż? — o moje siostrzyczki! gdybym była umiała zachować zimną krew, pewnie oszczędziłabym sobie wiele przykrości, ale niestety, panna Kocia zbyt była roztrzepaną.

Bo wyobraźcie sobie moje położenie i przyznajcie, czy nie było ono okropne? Zbłąkana wśród nocy w Warszawie, a do tego ten niegodziwiec następujący mi na pięty!

Straciłam już głowę z rozpaczy, gdy wtem... spostrzegam znajomą twarz... pana Halickiego, jego to bowiem spotkałam w chwili największego niebezpieczeństwa.—Jest więc dla mnie ratunek! — myślę w duszy i chwytam go za rękę.

— Ach panie! niech mnie pan odprowadzi do domu — mówiłam, łkając prawie.

Poczciwiec, widocznie pojął odrazu przykrość mego położenia i tak spojrzał na prześladującego mnie natręta, że ten ulotnił się jak kamfora. Wtedy dopiero ochłonęłam i idąc pod rękę z panem Halickim, zastanowiłam się nad niedorzecznością mego postępowania.

— Co on sobie o mnie pomyśli? — pytałam sama siebie zawstydzona, podczas gdy mój towarzysz nie zdradzał niczem wczorajszej nieśmiałości. Z wielką dobrocią starał się owszem uspokoić mnie, objaśniając kierunek ulic, któremi iść byłam powinna. Umiał przytem tak mnie zająć rozmową, że zapomniałam o łzach i pod opieką tego człowieka czułam się swobodną. Tylko oczy jego patrzyły na mnie z wyrazem jakby rzewnej powagi; wiedziałam jednak, że pan Halicki jest dziwakiem, i nie roztrząsałam bliżej sposobu jego dzisiejszego obejścia się ze mną.

Tak doszliśmy do domu. Podziękowałam serdecznie memu opiekunowi, który odchodząc, o dziwo! zapowiedział mi swoją wizytę na dzień następny.

— Ho! ho! toś się rozruszał, mój panie — myślałam, śpiesząc do cioci, żeby jej opowiedzieć swoją nową przygodę.

Dostałam jednak taką burę, jak nigdy jeszcze za żadne przewinienie.

— Bardzo mnie zmartwiłaś twem niedorzecznem zachowaniem się, Kociu! — mówiła ciocia. Praca i położenie osamotnione zmusza dziś tysiące kobiet wychodzić na ulicę bez innej opieki, jak własny ich takt w postępowaniu. Czyż zawsze będziemy lalkami, potrzebującemi sztucznych podpórek, żeby kierowały każdym naszym krokiem? Pragnę wyprowadzić cię na dzielną kobietę, która potrafi odpowiadać sama za siebie i nie narazi się na przy-

krość przez lekkomyślne lub nietaktowne postępowanie, trzeba zatem myśleć o tem, co się robi.

Ucałowałam ręce cioci i skruszona siadłam cichutko pisać notatki z literatury na dzień następny.

Ale pomimo skruchy, zamiast Wincentego Pola i Lenartowicza, wspominałam wciąż pana Gustawa.

— Przyjdzie, nie przyjdzie — powtarzałam, rachując szpilki w poduszeczce. Było ich jedenaście, wypadło więc, że przyjdzie.

— Czy przyjdzie istotnie?.. On, dziwak, który nikomu wizyt nie składa? — pytałam sama siebie.

Niedługo byłam w niepewności, bo następnego dnia rzeczywiście przyszedł.

Zmieszałam się i powitałam go jak najprzyjaźniej, ale niestety, im bardziej starałam się okazać mu swoją wdzięczność, tem więcej ciocia, taka zazwyczaj dobra, stawała się chłodną i ceremonialną. Biedny pan Gustaw zesztywniał, jak zwykle przy obcych ludziach, to też w salonie panowała atmosfera nie do zniesienia. Gdyby były w nim muchy, z pewnością spadłyby uduszone z sufitu. Na szczęście much niema we wrześniu w Warszawie, nie zleciała więc żadna ani na mój nos zadarty, ani na smutnie spuszczony nos pana Halickiego. A ja, jakaż byłam zła i zasmucona!..

Kiedy nareszcie pożegnał nas biedaczek, zwróciłam się do cioci z gorzką wymówką.

— Oto jak ciocia przyjmuje biednego człowieka, który nie ma ani rodziców, ani rodzeństwa, na co mnie i Mimi wczoraj zwrócono uwagę!

— Chciałam chłodnem obejściem przeciwważyć bezgraniczną uprzejmość mojej siostrzenicy, o której pan Halicki sądzi zapewne, że jest albo zalotną, albo w nim zakochana.

— Ja zakochaną! — zawołałam, śmiejąc się na cały głos, tak zabawnem było przypuszczenie cioci. Ja dzieciak, podlotek, niemądra wiejska gąska, która co krok popełnia niedorzeczności, miałabym być zakochaną! A moje lekcje, a notatki z literatury i historji? Kiedyż mogłabym je skończyć?.. Zakochaną i to w kim?.. W sztywnym, uroczystym, nieśmiałym dziwaku, którego w salonie państwa Waniewskich wzięłam za starszego, jeśli nie starego człowieka. Temu ocenieniu jego wieku zawdzięcza przecież, że odniosłam jego talerzyk, co byłoby zupełnie niewłaściwem, a rozumiałam to dobrze, gdyby pan Halicki miał naprzykład lat 24.

— Prawda cioteczko? — mówiłam, ściskając i pieszcząc ciocię Paulinę tak długo, aż dobra ciocia rozchmurzyła swe czoło i dała nareszcie rozgrzeszenie.

Potem poszłam do swego pokoju pisać francuskie ćwiczenie, następnie wysłałam list do moich kochanych rodziców i grałam trochę na fortepianie. Nazajutrz weszła do nas Mimi z miną niesłychanie uroczystą i... jakby to wyrazić... pękła owa w powietrzu wisząca bomba, zapowiedziana przez ciocię.

Posłuchajcie czytelniczki...

Ja. Co ci to Mimi? Dla czego patrzysz na mnie tak dziwnie i nic nie mówisz?

Mimi (zakłopotana). Nie wiem Kociu, czy mam się śmiać, czy płakać.

Ja. Zawsze lepiej się śmiać, śmiej się więc i kochaj mnie, ale powiedz nareszcie, co się stało?

Mimi. Tak, ale tu chodzi o rzecz bardzo poważną, a głównie dotyczy to ciebie.

Ja. Przerażasz mnie, może pójdziemy do cioci.

— Tak pójdźmy do cioci — mówi Marynia wzdychając, jak gdyby stofuntowy ciężar przygniatał jej piersi.

U cioci więc, w ulubionym moim zielonym pokoju (kolor nadziei) dowiedziałam się, że... nie wiem jak to powiedzieć... że pan Halicki... wyobraźcie sobie... chce prosić o moją rękę!

Mimi, wymówiwszy z trudnością słowa poselstwa, upadła wyczerpana na fotel; ciocia stała skamieniała i uroczysta jak statua Komandora, ja tylko śmiałam się niepowstrzymanym śmiechem, aż oburzona Mimi zaczęła mi wyrzucać moją niewdzięczność dla pana Halickiego.

— Ależ Mimi, czy może kto myśleć o żenieniu się ze mną?... Czy ja, niemądry podlotek, wyglądam tak, jak wyglądać powinna porządna żona? — zawołałam, i Mimi, porwana moją wesołością, rozśmiała się także. Lecz ciocia Paulina zgromiła nas obydwie.

— Przedstawiałam wam już raz, jak niepoczciwie jest żartować sobie z uczuć innych ludzi — mówiła, zwłaszcza gdy ci ludzie są samotni, a smutno jest iść przez życie bez towarzysza. Cóż więc w tem

śmiesznego, jeśli pan Halicki łudzi się, że znalazł w Koci serce, które go odczuć i zrozumieć potrafi? Należy uszanować takie złudzenie, a nie wydrwiwać je bez miłosierdzia, jak to wy robicie.

— Cioteczko droga — przerwałam skruszona — nie mów tak, bo mi doprawdy bardzo przykro. Ale cóż poradzę? Byłam nieuważna, zbyt śmiała, postępowaniem swojem zasłużyłam na naganę, trudno jednak, bym dla tego miała iść za pana Halickiego, kiedy wolę się uczyć; i rodzice też dla nauki wysłali mnie do Warszawy.

— Opowiedzże Maryniu, w jaki sposób dowiedziałaś się o zamiarach pana Halickiego? — zapytała ciocia, siadając na fotelu dla wysłuchania sprawy, której miałam być bohaterką, a być bohaterką, muszę to przyznać, jest zawsze pewnym tryumfem dla 16-letniego... dziewczątka.

Wkrótce jednak doznałam wielkiego upokorzenia; zwierzenia bowiem, zrobione przez pana Gustawa bratu Maryni, wykazały, że ten szlachetny Don Kiszot dał się oszukać pozorom, i uprzejmość niemądrego podlotka wziął za uczucie, które jakoby wylęgnąć się miało dla niego w serduszku szesnastoletniej, naiwnej wieśniaczki.

Ergo, pan dziwak wywnioskował sobie, że ponieważ jest sam na świecie, ponieważ jak markiz de Carabas z bajki o kocie w butach, ma dwór i pola i łąki i lasy, a nie ma z kim dzielić darów, jakiemi obsypała go fortuna, zatem postanawia, powodowany wdzięcznością, uszczęśliwić podlotka, wy-

nosząc go do godności swej małżonki i pani na polach, łąkach, lasach etc. etc. etc.

Dobrze, że ciocia nie będzie czytała tego, co tu napisałam, bo byłabym znów łajana za brak serca nieczułość i t. d. i t. d. Kochaną cioteczkę wzruszyła wzniosłość uczuć pana Halickiego; byłaby może nawet skłonną popierać jego zamiary, chociaż nie przyznawała się do tego i mówiła tylko o niezrażaniu szlachetnego człowieka, o zostawieniu sobie pewnego czasu do namysłu... i t. d. i t. d.

Ja jednak wiedziałam doskonale odrazu, co mam odpowiedzieć na propozycję pana Gustawa. Jestem w Warszawie na to, żeby nabyć przez wyższe wykształcenie szerszego pojęcia o obowiązkach moich względem siebie samej, rodziny i ludzkości. Mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że pracuję porządnie. Z każdym dniem otwiera się w moim umyśle nowe okno na horyzonty dotąd nieznane. Czasem rwie mi się dusza do Lipowiec, żeby zacząć już pracę wytwórczą na własną rękę i miłością podnosić koło siebie to, co podniesienia potrzebuje. Czuję jednak, że im więcej zaczerpnę skarbów z wiedzy, z przykładów i prądów, jakiemi tu żyję, tem więcej dać będę mogła innym.

I miałabym wyrzec się wszystkich moich marzeń o samodzielności i wpływie, dla tego, że szlachetny, przyznaję to chętnie, pan Gustaw, postanowił uszczęśliwić rozmarzonego podlotka?

— Nie cioteczko, tego nie zrobię. Zbłądziłam przez brak znajomości form towarzyskich, byłam dla

pana Halickiego zbyt uprzejma, bo wiedziałam, że jest sam i smutny; często nie wiem, co wypada, a co nie wypada; wtedy ciocia Dystynkcja ma prawo gniewać się na mnie i pan Gustaw słusznie śmiać się może z podlotka, ale podlotek nie skłamie uczucia, bo go nie ma. Markiz de Carabas niech i nadal zachowa dla siebie dwór, pola, łąki; podlotek dużo jeszcze musi pracować, a jeśli kiedy odda swoją rękę komu, to odda ją razem z sercem — nigdy inaczej.

Kochana ciocia Dystynkcja wysłuchała cierpliwie mojej perory, groziła mi jednak surowo za upór, uśmiechając się przytem poczciwie; ale Marynia uściskała przyjaciółkę.

— Dobrze mówisz, Kociu — rzekła poważnie — tak być powinno, rękę razem z sercem, inaczej jest to kłamstwo, oszukaństwo i nieszczęście!...

Co też rodzice powiedzą na to zabawne zdarzenie? — myślałam sobie, siadając do opisania im tak ważnego wypadku w mojem życiu.

VIII.

JANINA.

Życie jednostajne, jakie prowadziłam w domu cioci Pauliny, a bardziej jeszcze lekcje, odrabiane z kochaną Mimi, zatarły w mej pamięci wrażenia romantycznej przygody, którą opisałam w poprzednim rozdziale. Dzień schodził za dniem, czułam się szczęśliwą, a jednak wyczekiwałam z niecierpliwością soboty, bo w sobotę odbierałam zawsze list z Lipowiec. Mama pisywała regularnie, w czem wyręczała ją czasem siostrzyczka Władzia, nawet Maniusia przysyłała mi dość często próbki swej kaligrafji. Uszczęśliwiały mnie one, gdyż widziałam z nich, że kochane maleństwo nie zapomniało siostry.

Tęskniłam do rodziców, ale rosło i moje przywiązanie do ciotki Pauliny; znałam ją już teraz doskonale, wiedziałam, co ją cieszy, a co smuci, więc też od kilku dni niepokoiłam się bardzo, bo kochana ciocia wydawała mi się wzruszoną, spostrzegłam nawet łzy w jej oczach.

Łzy!... Ciężkie zmartwienie musiało wstrząsnąć do głębi duszą biednej cioteczki, skoro nie była w stanie zapanować nad smutkiem.

— Ach jak to boli, nie módz ulżyć ukochanej osobie! — myślałam, ale nie śmiałam pytać o powód zgryzoty.

— Jesteś Kociu rozsądnem dzieckiem — powiedziała nareszcie jednego dnia ciocia — mogę ci więc zaufać i opowiedzieć smutne sprawy, dotyczące mej rodziny, z tem naturalnie zastrzeżeniem, że oprócz Maryni nikt się o nich od ciebie nie dowie.

Przytuliłam do ust rękę kochanej cioci i spojrzałam jej w oczy z miłością. Zrozumiała niemą prośbę i obietnicę moją, bo mówiła dalej.

— Mało możesz pamiętać, Kostuniu, mego męża a twego wuja; umarł, kiedy byłaś dzieckiem, nie wiem więc, czy znane ci są dzieje naszego życia. Proste one, chociaż bardzo smutne.

Byłam najszczęśliwszą żoną i matką, gdy Bóg najprzód zabrał mi syna, a potem męża. Tem silniej przywiązałam się do jedynego pozostałego po nim brata, którego wuj, umierając, polecił mojej opiece, choć brat był nawet znacznie starszym od niego.

Adolf, takie bowiem jest imię mego szwagra, stracił żonę, której wartość ocenił dopiero po jej śmierci. Zastała mu po niej córeczka.

Wbrew radom przyjaciół i moim, zaślubił powtórnie młodą, śliczną, ale bardzo lekkomyślną kobietę. Miała ona wychowywać jego sierotkę, ukochane przez mego męża dziecko.

Niestety, aż nadto prędko przekonał się mój szwagier, jak nietrafny zrobił wybór. Mała Janina, pieszczotka mego męża, dostała się pod wpływ nie złej, ale wszystko lekko biorącej matki.

Za późno Adolf poznał błąd popełniony, złamał on jego życie. Kilka lat małżeństwa z kapryśną żoną zmęczyły go, a jego córeczka wyrosła pod wpływem macochy na rozgrymaszoną i samowolną, chociaż w wysokim stopniu oryginalną dziewczynę. Dogadzano wszystkim jej zachceniom tem łatwiej, że sierota odziedziczyła po swej matce znaczny majątek.

Janina jest sympatyczną pomimo swych wad, i nieraz prosiłam Adolfa, aby dał mi ją na dłuższy pobyt; ale nie miał odwagi rozstać się z córką, bo była mu jedyną radością życia.

Naraz, listem, który dziś odebrałam, zawiadamia mnie szwagier, że nie mogąc znieść dłużej pożycia z żoną, wyjeżdża na Wołyń, gdzie założył fabrykę przetworów chemicznych, a jego rozkapryszona małżonka mieszkać będzie u matki w Lublinie. Ninę zaś powierza Adolf moim staraniom.

Odpisałam, że gotowa jestem przyjąć biedne dziecko pod swój dach, podczas gdy szwagier, chory i złamany życiem, musi szukać zapomnienia w pracy. Oczekuję więc gościa, Kociu, i przemawiam za nim do ciebie, bo gość ten nieraz może zrobi ci przykrość. Wiem z góry, że zadanie nas obu nie będzie łatwem, ale odwołuję się do twego serca i proszę, pomóż mi poprawić Ninę z jej wad.

Zabrawszy się szczerze do dzieła, uratujemy może szwagrowi duszę jego dziecka i z twoją pomocą spełnię przyrzeczenie dane memu mężowi. Ostatnia prośba umierającego była prośbą za Adolfem i Niną, ażebym nad niemi czuwała.

Rzuciłam się cioci na szyję i byłabym przytuliła w tej chwili do serca ową nieznaną mi Janinę, bo pragnęłam gorąco, aby wszyscy odczuć mogli szczęście przebywania z ciotką Pauliną. Ale kiedy minęło pierwsze wrażenie, pomyślałam, że przyjedzie piękna, utalentowana dorosła panna, która spędzała miesiące całe po różnych europejskich badach, a Paryż lepiej znała, niż ja Warszawę; że ta świetna, strojna, urocza osóbka stanie między mną a ciocią, że odbierze biednemu podlotkowi jego przywileje i obowiązki w tym domu, że jako sierota ma większe prawa do serca cioci, niż ja...

Zła to była myśl, prawda, złem było uczucie zazdrości, które na chwilę opanować mnie zdołało; ale też zaraz przyszła i skrucha za nie.

Czyż tak powinnam odpowiadać na szlachetne zaufanie cioci?.. Ona żąda mojej pomocy, a ja, szkaradna egoistka, myślę tylko o sobie. Pozyskać dla Boga jedną więcej duszę, zwrócić tę duszę na drogę rozumnej pracy, czyż to nie piękny cel? pomyślałam, i raz jeszcze uściskałam ciocię.

Ona jednak odgadła walkę, jaką przebyłam, bo przytuliła mnie do serca czule i obiecała nie odepchnąć od siebie podlotka, owszem bronić jego praw, gdyby księżniczka, tak bowiem żartem nazywały-

śmy Ninę, w czemkolwiek krzywdzić go chciała.

W tydzień potem czekałam z niecierpliwością na przyjazd gościa, po którego ciocia pojechała na kolej. Zdążyłam właśnie przygotować kawę, kiedy dorożka stanęła przed domem. Ukryta za firanką, widziałam wyskakującą z powozu kształtną, wysoką postać, która nie troszcząc się o pozostawione kufry i pudełka, wbiegła szybko na schody. Widziałam, jak ciocia Paulina oddawała zeszłej na dół służącej niezliczoną ilość paczek i drobiazgów, stanowiących wraz z kuframi bagaż pięknej panny. Bo piękną w całem słowa znaczeniu była strojna i wykwintna osóbka, która w tej chwili stanęła na tym samym progu, przez który ja przed kilkunastu miesiącami przeszłam tak nieśmiało.

Przede mną stanęła owa księżniczka!

— Moja siostrzenica wita cię, Nino — powiedziała ciocia.

Nie spostrzegłam cioteczki we drzwiach, tak była zasłoniętą stosem pudeł i pudełek.

— Ach, więc to jest ten wiejski podlotek, o którym opowiadałaś mi w drodze! — zawołała panna Nina, końcem paluszków, opiętych jasną rękawiczką, dotykając mojej ręki. — Czy cioteczka zamierza założyć instytut wychowawczy, że sprowadza sobie na utrapienie drugą już pannę? — zapytała ze złośliwym uśmiechem.

— Nie, pragnę tylko stworzyć rodzinę, w której moje siostrzenice będą sobie siostrami.

— Obchodziłam się dotąd wybornie bez siostry,

ale nic nie mam przeciw temu, abyśmy zostały dobremi przyjaciółkami, wszak prawda, kuzyneczko?— zawołała wesoło Nina i uściskała mnie serdecznie; a potem, zwracając się do obladowanej pudełkami służącej, dodała.

— Rzuć te graty na ziemię, a przynieś mi wody, tylko prędko, bo umieram z pragnienia.

Dziewczyna złożyła pudełka w przedpokoju i szła już do kuchni wypełnić polecenie swej pani, gdy nagle Nina znowu zawołała.

— Marysiu! Marysiu! wróć się i ściągnij mi przedewszystkiem buciki, w których wyglądam jak Eskimos, a wypakuj prędko moje pantofelki.

Marysia odpięła podróżne obuwie. Nina zaś zręcznie, wprost z nogi przerzuciła je przez głowę służącej aż w kąt pokoju, a potem, nie zdejmując kapelusza, padła na fotel i przymknąwszy oczy, udawała drzemkę, chociaż był to tylko sposób, w jaki przyglądała się mieszkaniu, cioci i mnie w szczególności.

Stałam odurzona i ogłuszona widokiem tego ślicznego, rozkapryszonego stworzenia. Co też to za jakaś dziwnie złożona istota! Dumna, a jednak serdeczna, despotyczna a jednak dziecinna, przedewszystkiem zaś tak pewna siebie i nie krępująca się niczem, jakgdyby od stu lat mieszkała pod dachem ciotki Pauliny!

Ciocia jednak nie zdawała się wiele zwracać uwagi na oryginalne zachowanie się kapryśnicy. Zasiadła spokojnie na zwykłem swem miejscu

przy stole kazała podawać śniadanie, a potem zawołała wesoło.

— Śpiesz się, Nino; zdejm prędko kapelusz, bo zjemy ci wszystkie kożuszki i będziesz miala zimną kawę.

— Kawę? Alboż w tym kraju pijają jeszcze kawę? Pfu! szkaradzieństwo!.. a do tego psuje płeć — mówiła, krzywiąc śliczne usteczka i trzęsąc kasztanowatemi loczkami, mieniącemi się w słońcu złotym połyskiem.

— Cóż więc pijasz na śniadanie? może pozwolisz herbaty? — zapytała ciocia.

— Czekoladę albo herbatę — odpowiedziała Nina, huśtając się na fotelu, którego bieguny kołysały ją widocznie do snu, bo ziewała raz po raz. Muszę jednak przyznać, że nawet w jej ziewaniu było coś estetycznego.

Ciocia kazała Wiktorji przyrządzić herbatę. Widocznie panna Nina postanowiła nic sobie nie robić z naszego towarzystwa. Zagłębiona w fotelu, wyjęła z kieszonki maleńką szczoteczkę i czyściła nią różowe i śliczne paznokcie. Potem zeskoczyła lekko z bujającego krzesła i obchodząc pokój, oglądała obrazy wiszące na ścianach.

— Jakież tu u ciebie, cioteczko, wszystko stare, spłowiałe, niemodne! Mama napaliłaby w piecu temi gratami. My zmieniałyśmy co kilka lat nasze umeblowanie, a twoje, powiedz, czy nie pachnie przeszłem stuleciem?

Skamieniałam! Nazywała gratami piękne i tak do-

brze do cioci wieku dobrane urządzenie domu, te same sprzęty, których ja w pierwszych dniach pobytu w Warszawie nie śmiałam dotykać, tak mi się wydawały wspaniałe!

Spojrzałam przestraszona na ciocię; pobladła, ale odpowiedziała spokojnie:

— Stare meble, Nino, mają wartość pamiątek. One były świadkami mego szczęścia i zestarzały się razem ze mną; nie zamieniłabym ich na nowe, bo przyrosła do nich moja przeszłość. Ten tylko chętnie pozbywa się dawnych sprzętów, komu dni przeżyte są złem wspomnieniem, lub co gorzej, wyrzutem sumienia.

Nina patrzała na ciocię z zabawnie ździwioną i poważną miną.

— Jak ty to ładnie powiedziałaś, cioteczko! — zawołała wesoło. Twoje słowa pasują doskonale do twoich mebli, jedne jak drugie dawno już wyszły z mody. Ale może masz słuszność; dla czego jednak nigdy taka myśl nie postała w mej głowie?

— Bo może ta głowa nie myślała wiele o tem, co prawdziwe i z uczuciem serca zgodne — odpowiedziała poważnie ciocia.

Nina zaczerwieniła się i podrażniona, siadła w fotelu, odsuwając herbatę, którą jej właśnie podawałam.

— Dziękuję, nie będę piła, zanadto jestem zmęczoną — wymówiła ziewając i odepchnęła tak silnie filiżankę, że cała jej zawartość popłynęła po mojej sukni.

— Wypijesz, Nino, herbatę, najprzód dlatego, że potrzebujesz rozgrzać się po podróży, a i dla tego także, żeby nie zrobić przykrości Koci, która trudziła się jej przyrządzeniem umyślnie dla ciebie. Jeśli postanowiłaś nie pić dziś śniadania, trzeba było uprzedzić nas o tem.

Ach! czemuż nie mogę wam pokazać zabawnej miny, z jaką po tych słowach Janina spojrzała na ciocię.

— Taaak — powiedziała, cedząc długo wyrazy przez zęby — taak — dobrze!... skoro taki rozkaz, to proszę!

I wyrwawszy mi z rąk filiżankę, którą zdążyłam napełnić na nowo, wychyliła duszkiem wrzący napój. Nie wiem jakim sposobem nie poparzyła sobie ust.

— Proszę o drugą filiżankę — powiedziała do mnie potem rozkazującym tonem.

Nalałam, znów wypiła duszkiem.

— Daj trzecią — wołała rozgrzana gniewem i herbatą.

Spojrzałam na ciocię, gdyż było widocznem, że Nina chce swojem postępowaniem wyprowadzić ją z równowagi.

Ale nie znała ciotki Pauliny.

Spokojnie, jakby nie domyślając się buntu w duszy dziewczęcia, ciocia odstawiła filiżankę Niny na bok i przysunęła mi kawę, a sama piła ją powoli, nie zwracając wcale uwagi na zły humor księżniczki.

Biedna księżniczka kołysała się tymczasem mil-

cząc w fotelu, podrzucając pantofelkiem brzeg jedwabnej sukni.

— Kociu! — zawołała nagle — czy ty dawno już jesteś w tem więzieniu?... A może to tylko dom poprawy?...

Zadrżałam. Zuchwalstwo Niny odebrało mi prawie przytomność. Ona jednak nie była wcale skruszoną. Patrzyła na nas wyzywająco i wybijając takt maleńką nóżką, nuciła głośno walca.

Sądzę przecież, że jej także ciężył spokój cioci. Szczęściem skończyłyśmy już śniadanie; cioteczka wstała od stołu i przeszła powoli do swego pokoju, a idąc, zamknęła drzwi za sobą.

Byłyśmy więc same. Nina śpiewała wciąż, ja miałam łzy w oczach, bo żal mi było cioci.

— Nino, kochana Nino! dla czego robisz nam taką przykrość... i to zaledwie przyjechawszy?

Walc zamienił się teraz w jakiś szalony tryl, który mógłby ogłuszyć osoby, znajdujące się w przyległym pokoju.

— Nino! ty nie wiesz, jak ciocia jest dobra, ona jest tak dobra, że...

Przerwała mi znów gwałtownem ziewnięciem, i zatykając uszy, żeby nie słyszeć moich morałów, zawołała.

— Boże! jacyż z was nudni filistrzy! O sancta simplicitas! Nie, ja nie wytrzymam między wami!

Wymówiła te słowa z taką zabawną miną, że roześmiałam się mimo woli.

Moja wesołość rozbroiła księżniczkę.

— Powiedz, ty skrzynio mądrości, ile masz lat, że ośmielasz się dawać mi nauki; wyglądasz na dzieciaka, a prawisz, jak kaznodzieja — zawołała, rzucając mi w twarz kawałki bułki, które zebrała na stole.

— Bardzo proszę! szanuj moją powagę; i ja już nie jestem dzieckiem — odpowiedziałam, odrzucając jej śmiało tę samą porcję okruchów, chociaż byłam w duszy zgorszona zachowaniem się Janiny.

— Dlaczegóż więc pozwalasz nazywać się Kocią? A może jeszcze Kizią? Takie zdrobnienia trącą idyllą, a ja nie znoszę sentymentalizmu. Miau, najdroższy koteczku! Prawda, jak to brzmi pięknie?

— I jakie to stosowne dla niemądrego wiejskiego podlotka! Czy to chciałaś powiedzieć?

— Widzę, że nie jesteś tak naiwna, jak sądziłam...

— Powiedz raczej odrazu: tak niemądra, jak na to wyglądam.

— Nie, tego nie myślałam, owszem podobasz mi się, znajduję cię nawet wcale ładną...

— Urodą pierwszej młodości, którą posiadają żółte gąsiątka, cielątka, przeznaczone na zarznięcie, lub może białe prosiątka, uganiające się po podwórzu.

— Fiu! fiu! fiu! co za rezon! Nie myślę się kłócić z tobą — zawołała Nina, rzucając na mnie całą bułką.

— Szanuj dary Boże — odpowiedziałam, podnosząc z posadzki pocisk, którym mnie ugodziła

w plecy — ciocia nie lubi, gdy się kto bawi chlebem.

— O! kiedy tak, to go nigdy nie ruszę! — zawołała, udając wielki przestrach — gotowa nawet jestem połknąć wszystkie te okruchy, jak wprzód połknęłam dla świętego spokoju twoją szkaradną herbatę.

— Na złość cioci — przerwałam oburzona.

— No, trochę na złość, to prawda, ale teraz za to pójdę zobaczyć, czy cioteczka gniewa się jeszcze — powiedziała Nina, wstając z fotelu, i nim zdołałam ją zatrzymać, znikła we drzwiach gabinetu.

Nie, o tak zuchwałem stworzeniu nie miałam wyobrażenia!.. Iść do cioci, kiedy pokój zamknięty, przeszkadzać jej w pracy, i to wtenczas, gdy się ją rozgniewało! Czekałam z niepokojem, jaki będzie skutek postępku Niny, gdy usłyszałam jej śmiech, dźwięczący wesoło. Uśmiechnęłam się mimowoli do wtóru; w tej samej chwili stanęła we drzwiach ciocia, a Nina obejmowała ją za szyję.

— Nie wyobrażaj sobie, tylko święta Konstancjo, że to ty pobudziłaś mnie do skruchy — zawołała szalona dziewczyna, prowadząc ciocię do pokoju, który miał odtąd być jej własnym.

Rozpakowywała tam z pośpiechem kufry, wyjmując z nich mnóstwo ślicznych gracików, które z wielkim smakiem porozstawiała na kominku i stołach, a robiła to, śpiewając i skacząc, jak prawdziwa rusałka.

— Obrazów nie ruszę, niech zostaną, skoro wasz filisterski duch uznał je za dobre. Tylko ty, panie

rybaku, pójdziesz w kąt, bo na honorowem miejscu nad biurkiem musi wisieć portret mego drogiego ojca. Niewart wprawdzie, abym go kochała, kiedy odjechał na koniec świata, a mnie oddał pod barbarzyńską opiekę pewnej szkaradnej ciotki — monologowała Nina, zdejmując ze ściany śliczną akwarelę Falata.

— Prędko Marysiu! prędko rozwiąż tę pakę — wołała na służącą — mój złoty ojczulek w niej siedzi, a moje oczy stęskniły się za nim; on jeden zna mnie dobrze i wie, że nie jestem tak złą, jak sądzą pewne świętobliwe osoby.

I nie czekając na pomoc Marysi, zaczęła sama rozwiązywać sznurki dużej paki. Drżały jej ręce, bo była wzruszona. Pomogłam więc oderwać deszczułki, a Nina z okrzykiem radości wydobyła portret ojca.

— Ojczulku! jedyny, złoty drogi ojczulku! — wołała — widzisz, mam cię znowu, chociaż odjechałeś odemnie i nie chciałeś wziąć z sobą biednej Niny.

Było coś niewymownie wzruszającego w tej pieszczocie dziecka, które nie miało matki, ani własnego domu i musiało rozstać się z jedyną ukochaną istotą.

Po twarzy Niny płynęły łzy, chociaż uśmiechała się do portretu słodkim i rzewnym uśmiechem.

Zapomniałam w tej chwili o kaprysach księżniczki, o jej niegrzecznem zachowaniu się i byłam gotowa przytulić ją do serca, jak siostrę. Zrobiła to za mnie ciocia Paulina; wzruszona, objęła

Ninę macierzyńskim uściskiem, a sierota płakała, całując ręce swej opiekunki; ja zaś myślałam, jak bardzo jestem szczęśliwą, mając rodziców i rodzeństwo, i o tem także, że miłość, nawet zmarłej matki, może robić cuda, bo niezawodnie nikt inny tylko matka Niny wyprosiła dla niej u Boga opiekę cioci Pauliny.

Ale rozrzewniać się długo nie leżało w charakterze Janiny. Uściskała ciocię, obtarła łzy i skoczyła na środek pokoju, potrząsając swemi kasztanowatemi loczkami.

— Piękna historja! — zawołała — mazgaj ze mnie, a tego nie bywało dotąd; ale to ojczulek winien wszystkiemu. Na hak z nim za karę! — mówiła wesoło i jednym susem była już przy biurku. Potem zawiesiła portret, przypatrywała mu się, jak ptaszek, przekrzywiając główkę, z ramienia na ramię, posłała ojcu kilka pocałunków od ust i znów jak ptak sfrunęła lekko z krzesła, na którem stała, prosto na moją szyję.

Ale nie poczułam prawie jej uścisku, bo zaraz pobiegła dalej, śpiewając i skacząc między kuframi, które wraz z Marysią wypakowywała aż do wieczora.

Pomagałam Ninie w robocie, podziwiając przytem to dziwne stworzenie, rozkoszne i wesołe, a jednak zdaje się, uczuciowe i głębiej myślące.

Uściskałyśmy się serdecznie na dobranoc, przyczem powiedziała mi, że jestem nieznośne licho, co w ustach Niny brzmiało jak komplement. Widzia-

łam, że ciocia była z nas obu zadowoloną.

Tak skończył się pierwszy dzień pobytu księżniczki w Warszawie, tak różny od mego debiutu.

— Może opowiem kiedy Ninie — myślałam, kładąc się spać — o potopie, kranie wodociągowym, urwanej tasiemce i wszystkich niedorzecznościach, popełnionych przezemnie. Kiedyś! kiedyś, ale zapewne nie prędko — dodałam, zasłaniając łóżko firankami, za któremi tyle razy płakałam z tęsknoty do Lipowiec. Tęskniłam i teraz, bo czyż można przestać myśleć o ukochanych? Ale tęskniłam spokojnie, gdyż pokochałam ciotkę Paulinę jak drugą matkę.

Wiedziałam także, że ucząc się, najlepiej wywdzięczę się rodzicom; podzielę się bowiem z Władzią i Maniusią wszystkiem, co sama zdobędę pracą w Warszawie.

IX.

KSIĘŻNICZKA.

Nazajutrz po przyjeździe Niny obudziłam się bardzo późno. Ciotka Paulina była już ubrana i stała właśnie przy mojem łóżku.

— Lubię twój sen Kociu, bo jest spokojny, kołdra leży równo, poduszki niezsunięte, a ty sama przypominasz mi uśpionego dzieciaka z obrazu Kaulbacha...

— Przy którym stoi jego anioł stróż! Wszak tak jest w obrazie! — zawołałam, całując rękę cioci, bo i cioteczka, wbrew zwyczajowi, siadła na mojem łóżku.

— Nina już także nie śpi — mówiła ciocia — byłam w jej pokoju, ale zamiast wstawać, czyta książkę. Jest rozpieszczonem dzieckiem, muszę więc pobłażać kapryśnicy w małych rzeczach, żeby zachować powagę dla ważniejszych spraw. Liczę dużo na jej wrodzony rozsądek i serce, a także na twój przykład, Kociu. Naśladując cię, pójdzie na-

sza dziewczyna, da Bóg, właściwą drogą i zostanie kiedyś użytecznym człowiekiem.

— Nina ma mnie naśladować? Żartujesz chyba ciociu! Bo w czemże mogę być przykładem dla wykwintnej i utalentowanej panny?

— W wielu razach dasz jej dobrą radę, jestem tego pewna. Musisz się jeszcze dużo uczyć i z książek i z życia, moja Kociu, i może nigdy nie dorównasz Ninie dowcipem ani wymową, ale twoja prostota, spełnianie codziennych obowiązków, zaparcie się siebie dla drugich, dadzą odczuć Ninie braki jej charakteru. Przy pozornem wykształceniu brak naszej księżniczce tego, co jest istotną podstawą wartości człowieka. W tobie serce rozwijała troskliwa i dobra matka, serce Niny my uszlachetnić musimy. Liczę na twą pomoc, bo choć popełniasz wykroczenia przeciw regułom światowego «nie wypada» — to jednak w sprawach najważniejszych, w tem, co dotyczy charakteru i uczucia, moja Kostunia wie zawsze doskonale, jaką drogę obrać należy.

Byłam wzruszona słowami cioci. Nigdy jeszcze nie okazała mi tak wyraźnie swego zadowolenia; ale wiedziałam dobrze, dlaczego spotkała mnie ta pochwała.

— Cioteczko! znam się na twojej polityce: chcesz dodać mi odwagi, żebym śmielej broniła swych praw wobec panny Janiny. A co? Czy nie prawda? — pytałam, całując ręce cioci.

— Ho! ho! nie oszukać mojej panny! Wie ona,

jak trawa rośnie. W twojem spostrzeżeniu, Kociu, jest trochę słuszności; pragnę istotnie, abyś się nie dała wysadzić z siodła księżniczce, bo mi cię szkoda, i twoja pokora powiększałaby tylko zarozumiałość Niny.

Masz dużo sprytu, a Nina poznała się na tem; więc niech się z tobą liczy, a broń Boże, nie przyzwyczaja cię lekceważyć. Wstawaj, Kostuniu, jest już późno, pomogę ci się ubrać; nie znajdę tym razem urwanej tasiemki i nie będę potrzebowała łajać cię za mycie i czesanie, prawda? Pamiętasz rozlaną wodę i ogryzione paznokcie?

— Nie wspominaj o tem cioteczko! — zawołałam zażenowana — Jakże mogłabym zapomnieć tego wstydu, jaki sobie sama zgotowałam i dobroci, z jaką musztrowałaś podlotka?

— Z którego wyrasta porządna niewiasta — przerwała mi ciocia — więc niewiasto, przyrządzaj prędko kawę i wołaj Ninę, bo głód przypomniał mi, że jest już dziewiąta.

Pobiegłam do pokoju Niny, ale zdziwiłam się bardzo, zobaczywszy księżniczkę zapijającą w łóżku śniadanie, które jej podała Marysia.

— Jak się masz, kociątko! — zawołała wesoło — tęskno mi już za twojem miauczeniem, cieszę się więc, że przyszłaś. A propos, cóż wy tu macie za szkaradne kakao? Ja nigdy nie pijam innego, tylko holenderskie; pamiętaj więc Kociu, kupić go dla mnie na jutro. Van Houtena, spamiętasz? No powtórz: Van Houten! Czy wychodzisz na mia-

sto? Bo ubrana jesteś od stóp do głów, a jeszcze niema dziesiątej.

— Ciocia tego żąda, aby być odrazu ubraną, nie lubi ona rannych strojów dla młodych dziewcząt.

— Przyzwyczai się do nich przy mnie. Ja wygodę cenię nadewszystko.

— A ja staram się dogadzać cioci; przytem ubierając się od rana, zyskuję dużo czasu.

— I cóż z nim robisz? Dzień i tak bywa zwykle nieznośnie długi.

— Dla mnie jest on zawsze za krótki.

— Jesteś nudna, uroczysta i niemądra — zawołała Nina, zrywając się z łóżka—czuję już twoje kocie pazurki, z poza których wyglądają morały. Idź sobie!

— Idę, idę; chciałam cię zawołać na śniadanie, ale skoro wolisz jeść je sama, to tylko życzę smacznego apetytu...

— Stój! nie chodź — przerwała Nina, biegnąc za mną, ale namyśliwszy się, wróciła do łóżka.

— Albo nie, idź lepiej zasiąść przy familijnym stole, gdzie obie z ciocią lać będziecie w kawę krokodyle łzy żalu nad zbłąkaną owcą, zapowietrzającą świętobliwą atmosferę tego domu.

Roześmiałam się i wyszłam z pokoju mimo nawoływań Niny. Bombardowała moje plecy pantoflami; a w końcu rzuciła we mnie książką, którą spokojnie podniosłam. Nie wróciłam jednak do kapryśnicy, tylko zasiadłam, jak porządny człowiek, do śniadania. Ale zaledwie zdążyłam nalać ka-

wy w filiżankę, kiedy przez uchylone drzwi wyjrzał do nas śliczny, różowy buziak księżniczki, ubranej także w różowy, koronkami obszyty szlafroczek.

Szalona dziewczyna stanęła na środku pokoju, założyła ręce i z miną starego kaznodziei powiedziała uroczystym głosem.

— Gdzie dwóch was zebranych jest w imię moje, tam ja jestem między wami.

Było mi przykro słyszeć święte słowa Zbawiciela wymówione tonem żartu, ale przelękłam się, spojrzawszy na ciocię. Blada i wzruszona, wstała z krzesła; nigdy nie wydała mi się wyższą i bardziej nakazującą uszanowanie.

— Nino — powiedziała surowo — przebaczałam ci lekkomyślność i niegrzeczność, ale nie przebaczę nigdy szydzenia ze świętości. Czy zastanowiłaś się, czyje powtarzasz słowa? W moim domu niewolno lekceważyć drogich chrześcijaninowi uczuć. Proszę cię, pamiętaj o tem.

Zadrżałam. Cioci tak wzruszonej nie widziałam nigdy, ale i Nina patrzała przestraszona na ciocię Paulinę; sądzę, że ona także nie przypisywała jej takiej siły i stanowczości.

Biedna księżniczka! żal mi jej było serdecznie. Zakłopotana i onieśmielona rzekła.

— Masz rację, kochana ciociu; nieraz człowiek nic zastanowi się nad tem, co język wypaple.

I siadła do fortepianu. Zapewne dla dodania sobie odwagi, wzięła kilka akordów. Z tej małej próbki

każdy, znający się na muzyce, odrazu mógł odgadnąć w niej artystkę.

— Zagraj nam, dziecko, co porządnego — powiedziała kochana ciocia łagodnym tonem.

Odetchnęłam, gdyż gniew cioci był i dla mnie niewinnej prawdziwą pokutą.

Ale i z serca Niny widocznie spadł także kamień, bez wahania bowiem zagrała sonatę Beethovena, a potem mazurka Szopena. A grała, ach jak ona grała! nawet wypowiedzieć nie potrafię. Do muzyki przyłączył się wkrótce i śpiew. Oczarowana, słuchałam całą duszą, bo i Nina całą duszę włożyła w tony wydobywane z łatwością, ot tak, jak śpiewa natura na wiosnę, jak śpiewa ptak na gałęzi.

Przejawiała się w tej muzyce cała dusza Niny, pod jej palcami tony chwilami płakały, to znów dźwięczały kaskadą srebrnego śmiechu. Na zakończenie wzięła przeraźliwie fałszywy akord i wyczerpana, padła na fotel.

— Ślicznie grasz i śpiewasz, dziecko, nie wiedziałam, że z ciebie taka artystka — chwaliła ciocia.

— To zasługa moich nauczycieli, dosyć mi oni nadokuczali; ta brzdąkanina niewarta męki, jaką przy nich zniosłam.

— Winnaś im wdzięczność, bo posiadasz dwa piękne talenty.

Za całą odpowiedź Nina ziewnęła głośno, a że właśnie podawałam cioci drobne pieniądze na rozłożonej książce rejestrowej, uderzyła pięścią

w okładkę. Miedziaki posypały się po ziemi ku wielkiej radości kapryśnicy, która śmiała się wesoło z mojej miny zdziwionej.

Cioci jednak nie podobał się ten koncept.

— Widzisz, co zrobiłaś! teraz pomóż Kostuni w zbieraniu pieniędzy.

— Marysiu, chodź podnieść miedziaki! — zawołała jej książęca mość, uchylając drzwi swego pokoju.

Ale przerachowała się panienka, bo z ciocią nie było żartów.

— Nie potrzeba już, Marysiu — rzekła ciocia — możesz odejść. A zwracając się do Niny, powiedziała stanowczym tonem.

— Moja Nino, skoro zawiniłaś, to napraw i za karę pozbieraj sama. Takie żarty są niesmaczne i dziecinne.

Kapryśnica z początku nie wierzyła własnym uszom. Rozkazywano jej, czyż to było możliwem? Niestety jednak musiała ustąpić.

— Ach! jaka ta ciocia jest okropna! — wyrzekła, i zła, skrzywiona, stękając i jęcząc zbierała pieniądze, które mi potem rzucała w fartuch. Pomagałam jej, bo sama nie skończyłaby tej roboty. Ale potem narzekała głośno na naszą tyranję i mówiła, że musi się położyć, tak jest zmęczona tą niemądrą pracą.

Brałam jej słowa za żarty, kiedy jednak poszłam zobaczyć, co robi, znalazłam ją w łóżku. Oświadczyła mi przytem, że przyprawiłyśmy ją o chorobę, że czuje się nieszczęśliwą i że najpewniej umrze bardzo prędko.

Pobiegłam przestraszona do cioci, ale ku wielkiemu memu zdziwieniu ciocia przyjęła obojętnie wiadomość o niebezpieczeństwie, grożącem jej siostrzenicy, a że właśnie nadeszła Mimi, rozpoczęłyśmy zwykłą lekcję.

Przed obiadem zjawiła się Nina w szlafroku, z miną znudzonej bohaterki. Gdy przedstawiłam jej swoją przyjaciółkę, raczyła zaledwie kiwnąć jej głową, a potem wyciągnięta na sofie, patrzała na nas z tak drwiącą miną, że pierwszy raz w życiu byłam rada, gdy Mimi odeszła po odrobieniu ostatniej lekcji.

— Czy ona jest zawsze taka niebieska i taka lniana? — zawołała Nina, odzyskując nagle wesołość.

— Kto ona? — zapytałam.

— No, twój Kastor, Poluksie!

— Blondynką jest zawsze, jak ja jestem zawsze brunetką, a niebieskie suknie nosi chętnie i ja je bardzo lubię. A tobie jakże się podoba moja Mimi?

— Tak, jak się podobać może bułeczka, posmarowana majowem masłem; to miłe... jagniątko.

Byłam głęboko wstrząśnięta drwinami Niny i obrażona za przyjaciółkę; wychodziłam z pokoju, kiedy uczułam nagle, że mnie ktoś chwyta w pół. Śliczne oczy psotnicy zajrzały w moje zapłakane, bo nie taję, że obelga, wyrządzona mojej najdroższej, jedynej przyjaciółce, przyprawiła mnie o łzy.

— A co, zgadłam! — wołała Nina. — Burza w powietrzu! Już nawet wilgoć w niem czuję, a teraz Jowisz zagrzmi piorunami nad biedną moją głową.

Zasługuję na ten los, spuść więc karzącą prawicę, pomścij Kastora, Poluksie!

Roześmiałam się, bo czyż mogłam być długo rozgniewana na szaloną dziewczynę? Uściskałyśmy się, a ja wzięłam pudełko z robotą.

— Cóż ty robisz? Pokaż, może koronki?

— Nie, coś o wiele prozaiczniejszego: ceruję pończochy.

— Pończochy! — krzyknęła ze szczerem przerażeniem Nina — ależ to woła o pomstę do nieba! Tego szkaradzieństwa nie powinna się dotknąć żadna, szanująca swą godność, kobieta. To robota dla Marysi lub Wiktorji.

— Nie pojmuję, co może być ubliżającego w cerowaniu pończoch i dlaczego, jeżeli to jest pracą poniżającą, ma ją robić Wiktorja, nie ja. Ciocia mówi zawsze, że im mniej potrzebujemy pomocy innych, tem jesteśmy niezależniejsi.

— Wiesz, to wcale mądrze powiedziane. Czy sama także szyjesz sobie suknie i bieliznę?

— Bieliznę tak, naturalnie, a krawieczczyzny mam się zacząć uczyć, bo umieć skroić i zrobić suknię, jest, zwłaszcza na wsi, bardzo potrzebne.

— Ale kiedyż masz czas na wszystko? Nawet gdyby dzień składał się z miljona godzin, nie zdążyłabym wykonać tego, co ty robisz, bo przecież głównem twojem zajęciem są lekcje.

— Tak, ale moją tajemnicą jest....

— Jest, co? mówże prędzej — wołała Nina.

— Rano wstawać i nie marudzić z ubieraniem....

— Nudnaś ty, i twoje morały i twoje pończochy! — zawołała Nina, porywając mi kłębek z bawełną, żeby nim rzucać zamiast piłki.

Uśmiechnęłam się, widząc, że skacze po pokoju, i zapytałam troskliwie o jej zdrowie, bo wszakże przed przyjściem Mimi leżała w łóżku. Roześmiała się i uderzyła mnie kłębkiem, ale podniosła go potem sama z ziemi i zaczęła uważnie oglądać cery w pończochach.

— Może chcesz mnie naśladować? — myślałam z wewnętrznem zadowoleniem miłości własnej.

Lecz tego samego jeszcze dnia doznałam upokorzenia, które na długo pogrzebało moją miłość własną, bo miałam sposobność porównać siebie z Janiną. Ciocia zabrała nas obie na wizyty, bo chciała zapoznać Ninę, tak, jak kiedyś mnie, ze staremi swemi przyjaciółmi.

Jakże inaczej wyglądała urocza, pewna siebie, wykwintna księżniczka, od podlotka w podartych rękawiczkach, ociekającego wodą i błotem! Nina wobec obcych osób bywała uosobieniem uprzejmości i grzeczności. Nie pojmowałam tego, gdyż przedewszystkiem zależeć nam powinno przecież na uszczęśliwieniu tych blizkich, których kochamy. Bądź co bądź jednak podziwiałam moją wytworną towarzyszkę, ktora zdobyła też poklask i zachwyt znajomych.

Ale nieporównaną była w zachowaniu swem na wizycie u państwa Darskich. Powtórzyła się ta sama scena, co w czasie mojego u nich występu.

Wspaniała panna Aniela Darska przepłynęła przez salon z godnością, potem skinęła głową nam obu i wedle znanego mi już, a wielce chwalebnego zwyczaju, rozłożyła się na fotelu, cedząc słowa przez zęby i nieledwie przez sen. Spojrzałam na Ninę; byłam pewna, że obrazi ją niegrzeczność panny Darskiej. Ale jakże się ździwiłam, widząc, że moja księżniczka szuka także podnóżka końcem swego pantofelka i niewiele myśląc, przybiera pozę odpowiadającą zaniedbaniem tej, w jakiej przyjmowała nas panna Aniela! Patrzałam na te dorosłe panny, jak na komedję; widziałam nawet uśmiech na ustach cioci, ale to nic nie wpływało na zmianę zachowania się tych dam dystyngowanych.

Nina cedziła w ten sam sposób odpowiedzi, jak córka gospodyni cedziła zapytania. Powoli jednak panna Aniela zaczęła być rozmowniejszą, ożywiła się, wyprostowała nawet w fotelu i ku mojemu zdumieniu dwie nowe znajome rozmawiały po pewnym czasie w zupełnie naturalny sposób, a czego ja wcale już pojąć nie mogłam, zdawały się rozumieć z sobą doskonale.

— Co też mama powie na mój list niedzielny? Bo opisałam w nim Janinę i jej zachowanie.

X.

MIŁOSIERDZIE.

Tydzień upłynął już od przyjazdu Niny. Weszłam zrana do jej pokoju, właśnie kiedy służąca przyniosła jej ubranie już oczyszczone.

— Czy chcesz być obecną przy ważnym fakcie mego wstawania? — zapytała wesoło. — Dostąpisz zaszczytu włożenia na mnie bielizny, a zaszczyt to niemały, wiedz o tem, gdyż w Wersalu był on udziałem tylko książąt krwi. Marja Antonina raz musiała czekać kwadrans na zmianę nocnej bielizny; właśnie kiedy dostojna dama podawać jej miała koszulę, zjawiła się wtedy inna, jeszcze dostojniejsza, której poprzednia zwrócić była obowiązana batysty królowej, a że coraz nowa dygnitarka wchodziła do sypialni, więc ceremonja, odbywająca się z akompanjamentem wielkich ukłonów, mogła istotnie zniecierpliwić nieszczęśliwą królowę.

Znałam tę historję, pozwoliłam jednak Ninie opowiedzieć ją na nowo, bo podziwiałam przez ten czas

śliczne koronki i hafty, jakiemi obszyta była jej bielizna.

— Podobają ci się te valencienny? — zapytała Nina niedbale.

— Naturalnie, są prześliczne.

— Weź je więc sobie, mam ich tyle; a może wolisz inne koszule? Te z gipiurą daruję ci chętnie, mnie one są zupełnie niepotrzebne.

— Ależ, Nino, musiałaś zapłacić za bieliznę dużo pieniędzy, nie przyjęłabym tak kosztownego podarunku.

— Pieniędzy! — zawołała, wzruszając ramionami — a cóż mnie obchodzą pieniądze? Mama nie lubiła nawet dotykać i rachować papierowych rubli. Zresztą tatko ma ich tyle.

— Pieniędzmi można zrobić dużo dobrego, szkoda wyrzucać je bezmyślnie, lepiej użyć ich na przyjemność dla drugich.

— Cóż ty Kociu przez to rozumiesz?

— To właśnie, co powiedziałam, że pieniędzmi można ludzi uszczęśliwiać.

— Ale gdzież są ci ludzie? Marysi daję wszystko, ile zechce, i daję zresztą każdemu, byle mnie o to poprosił.

— A iluż jest biednych, którzy nie proszą! Ci najwięcej potrzebują pomocy. Lepiej jednak wstawaj już, księżniczko, widzę bowiem, że na tym punkcie nie zrozumiemy się łatwo — odpowiedziałam zniechęcona.

Nina umilkła i wyciągnęła z pod kołdry swe ma-

leńkie nóżki, na które Marysia kładła jej teraz jedwabne pończochy i jedwabne, atlasem wysłane pantofelki. Potem, zawsze jeszcze Marysia, rozpięła wszystkie guziki nocnej koszuli swej pani, ona także wiązała na Ninie tasiemki, zahaczała agrafki. Księżniczka stała nieruchoma, póki służąca nie zarzuciła na nią różowej matynki, której biała jedwabna podszewka zsuwała się z ramion rozpieszczonego stworzenia.

Nina nie poruszyła nawet ręki, żeby przytrzymać spadające ubranie; była w doskonałym humorze i obiecała nazajutrz asystować z kolei przy mojem ubieraniu.

Sądziłam naturalnie, że żartuje, tymczasem zaraz następnego dnia, nim jeszcze zdążyłam wyskoczyć z pościeli, przyszła Nina do naszej sypialni, trzymając w ręku stos pończoch i machając iglicą od cerowania.

— Wstawaj, próżniaku! — wołała, udając gniew — ja już od trzech godzin naprawiam podartą bieliznę, a ty śpisz i nie cieszysz się nawet, że weszłam na drogę cnoty, tak gorliwie mi zaleconą.

— Czyżby księżniczka miała się przedzierzgnąć w skrzętną gosposię? — myślałam, patrząc na pończochy i na nawleczoną igłę. Przekonałam się jednak zaraz, że były to żarty. Nina nie miała pojęcia o robocie i śmiała się jak szalona, widząc, iż udało się jej zwieść mnie swem cerowaniem.

Zaspałam istotnie; ciocia siedziała już nad rachunkami zakładu, a zegar wskazywał dziewiątą;

schwyciłam ubranie, leżące na krześle przy łóżku, i zaczęłam kłaść pończochy.

— Jakto, sama ubierasz się? — spytała Nina.

— Naturalnie, nie zniosłabym, aby oddawano mi usługi, poniżające moją godność i godność służącej. Człowiekiem jestem, nie lalką.

Księżniczka wysłuchała uważnie i rzekla.

— Masz słuszność, dobrze powiedziałaś, a przytem gdybyś wiedziała, jaka z Marysi jest nieznośna dziewczyna, jak niezręcznie mi usługuje!

Roześmialam się.

— Spróbuj sama się ubrać i będzie po kłopocie.

— Gdybym umiała, pewniebym tak zrobiła.

Żal mi się zrobilo Niny.

— Słuchaj, pomogę ci, pokażę — mówiłam — zobaczysz, jak to łatwo. Czy dobrze?

— Alboż ja wiem? Ej nie, nie! Zresztą, jak chcesz, ale lepiej, daj pokój, bo dokuczałabym ci przy ubieraniu i musiałabyś odejść od złej pani — mówiła, śmiejąc się i skacząc.

— Więc przyjdę jutro...

— Nie, nie chcę, kocie. Już i tak jesteś mądrzejsza od swego protoplasty w siedmiomilowych butach, byłabyś zanadto zarozumiałą, gdybym posluchala twej rady.

Widziałam, że nie warto nalegać, bo namówić Ninę wbrew jej woli, było niepodobieństwem.

Ale nazajutrz, kiedy weszłyśmy z ciocią do jadalnego pokoju, księżniczka siedziala już przy śniadaniu. Nie mogłam ukryć ździwienia.

— Kici, kici, kici miau! Chodźże, kocie, i wytrzeszczaj oczy, masz też czego! — wołała, udając zagniewaną.— Cóż w tem nadzwyczajnego, że sprzykrzyło mi się pić czekoladę w łóżku i przyszłam zjeść z wami śniadanie? A kot niech chowa dla siebie swój rozum, obeszłam się bez twoich usług, mądralo. Sama się dziś ubrałam i uczesałam, patrzcie, podziwiajcie, a zwłaszcza chwalcie!

Chwaliłyśmy, bo Nina zasługiwała istotnie na uznanie, ona jednak bębniła łyżeczką w spodek, żeby zagłuszyć nasze słowa. Gniewało ją zawsze, gdy o niej mówiono.

Scenki i sceny, podobne do powyżej opisanej, powtarzały się codziennie, oświetlając coraz z innej strony dziwaczny charakter Niny. Niecierpliwiła mnie czasem tak, że byłabym chętnie ukarała ją, jak rozkapryszonego dzieciaka, i posłała do Lipowiec, gdzie przy pracy i młodszem rodzeństwie musiałaby zapomnieć o sobie. Sądzę, że i ciocia myślała toż samo. Złote serce księżniczki brało jednak górę nad grymasami, a kiedy chciała być miłą, każdy musiał uledz jej urokowi. Ciocia pocieszala mnie zawsze mówiąc, że Nina ma prawy charakter i że cierpliwością potrafimy oszlifować ten brylant drogocenny.

— Kto nie jest istotnie dobrym, ten nie wytrzyma długo udawania grzeczności. Nina miewa kaprysy, ale w gruncie jest dobra. Sztuka udawania nie wystarczy, bo lada ruch zdradzi — mówiła ciocia, zachęcając mnie do cierpliwości z księżniczką.

Tymczasem płatała mi ona jednak nieznośne figle.

Raz, o nie zapomnę tej chwili! stoję przed swoim stolikiem, żeby podlać bluszcz, którego liście oplatały fotografję drogiej Mimi, rozsuwam gałązki, chcąc się przypatrzeć kochanej przyjaciółce, i o zgrozo! omal nie padam z przerażenia.

— Co to? Kto to? — wołam, chwytając drogi wizerunek i niosąc go do okna. Sądziłam bowiem, że to cień liści bluszczowych sprawiał dziwne złudzenie, które mnie tak przejęło.

Niestety! to, co brałam za igraszkę wzroku, było prawdą! Złośliwa, że nie powiem zbrodnicza ręka popsuła mi mój skarb, obraz drogiej Mimi, jej fotografję, którą co rano witałam uśmiechem, a każdego wieczora żegnałam pocałunkiem. Na ślicznej twarzyczce mojej przyjaciółki wymalował ktoś atramentem wąsy, wielkie wąsy huzara! Pojmujecie, wszak prawda?... jaka boleść ścisnęła mi serce. Kochać kogoś, jak ja kochałam Mimi, i widzieć jej twarzyczkę tak haniebnie zeszpeconą!

Tylko Nina mogła się dopuścić podobnej lekkomyślności — pomyślałam, ona bowiem żartowała nieraz z tej fotografji, mówiąc, że jest brzydka i pretensjonalna.

— Brzydka! ach czemuż nie spojrzała w pogodne, jak niebo, oczy mojej Maryni? Byłaby wyczytała w nich może to wszystko, co mnie one mówiły i może zaniechałaby wtedy barbarzyńskiego pomysłu.

Byłam zbyt smutna, aby Ninie robić wymówki;

smutek ten i puste miejsce nad stolikiem świadczyły chyba wyraźnie o tem, co się działo w mem sercu. Słyszałam, jak ciocia gorzko wyrzucała Ninie jej lekkomyślność, ale myślałam z żalem, że nawet skrucha psotnicy nie wynagrodzi mojej straty. Pożegnałam się z myślą posiadania drogiego wizerunku, który wolałam spalić, niż wystawiać na szyderstwo obojętnym.

Wyobraźcież sobie moje zdumienie, gdy w kilka dni po opisanych wypadkach, ujrzałam nad stolikiem portret Maryni. I to nie fotografję, ale portret, ślicznie artystycznie zrobiony pastel, a tak podobny, że omal nie krzyknęłam z podziwu. Mimi, jak żywa, stała przede mną.

Ale któż wymalował to arcydzieło? Czyżby Nina? Nie, kiedyżby miała czas na taką pracę? Nie wspominała dotąd o swym talencie do malarstwa, a portret zdradzał talent prawdziwy.

Jednak to jest właśnie coś w rodzaju Niny: zrobić psotę i wynagrodzić ją po królewsku!

Patrzałam jeszcze na portret, kiedy wbiegł jego oryginał. Uściskałam kochaną Mimi, pytając, czy wie, kto jest sprawcą niespodzianki, która mnie tak uszczęśliwia.

— Nina, naturalnie. Alboż możesz wątpić o tem? Musiałam jej pozować kilka razy przez ten czas, kiedy chodziłaś z ciocią do schroniska sług, i ona to zrobiła portret, żeby, jak mówiła, zastąpić dawny, który niecierpliwił ją i gniewał swą pospolitością.

Nie mogłam nawet okazać swej radości księż-

niczce, bo nie znosiła podziękowań, bałam się więc, aby znudzona niemi, nie namalowała znów wąsów na ślicznym pastelu.

Podziwiałam tylko w duchu bogactwo tej dziwnej natury. Śpiewa, gra, maluje, a nie pozwala nikomu mówić o swych talentach. Nina przypisywała je wyłącznie nauczycielom, pozornie przynajmniej nie przywiązując sama żadnej wagi do posiadanych umiejętności.

Niewyczerpanego tematu dla żartów Niny dostarczała moja skromna garderoba, na wsi przez mamę uszyta. Grzeszyła ona wprawdzie staroświecczyzną, bo o modach nie miano u nas pojęcia, ale ciocia po przyjeździe naszym do Warszawy zaprowadziła zmiany w mojej tualecie; byłam więc zadowolona ze wszystkiego, co posiadałam, dopóki nie przyjechała księżniczka.

Nawet wobec jej strojów moje skromne ubranie wydało mi się odpowiedniem, bo każda z nas stanowiła typ zupełnie odrębny. Janina była bogatą, a moi rodzice pracowali ciężko na nasze wychowanie; musiałyśmy więc różnić się i w ubraniu, a dla wiejskiego podlotka tylko skromna suknia jest właściwą. Miałam przecież jedną, której nie znosiła Nina. Pstra, ciężka i niezgrabna, posiadała zaletę «dobrego gatunku» i dla tego właśnie kładłam ją dość często.

— Pachnie serem i masłem — mówiła Nina, kręcąc noskiem, ile razy widziała, że wyjmuję z szafy znienawidzone przez nią ubranie.

— Zmiłuj się, Kociu, nie wychodź na miasto w tej zielonożółtej sukni; krowy lizać cię będą, sądząc, że kaczeniec rośnie na jej fałdach.

— Zobacz Kociu w salonie prababkę ciotki Pauliny, ma suknię zupełnie do twojej podobną; ona była jednak trochę starsza od ciebie, bo kiedy malowano jej portret, miała 80 lat.

Słuchałam żartów Niny, ale nie brałam ich do serca; suknia była prawie nową, nosiłam ją więc często. Aż raz, właśnie kiedy miałam się ubierać, znikła z szafy. Próżno przerzucam wszystkie kąty; ani śladu stanika i spódnicy.

— Jeśli kochane kociątko szuka swej pięknej sukni — powiedziała uprzejmie Nina, widząc moje zakłopotanie — to niech wie o tem, że darowałam ją staruszce, która kupuje kości od Wiktorji. Pokryje nią swoje kości, bardzo wysuszone, będzie jej dogodna, bo obie jesteście chude, a moje ubranie byłoby i za przestrone i za lekkie dla Marcinowej. Nie miaucz więc żałośnie, koteczku, bo co się stać miało, już się stało. Darujesz mi, moją śmiałość, prawda? — dodała szalona dziewczyna, śpiewając i tańcząc koło mnie, poczem wybiegła z pokoju.

— Darowała moją suknię, darowała moją nową suknię! — powtarzałam, niedowierzając własnym uszom.

Brak jej w szafie potwierdził, niestety, słowa Niny; zresztą dla księżniczki nie było nic niepodobnego.

— To jednak za śmiałe — myślałam, idąc do

swego pokoju, gdy nagle ujrzałam na krześle przy łóżku śliczną, fijołkową wełnianą suknię. Stanęłam oniemiała.

— Przymierz, kociątko, przymierz. Zdaje mi się, że krawcowa doskonale pamiętała twoją miarę — zawołała Nina, przypatrując mi się z miną prawdziwego łobuza.

— Ta prześliczna suknia, ubrana aksamitem, miałażby być moją? — krzyknęłam żdziwiona.

— Mama kupiła dla mnie materjał, ale nienawidzę fijołkowego koloru, bo gust do fijołków jest zbyt idylliczny i znudziły mi się sentymentalne kwiatki. Darowałam twój kaczeniec, masz więc wszelkie prawo ubrać się w moje fijołki — zawołała wesoło i uściskała mnie serdecznie.

Byłam zachwycona i uszczęśliwiona, a przytem podziwiałam Ninę, która umiała tak obrócić każdą sprawę, że ani się gniewać na nią, ani dziękować jej nie miałam prawa. Postawiła na swojem, a na tem zależało jej przedewszystkiem.

Ciocia pozwolila mi przyjąć suknię od Niny, ale biedna Nina musiała wysłuchać kazania za samowolę. Ja przez ten czas przeglądałam się z upodobaniem w lustrze. Suknia była istotnie prześliczna, nawet panna Aniela Darska zaszczyciłaby mnie pewnie ukłonem, gdybym tak ubrana, spotkała ją na ulicy.

— Czy ty chętnie dajesz jałmużnę ubogim? — zapytałam Ninę, rozczulona jej dobrocią dla starej handlarki Marcinowej.

— Skąd ci przyszło do głowy takie staropanieńskie czy kwakierskie zapytanie? Ubodzy, to nieznośny naród, nie cierpię ich i gotowa jestem oddać dziadowi wszystko, co posiadam, byle się go pozbyć czemprędzej.

— Źle czynisz, kochana Nino, ubogich nie wolno nam się pozbywać, powinniśmy..... Ale cóż ty robisz?—zawołałam, przerywając swoją naukę, w czasie której Nina ustawiła trzy krzesła jedno na drugiem.

— Proszę księdza dobrodzieja, kazalnica gotowa; jeśli łaska, może usłyszymy dalszy ciąg.

Rozśmiałam się, bo psótnica złożyła pokornie ręce i udawała zasłuchaną w pobożnej nauce. Naturalnie przepadł morał, a o to właśnie chodziło Ninie.

— Masz tyle piękności, ile rozumu — mówiła często do mnie, kiedy chciałam ją moralizować, a cytata, wyjęta z Szekspira, który kładzie ją w usta Tytanji, zachwycającej się osłem, miała niestety, aż nadto wyraźne znaczenie.

Nie mogłam także namówić szalonej dziewczyny do udziału w wędrówkach, które co tydzień odbywałam po suterynach i poddaszach, odwiedzając ubogie rodziny.

— Śmierdzą brudem te dziury — mówiła Nina, krzywiąc noskiem — nie pomoże czyszczenie i wietrzenie ubrania; po tygodniu czuć jeszcze odorek w fałdach sukni. Za nic nie pójdę; pieniędzy weź z mego biurka, ile ci się podoba i daj im.

Szłam więc sama, bo przemódz upór księżniczki było zupełnie niemożliwem. Ale i tu splatała mi



...Proszę... kazalnica gotowa, jeżeli łaska możemy usłyszeć dalszy ciąg... (Str. 128).

Nina figla, którego nie spodziewałam się po niej wcale. Zdarzyło się raz, że odwiedzając moich ubogich, trafiłam na wyjątkową nędzę. Ojciec umarł, matka była chora, a czworo drobnych dzieci, głodnych i obdartych, otaczało jej łóżko. Oddałam biedakom wszystko, co przyniosłam, i opowiedziałam Ninie o nieszczęśliwych. Słuchała obojętnie moich słów, aż pogniewałam się na nią i pomyślałam, że bądź co bądź, złe wychowanie zabija serce w kobiecie.

Jakże się jednak zdziwiłam, gdy zszedłszy nazajutrz do chorej w suterynie, zastałam dzieci nakarmione i ubrane w nowe sukienki, a matkę pocieszoną, bo jakaś pani młoda i ładna zapłaciła za nią komorne i zostawiła jeszcze pieniądze na życie.

— Śliczna i dobra pani — mówiła chora — pieściła mego najmłodszego Jasia, a śmiały chłopak targał ją za włosy. Ja się bałam, że się ta pani obrazi, a ona trzymała go na kolanach i całowała po umorusanej buzi. Darowała mu nawet ten medalik z łańcuszkiem.

Mówiąc to, kobieta wyjęła z pod poduszki złoty wizerunek Najświętszej Panny, zawieszony na srebrnym łańcuszku. Poznałam odrazu dar Niny, bo kupowałyśmy go razem na prezent imieninowy dla Wiktorji.

— Dziwna dziewczyna! — pomyślałam znowu — udaje wstręt do brudnej nędzy, a pieści zasmolone dzieci.

Kiedy jednak, wróciwszy do domu, wspomniałam o szczęściu biednej chorej, Nina zmarszczyła

brwi z takiem nieukontentowaniem, że nie śmiałam mówić dłużej i tylko cioci odkryłam tajemnicę miłosierdzia księżniczki.

Często potem miałam sposobność przekonać się, że wspierała ona wielu nieszczęśliwych, ale przez kogo dowiadywała się o nich, jakim sposobem przychodziła im z pomocą, tego nie mówiła nigdy.

Ciocia Paulina obawiała się słusznie, aby nie wyzyskiwano niedoświadczenia Niny. I musiało też dziać się tak niejednokrotnie, gdyż biedaczka sama złożyła nareszcie broń przed nami, prosząc o radę na przyszłość.

Wróciła raz do domu zmęczona i rzuciwszy na mnie rękawiczki, zawołała.

— Powiedz, studnio mądrości, skąd bierzesz pieniądze dla swoich biednych?... Ja już wyszafowałam wszystko, co miałam, jestem uboga jak kościelna mysz, a jednak nie dałam nikomu tyle, ile dać trzeba było, aby zaspokoić żądania nieszczęśliwych.

Ciocia odpowiedziała za mnie.

— Sądzę, Nino, że źle bierzesz się do rzeczy; nieraz małym datkiem można zrobić dużo dobrego, podczas gdy kupując ubogim rzeczy zbytkowne, ogałacamy swoją kieszeń, nie przynosząc im istotnego pożytku. Czasem pieniądz, dany w porę, zrobi więcej dobrego, niż setki, wydane bezpotrzebnie.

— Ależ cióciu, cóż znaczy nawet dziesięć rubli? Toż to kropla wylana w morze nędzy, niknie bez śladu, a morze pochłania wszystko i zawsze jeszcze morzem nędzy będzie. Doprawdy nie mogę

myśleć o tem! Przytem ci ludzie nietylko nie mają co jeść, ale nie mają na czem i czem zjeść tego, co im kupię. Kiedyś naprzykład zastałam całą rodzinę zgromadzoną przy jednej misce; a żeby ciocia widziała łyżki, które niosą do ust! Zgroza! Jakaś zczerniała, szkaradna blacha, której bym się ręką nie dotknęła, a oni ją w usta kładą. Spytałam, dla czego nie nakryli stołu chociażby ceratą, którąby umyć można, ale spojrzeli na mnie zdziwieni, nie rozumieli nawet, czego chcę od nich. Nie mogłam patrzeć na takie poniżenie godności człowieka, wzięłam posłańca i poszłam kupić im talerzy, łyżek, kilka grubych serwet, wszystko, co uważałam za nieodzowne. Tymczasem wydałam tyle pieniędzy, że nazajutrz nie miałam już co posłać im na życie i pewnie są dziś głodni — mówiła Nina ze łzami w ślicznych oczach.

— Głodni nie są, moje drogie dziecko — pocieszała ciocia, wzruszona opowiadaniem księżniczki — bo jeśli w tej rodzinie jest istotna nędza, to serwety, łyżki i talerze już sprzedali albo zastawili, a kupili za nie chleba, lub kartofli.

— Które jeść znów będą z jednej miski obrzydliwemi blaszanemi łyżkami! Ależ od tego właśnie ustrzedz ich chciałam — zawołała Nina rozżalona.

— Niestety, tak jednak byli zmuszeni zrobić, bo głód ma pierwsze prawa, silniejsze niż najelementarniejsze nawet pojęcie o dobrym smaku.

— Ależ to okropnie smutne, ciociu!

— Smutne, to prawda, ale miejmy nadzieję, że

z czasem stan naszego społeczeństwa zmieni się na lepsze, bo wszak dziś już z dniem każdym niemal powstają nowe instytucje i nowe fundacje, które wpływają na zapewnienie względnego dobrobytu ludziom, nie mogącym pracować, lub tym, których praca nie wystarcza na potrzeby rodziny. Pragnę, abyś brała udział w lekcjach Kostuni; wykład ekonomji nauczyłby cię rozumieć wiele zagadnień społecznych, nad których rozwiązaniem wszyscy pracować powinniśmy. Nie dość jest dać jałmużnę; trzeba nauczyć się nieść bliźnim rzeczywistą pomoc przez współudział w pracy nad poprawą bytu ubogich. Zajrzyj do czytelni bezpłatnych, do ambulatorjów, do instytucji takich, jak Schronienie dla sług, Pogotowie ratunkowe, Kuchnie tanie, a przekonasz się, że obowiązkiem naszym jest stworzyć ludziom warunki pracy zdrowej i nie przechodzącej sił, podnieść ich poziom umysłowo-moralny, dać ratunek w razie kalectwa lub choroby i uprzyjemnić byt przez budowę tanich mieszkań, przez ogródki frebłowskie dla dzieci, przez bezpłatne odczyty i widowiska teatralne. Jednorazowo dana jałmużna to za mało, a ciebie stać na to, abyś rzetelną pracą służyła ubogim.

— Cioteczko! — zawołała Nina, udając przestraszoną — ani ja architekt, żeby stawiać domy dla robotników, ani przedsiębiorca teatralny, żeby wprowadzać na scenę pasterki i pasterzy w kostjumach á la Watteau, jak przedstawiano lud wobec Marji Antoniny i Ludwika XVI. Zresztą winszuję in-

stytucji, którąby takie, jak moje, prowadziły ręce. Alboż robiły one kiedy co porządnie? Tryle wygrywać na fortepianie, ot co potrafią!

To mówiąc, psotnica uderzyła w klawisze i bębniła po nich to fałszywie, to wywołując prześliczne efekty.

Ale nazajutrz Nina przyszła na lekcję ekonomji i przekonałyśmy się z odpowiedzi, jakie dawała profesorowi, wyprzedzając mnie i Marynię, że przedmiot ten nie jest jej obcym. Kajet notatek, który przyniosła z sobą, był tego dowodem.

Odtąd brała regularnie udział w naszych naukach, a w dwa dni później jechała razem z ciocią do domu schronienia, którym zajmowała się nadal bardzo gorliwie.

XI.

DWA LISTY.

Przybycie Niny do domu ciotki Pauliny zmieniało zupełnie bieg moich myśli i wrażeń. Mniej może teraz tęskniłam za rodzeństwem, bo miałam towarzyszkę, ale tem goręcej kochałam rodziców, gdyż miałam przykład z Janiny, jak źle jest być sierotą. Przytem, choć zdawało mi się czasem, że księżniczka usuwała mnie zawsze na szary koniec, to niekiedy znów doznawałam uczucia, jak gdyby przez poznanie Niny rozszerzały się horyzonty moich pojęć i sądów.

Że obcowanie z tą bogato obdarowaną naturą wpływało dodatnio na mój rozwój artystyczny, to nie ulega żadnej wątpliwości, ale myśl moja nawet i pod wielu innemi względami dojrzała przy Janinie. Stawałam się sprawiedliwszą w sądzie o ludziach, byłam dla nich pobłażliwszą, przekonałam się bowiem, że nigdy nie można wiedzieć, gdzie jaki brylant, czasem najczystszej wody, kryje się pod

złemi pozorami i ile takich brylantów wydobylibyśmy z serc ludzkich, gdyby zajrzeć w nie z miłością i pobłażaniem.

Ciotka Paulina miała tę miłość i dla tego trafiała do ładu z rozkapryszonem i chociaż bardzo wykwintnem, to jednak na swój sposób źle wychowanem dzieckiem.

A złe wychowanie niejednokrotnie czuć się w niem dawało, zwłaszcza w stosunku do sług. Janina, dobra z natury, przybierała jednak względem Wiktorji ton cierpki i pogardliwy, za co ciotka ją strofowała, cytując francuskie przysłowie: «c'est le ton qui fait la chanson».

— Dobre słowo — mówiła ciocia — nabiera wartości, gdy je wypowiemy mile i wdzięcznie; wymówce zaś odejmiemy gorycz, jeśli ją wypowiemy bez cienia wzgardy w głosie.

Często też wobec służących używała Janina pogardliwych o nich wyrażeń. Mówiła np: — wyglądasz jak kucharka — lub też: — masz ręce szkaradne, nie mogę na nie patrzeć, bo mi przypominają praczkę.

Wiktorja uśmiechała się smutnie, słysząc Janinę wypowiadającą takie lekceważące porównania, a ciocia przypominała księżniczce, że dobre wychowanie polega na grzeczności, prawdziwa zaś grzeczność każe unikać wszystkiego, co ludziom może być przykre. — Żeby wszystko przebaczyć, trzeba wszystko zrozumieć, a żeby wszystko zrozumieć, trzeba wszystko wiedzieć, mówiła mi nie-

raz ciocia, wyrzucając nam surowy sąd i pewną, jak nazywała, kwakierską zaciętość w pojęciach.

Przykład Niny był dowodem, że słusznie kochana ciocia doradzała rozumną pobłażliwość; kapryśna dziewczyna oswajała się codzień lepiej z naszem życiem i z każdą chwilą większy brała udział w naszych pracach. Od czasu do czasu samowolna jej natura przeważała jeszcze nad rozsądkiem, ale natura ta była tak bogatą i posiadała tyle czaru, że wybaczało się chętnie Ninie jej psoty i kaprysiki.

Ja najczęściej padałam ofiarą bujnych pomysłów mojej towarzyszki, jej dowcipów i przedrzeźniań, ale i dużo dobrego zawdzięczałam temu prześladowaniu.

Nina naprzykład, nauczyła mnie rozumieć muzykę, chociaż z początku, ile razy siadałam do fortepianu, uciekała przerażona, utrzymując, że ona grających kotów nie znosi i że muzyka Koci jest istotnie kocim piskiem, lub kocią muzyką. Ale nażartowawszy się do woli, dawała mi potem dobre rady, a nawet nieraz męczyła się ze mną porządnie, choć sama nigdy nie chciała przyznać się do tego, utrzymując, że grać nie umie, więc i innych uczyć nie będzie.

Toż samo było z głośnem czytaniem. Czytać uczyła mnie mama i nieraz potem czytywałam młodszemu rodzeństwu, ale nigdy nie przyszło mi na myśl, że czytanie może być prawdziwą sztuką, że od niego w części zależy wrażenie, jakie odnosimy z pięknej książki. To też Nina prześladowała mnie

z początku nieznośnie za moje głośne czytanie, którego ciocia słuchała dotąd z pobłażaniem.

— Czy siekasz językiem kotlety, kochana Kostuniu? — pytała ze słodką minką, kiedy czytałam zbyt prędko.

Raz znów przyniosła mi tartynkę.

— Zapewne jesteś głodna — mówiła uprzejmie — tyle połknęłaś wyrazów!

Ciocia broniła mnie od żartów Niny, ale nie zawsze to pomagało.

Raz, w czasie głośnego czytania, zniecierpliwiona, wyrwała mi książkę z rąk. Był to Beniowski Słowackiego. Księżniczka ze wszystkich polskich poetów najwyżej właśnie ceniła Słowackiego, nie mogła więc słuchać spokojnie, gdy ktoś kaleczył cudowne jego utwory.

— Przeczytaj sama — prosiła ciocia.

Nina nie odpowiedziała nic na ten rozkaz — chodziła wzburzona po pokoju, podczas gdy ja, rozżalona na nią, wzięłam do ręki robotę.

Siadła nareszcie, ale wyglądała tak, jakby nie widziała nas wcale, nie myślała o tem, że ją słuchają, i zaczęła czytać głośno. Zdawało mi się, że po raz pierwszy obijają się o moje uszy dźwięki, o których sądziłam przedtem, iż znam je doskonale. Byłże to istotnie Beniowski, czy też jakiś nowy poemat, cały z brylantów i iskier? Skąd ta siła, te zwroty niespodziane, ta pieszczotliwość i czar, obok zgrzytów ironji, lub potęgi wyrażeń w ustępach więcej patetycznych?

Ciocia położyła robotę, moja wypadła mi dawno z ręki, i siedziałyśmy zasłuchane w cudowną muzykę słów, w które Nina umiała wlać duszę.

Kiedy przestała, rzuciłam się jej na szyję zachwycona, dziękując jej za tę przyjemność; roześmiała się jakimś urywanym, nerwowym śmiechem, odepchnęła mnie i podniósłszy pończochę, którą ciocia upuściła na ziemię, zaczęła szybko przebierać drutami.

— To się nazywa czytać! — mówiła tymczasem ciotka Paulina — nie wiedziałam, że w tak mistrzowskim stopniu posiadasz tę umiejętność, niestety rzadką bardzo, a jednak najcenniejszą ze wszystkich, bo dostępną każdemu. Tyle dziewcząt i chłopców dręczą muzyką, do której mało kto ma zdolności, a lekcji głośnego czytania nie bierze u nas nikt prawie. Ale widzę, że i z drutami umiesz się obchodzić. Oddaj już tę robotę; nie przypuszczałam, że i w niej jesteś biegłą.

Nina oddała pończochę; widziałam jednak z jej uśmiechu, że nie była w zupełnej zgodzie z sumieniem.

— A szkaradna dziewczyno! miałam cię też za co chwalić! — zawołała ciocia, podnosząc do oczów robotę — myślałam, że dopomogłaś mi w dokończeniu pięty, a tyś połowę oczek pogubiła, resztę zaś spoiłaś z sobą.

Wybuchnęłam śmiechem, bo pończocha wyglądała teraz zabawnie. Nina na przeproszenie ucałowała ręce cioci.

— Powiedz prawdę, cioteczko — mówiła, przy-

milając się rozkosznie — która z nas dwóch więcej sprawia ci kłopotu? Czy cnotliwa Konstancja, studnia mądrości, skarbnica rozsądku, ale potrzebująca tresury i ruszająca się wśród ludzi, jak niedźwiadek przywieziony z puszczy Białowieskiej, czy lekkomyślna, psotna, nieznośna Nina, zbiór nieprawości i grzechów? Powiedz, powiedz prawdę, cioteczko! Wiem z góry, jak sąd twój wypadnie, i biję się w piersi ze skruchą. Ale czy ja, biedny robak, jestem znów tak bardzo winna, że mnie psotne chochliki kuszą i podsuwają lekkomyślne zamiary? Chochliki wprawdzie często kuszą, jednak dobry Anioł Stróż zrobił swoje, bo przyprowadził sierotę pod dach pewnej cioci, która rózeczką czarodziejską odpędza chochliki; i teraz biedny robak rozmyśla często nad tem, jak naśladować cnotliwe niewiasty, w których towarzystwie żyje, i pomaga im bodajby nawet w robocie pończochy!....

Byłyśmy obie z ciocią bardzo rozczulone słowami Niny, ona jednak, skończywszy orację, pobiegła do fortepianu i zaśpiewała zabawnym, zupełnie dziecinnym głosem:

> Wlazł kotek na płotek i mruga,
> Ładna to piosenka nie długa.

Znasz kotku tę piosneczkę? — zawołała, chwytając mnie wpół, i nim zdołałam się spostrzedz, wykręciła mną szalonego młynka, aż zmęczone upadłyśmy obie na sofę.

Księżniczka miała zupełną słuszność, przyrównywując mnie do młodego niedźwiadka, bo często

jeszcze grzeszyłam przeciw prawidłom kodeksu «Nie wypada», ale ciocia Dystynkcja i Ninę za «Nie wypada» musiała karcić.

Raz naprzykład, wychyliła się ona poprzez ramę okna i zawoławszy mnie, zaczęła wesoło robić uwagi nad przechodzącemi ulicą. Dostałyśmy obie za to porządną burę.

— Takie postępowanie — mówiła ciocia — nietylko jest niewłaściwem, ale zdradza przytem usposobienie próżniacze i zalotne, a dziewczęta powinny umieć użyteczniej czas spędzać, niż wyglądając przez okno.

Nina mrugnęła ku mnie złośliwie.

— Ciocia się boi, żeby błędni rycerze nie zdobyli jej zamczyska i nie oswobodzili księżniczek, uwięzionych przez złośliwego smoka.

Żartowała, jednak odeszła od okna i od tego czasu nie wychylała się z niego nigdy.

Złem przyzwyczajeniem Niny, za które dostawała napomnienia od cioci, było także stosowanie w rozmowie wyrażeń, jakich nie powstydziłby się podchmielony dorożkarz.

— Mama używała często takich zwrotów, kiedy była w dobrym humorze, a przecież mamie nikt braku dystynkcji zarzucać nie może — tłómaczyła się Nina.

Ciocia nie dała wyraźnej odpowiedzi na słowa siostrzenicy, ale wiedziałam dobrze, co o nich sądzi. Nina też coraz rzadziej zastosowywała w rozmowie frazesy, zaczerpnięte z dykcjonarza przybranej matki.

Często także dostawała napomnienie za lenistwo w stosunkach towarzyskich. Uprzejma, a nawet urocza, tam gdzie jej to robiło przyjemność, nie umiała przezwyciężyć się i zadać sobie fatygi, gdy chodziło o spełnienie przymusowego aktu grzeczności. Trzeba było wyraźnego rozkazu cioci, aby ją skłonić do napisania listu naprzykład; a listy musiałyśmy pisać wyraźnie, bo tego żądała ciocia, «dla oszczędzenia oczu i czasu bliźniemu».

— Co mi tam! — mówiła Nina, ruszając ramionami — nie lubię pisać.

Już to słowo «nie lubię» było odpowiedzią dość częstą w ślicznych usteczkach panny Niny, a apelować od tej decyzji mogła tylko ciocia i to czasem bardzo surowo, jeśli zależało jej koniecznie na spełnieniu danego rozkazu.

— Nie dość jest robić to, do czego mamy ochotę, trzeba jeszcze robić to, co się drugim od nas należy — mówiła ciocia — i robić z dobrym humorem.

Sama znajdowała zawsze czas na wszystko, gniewało ją więc, gdy widziała, że która z nas przez lenistwo nie robi tego, co komuś może być przyjemnem.

— Dzisiejsi młodzi mają dwie wymówki: «jestem zdenerwowana» i «nie lubię». Jeśli chcecie, żebym was kochała, niech nigdy te wyrazy nie obiją się o moje uszy.

— A któżby nie chciał być kochanym przez ciebie, droga ciociu? — myślałam.

Pragnęła tego widocznie i Nina, bo coraz rza-

dziej ulegała kaprysikom swej bogatej, ale spaczonej złem wychowaniem natury. Tylko porządek jej zostawiał jeszcze czasem do życzenia. Nie znała wartości rzeczy, to też nie ochraniała ich, a co gorzej obchodziła się często niedbale z drobiazgami, pożyczonemi jej przez innych. Zgubić moją chustkę, złamać parasol cioci, nie oddać pożyczonych na dorożkę pieniędzy, było u niej codziennym grzechem, choć wiedziała, że mnie bardzo zależy na tem, aby nie brakowało ani jednej sztuki z porządnie naznaczonego tuzina, i chociaż ciocia łajała ją często za lekceważenie grosza.

Raz, przegrawszy nuty, wzięte ze sklepu dla wypróbowania, Nina rzuciła je niedbale na stół, a że w tej chwili właśnie Wiktorja przyniosła ciastka z cukierni, nasza kapryśnica użyła nut zamiast talerzyka i tłustemi okruchami splamiła papier. Lekceważąc tak własność cudzą, odesłała nuty do księgarni i czuła się mocno obrażoną, gdy Wiktorja wróciła z posmolonym zeszytem, którego przyjąć nie chciano. Ciocia skorzystała z tej sposobności, żeby dać nam obu naukę moralną na temat szanowania cudzej własności.

— Jest to cechą najgorszego wychowania chcieć wyzyskać grzeczność cudzą dla własnej korzyści — mówiła ciocia. — Księgarz przez uprzejmość dał ci nuty do wyboru, a ty narażasz go na stratę, odsyłając zniszczony zeszyt. Znam panie, które rzucą tysiącem dla zaspokojenia fantazji, ale będą się targowały o trzy grosze z mleczarką, a nawet skła-

mią bez skrupułu, byle kupca, znudzonego ich natręctwem, zmusić do ustępstwa. Tak, tak moje panny, dobre wychowanie, to nie blichtr, bo ten opada przy lada sposobności — dobre wychowanie, to przedewszystkiem serce prawe i szlachetne, to delikatność uczuć, to w drobiazgach życia zastosowane przykazanie: «Nie czyń drugiemu, co tobie nie miło». Kto o tem pamięta, u tego uprzejmość i wytworność obejścia będzie zawsze oparta na dobroci.

Już to Nina miała wogóle słabe pojęcie o wartości pieniędzy i ciocia ucieszyła się bardzo, gdy księżniczka oddała jej swą kasę. Zwykle bowiem wydawała więcej, niż mogła.

— Muszę mieć bogatego męża — mówiła — a ja myślałam w duchu, że istotnie za takiego iść powinna. Cóż jednak będzie, jeśli pokochasz ubogiego człowieka? — pytałam, idąc za księżniczką do jej pokoju.

Pokój ten wykazywał artystyczne upodobania Niny, ale świadczył także o jej braku systematyczności. Z każdego kąta wyglądały rupiecie, które albo spalić, albo schować należało, a na stolikach leżały listy, często nawet nierozpieczętowane.

W tem także różniłyśmy się z Niną, że ja korespondencję swoją chowałam starannie, i tylko Mimi ją czytywała, jak czytała zresztą zawsze w mojem sercu. Janina przeciwnie, nie przywiązywała żadnej wagi do eleganckich bilecików, odbieranych od znajomych pań i panien; tylko listy ojca, który pisywał bardzo rzadko, chowała starannie pod klucz, a wszystkie inne poniewierały

się po kątach, lub służyły do zakręcania grzywki.

Raz, a było to już w drugim miesiącu pobytu Niny w Warszawie, oczekiwałam niespokojnie listu z domu. Spóźnił się o dwa dni, że zaś mama niezmiernie regularnie przysyłała mi wiadomości, więc myślałam ze strachem, jaka może być przyczyna jej niezwykłego zapomnienia. Powitałam też listonosza okrzykami radości, gdy nareszcie nadszedł. Nina odebrała także list, czytałyśmy więc obie naszą korespondencję, a że kochana mama czulej jeszcze, niż zwykle, odezwała się do swej starej, więc też stara oblała łzami jej pismo. Nina patrzała na mnie zdziwiona.

— Pozwól mi przeczytać twój list — powiedziała nagle i nie czekając na odpowiedź, schwyciła kopertę. — Wzamian mogę się podzielić z tobą treścią mojego — wątpię jednak, aby wzruszył cię głęboko — dodała, rzucając na stół pachnący i różowy bilecik.

Poznałam pismo jej przybranej matki i przeczytałam list, dość krótki zresztą. Krótki, ale jakże przerażająco czczy i światowy!

Lekkomyślna i próżna macocha Niny, przyzwyczajona do hołdów i rozrywek, jakich dotąd miewała pod dostatkiem, nudziła się śmiertelnie w Lublinie przy matce staruszce, spędzającej większą część dnia w kościele.

Wyobraź sobie Nino, że tu nie mają pojęcia, już nietylko o modach paryskich, ale nawet o tem, co noszą teraz u was w Warszawie — pisała do córki. Z żurnalu trudno sobie dokładne wyrobić wyo-

brażenie, dla tego zmiłuj się, kochana Nino, ty, która znasz dobrze mój gust, donieś mi, co mam sprowadzić sobie na ten sezon? Zazdroszczę ci doprawdy, że możesz codziennie oglądać wystawy Hersego lub Makowskiego; nie jest to zapewne Louvre, Bon Marché, lub nawet berliński Gerson, ale w porównaniu z Lublinem!....

Brrr.......... Lublin! Ach, czyż potrafię dożyć tu do lutego?... Bo dłużej nie wytrzymam i sądzę, że twój ojciec sam wkrótce zrozumie konieczność zawiezienia mnie na Riwierę. Zdrów jest, pisuje rzadko, zajęty jakiemiś przetworami, barbaria! Nie pojmuję, jak go to może interesować. A propos przetworów i chemji, jest podobno nowa pasta do zębów i puder; kup mi, proszę, ale koniecznie firmy paryskiej Pinauda, niemieckim nie wierzę, nawet Lohsemu, a o miejscowych warszawskich mowy niema. Któżby używał tutejszych kosmetyków!

Tout á vous, mon bijou.

Lola.

P. S. Jak mi radzisz?... Pióra czy kwiaty do kapelusza?... Jeśli kwiaty, sprowadzę przez panią Zaleską. Szczęśliwa, jedzie do Paryża! Poproszę, aby kupiła i dla ciebie, bo ja nigdy nie zapominam swej córeczki, ma tendre fille. Soigne ton teint chérie. Przyślę ci wyborny przepis na wodę migdałową; lepsze to i pewniejsze, niż kupne kosmetyki».

Byłam tak zdumiona treścią przeczytanego listu, że nie uważałam, kiedy Nina wyszła z pokoju. Pobiegłam za nią, ale Marysia powiedziała mi, że pa-

nienka zamknęła się na klucz i nie wpuszcza do siebie nikogo.

Czekałam więc dość długo, nie rozumiejąc, co się jej stać mogło. Dopiero ciotka Paulina wytłómaczyła mi nareszcie dziwne zachowanie się Niny.

— Wracam od niej — mówiła ciocia, sama bardzo wzruszona — nie chciała z początku otworzyć mi drzwi, ale uległa nakoniec moim prośbom. To list twoich rodziców, Kociu, zrobił na biednej sierocie tak silne wrażenie. Poznała, czytając go, jakim skarbem jest uczucie matki.

— Rozumiem doskonale Ninę — przerwałam — bo oto tu jest list, który ona odebrała z Lublina; przeczytaj go, cioteczko, i porównaj z napisanym do mnie — prosiłam w poczuciu dumy, że jestem dzieckiem rozumnej i dobrej matki.

Ciocia przebiegła oczami bezmyślną paplaninę, którą dopiero co skończyłam czytać. List wypadł jej z ręki.

— Biedny, biedny Adolf! — mówila wzruszona — a potem obracając się do mnie, dodała.

— Ten smutny dokument jest najlepszym adwokatem Niny. Czy mamy prawo być surowe dla dziewczęcia, które zostawało pod wpływem takiej kobiety?

Ucałowałam ręce cioci, obiecując kochać Ninę; ja, szczęśliwe dziecko, czułam się w obowiązku być dobrą i wyrozumiałą dla sieroty.

Przypomniały mi się słowa cioci.

— Żeby wszystko przebaczyć, trzeba wszystko

zrozumieć, a żeby wszystko zrozumieć, trzeba wszystko wiedzieć.

List macochy Niny z Lublina był dowodem, jak wielka prawda leżała w tem zdaniu. Gotowa byłam teraz przebaczyć Ninie wszystkie jej kaprysy, bo wiedząc wszystko, wszystko też zrozumiałam.

I tak należało się dziwić, że Nina nie była tak zepsutą, jak można było się spodziewać po wpływie tak powierzchownej kobiety, jaką była jej macocha. Widocznie grunt był dobry.

XII.

BAL.

— Mam dla was, dziewczęta, dobrą wiadomość, zaproszenie, które zrobi wam przyjemność — mówiła ciotka Paulina, wchodząc do saloniku, w którym grałyśmy z Niną na cztery ręce. — W przyszły wtorek będą tańce u państwa Waniewskich, pojedziemy do nich, czy chcecie?

— A więc tańczą w tym kraju? — przerwała Nina — myślałam, że zamknięta na pokucie u ciebie, ciociu, zapomnę zupełnie tańca — wołała, skacząc z radości po salonie.

A moje balowe tualety leżą dotąd na dnie kufrów, nawet ich nie wypakowałam. Ale.... cóż ty włożysz, Kociu? Zostawiam ci wprawdzie wybór, lecz mówię, jak Abraham do Lota: «Jeśli ty na lewo, ja na prawo; jeśli ty niebiesko, ja różowo; wolisz biało? to ja zielono, byle nie jednakowo, jak bliźniątka, lub papużki «inséparables.» Ten «genre» jest dla mnie stanowczo za sentymentalny.

Milczałam, choć krew uderzyła mi do głowy, nie słyszałam prawie tego, co mówiła Nina. Bal!... więc miałam iść na bal! Byłam już na owym pamiętnym raucie, na którym popełniłam tyle niedorzeczności ale bal, to wcale co innego! Będę tańczyć — myślałam i serce biło mi młotem w piersiach, a drżałam ze wzruszenia i z radości.

Ciocia Paulina pocałowała mnie serdecznie i powiedziała, żartując.

— Oj, mała, widzę u ciebie symptomaty balowej gorączki, a że strach ma wielkie oczy, więc ten strach gotów ci popsuć radość z zabawy; pamiętaj, że szlachetna odwaga strzedz nas powinna od śmiesznej bojaźliwości, tak jak poczucie delikatności chroni od zbytniej pewności siebie. To także reguła z kodeksu dobrego wychowania. Wszystko będzie dobrze, Kociu, niech tylko moja panna przywdzieje balowy rynsztunek, a zobaczysz, jak wystrzelą ci z ramion skrzydła odwagi.

Długo uspokajała mnie ciocia, obiecując dać dużo dobrych rad, ale Nina była niewyczerpana w żartach z biednego podlotka.

Ona tańczyła od dzieciństwa i balowa sala nie przerażała jej wcale.

Siedziała też odtąd razem z Marysią i z panną z magazynu wśród stosu kwiatów, wstążek i gazy, z poza których widać ich nie było.

Marysia znała się na krawieczyźnie, a Nina obmyślała nietylko swoją, ale i moją suknię, którą ta panna razem z Marysią szyły. I ja im trochę pomagałam.

Była biała, prześliczna, ale dotąd nie zdecydowałam się jeszcze, jakie do niej dobrać kwiaty.

Nadzieja tańca podniecała dobry humor Niny, dokuczała mi też żartami nieustannie i nie było sposobu usłyszeć od niej rozsądnej rady.

— Kocia chce olśnić pięknością całą młodzież — wołała Nina z poza falban gazy — włóż, serce, na głowę snop zboża, lub liść łopianu, to ci przypomni rodzinną wioskę. Albo, wiesz, mam myśl! Każ sobie uwić wieniec z krwawnika i z macierzanki, karmią niemi gąsięta i indyczęta; otóż ten emblemat będzie dla podlotka najstosowniejszy.

Odeszłam, bo żarty Niny drażniły moją miłość własną. Cioci nie chciałam narażać na zaziębienie, bo była i tak zakatarzona, postanowiłam więc prosić Mimi, aby poszła ze mną kupić kwiaty.

W dwa dni potem wybierałam się właśnie na tę ważną wyprawę, kiedy wniesiono do pokoju pudło pod moim adresem.

Otworzyłam je z bijącem sercem. Na samem wierzchu leżała karteczka z następującym wierszem:

Krwawnik, łopian, macierzankę
Dla podlotka splatam w wianek,
I przestrzegam mą kochankę,
Że kto na balu słodyczy zje wiele,
Pije za karę rumianek.

Domyśliłam się złośliwego figla Niny, gdyż opowiadałam jej kiedyś o przygodzie mojej ze słodkim szampanem. Zdarłam papier, okrywający pudełko; leżał pod nim gruby wieniec uwity z traw i chwastów. Można go było istotnie posiekać na

pokarm dla gęsi. Obrażona, rzuciłam pudełko w kąt pokoju, nie wyjmując wcale zieleniny; pocóż Nina miała tryumfować z mojej naiwności? Niech sama rozpakuje swoją dowcipną niespodziankę!

Ale jakież było moje żdziwienie, gdy z pod chwastów wyjrzał różowy pączek! Zaciekawiona, sięgnęłam głębiej do pudełka i wydobyłam z pod przedzielającej go tektury prześliczne bukiety kwiatów jabłoni, tak świeże i delikatne, jak gdyby dopiero co zrywano je w lipowieckim sadzie.

— Jakież to musi być kosztowne! — pomyślałam, ale napróżno szukałam ceny. Kartkę zdarła z umysłu ta sama ręka, która przygotowała niespodziankę. Jakaż ta Nina dobra! a jaka delikatna! — wyszeptałam i chciałam właśnie cioci pokazać te piękności, kiedy weszła Nina.

Rzuciłam się jej na szyję, bo byłam pewna, że ona to jest wróżką, która pod chwastem ukryła kwiaty, ale odtrąciła mnie z udanym gniewem.

— Czuję sentymentalizm w tym objawie radości; pachniesz, kocie, macierzanką i gąsiętami. Nie gustuję w sielskich obrazach — zawołała i znikła za drzwiami.

— Nieznośna, a jednak taka dobra! — pomyślałam powtórnie, biegnąc z kwiatami do pokoju cioci; wyglądały prześlicznie przy sukni już gotowej. Obok niej leżały białe atłasowe szarfy i takież pantofelki, nie brakowało więc niczego do tualety, pięknej, jak marzenie.

Strój ten jednak budził we mnie wyrzuty sumie-

nia. Dla mojej przyjemności wyłącznie ciocia poświęciła pieniądze, a przytem myślałam o mojej drogiej mateczce, że trudzi się tam sama gospodarstwem i nauką Władzi, podczas gdy ja tu baluję. Ale też za rok, niech tylko powrócę do Lipowiec, nie balować, tylko pracować będę z siostrami.

Nadszedł nareszcie ów pamiętny, tak niecierpliwie oczekiwany wtorek. Ciocia Paulina sama miała mnie ubrać; z bijącem też sercem przygotowałam na łóżku naprzód białe spódniczki, a potem suknię, szarfy, kwiaty, rękawiczki i wachlarz. Nie zapomnę nigdy wrażenia, z jakiem na białe pończoszki wkładałam atlasowe pantofelki.

Przyszło mi nagle na myśl, że kładłabym takie same właśnie w dzień ślubu mego z panem Halickim. Brr!... byłabym już może mężatką, a pan mąż nie pozwoliłby mi pewnie iść na bal.

— Zgroza pomyśleć, jak łatwo kobiety dają się okuć w kajdany niewoli — mówiłam rada, że jeszcze nie dzielę ich losu.

— Ciekawa jestem, czy też będzie na balu?... Chciałabym być ładną na złość szlachetnemu rycerzowi, który przez wdzięczność (lubię taką wdzięczność) gotów był ulitować się nad biednym podlotkiem. Jakie to szczęście, że Nina nie wie o sprawie z panem Halickim, dopieroby mi dokuczała! — myślałam, ale wejście cioci przerwało moje uwagi.

Dobra, kochana ciocia, sama uczesała mnie i ubrała, sama przypięła kwiaty. Omal nie krzyknęłam z podziwu nad sobą, gdy stanęłam przed lustrem.

— Czy to naprawdę ja? — pytałam. Nawet rodzice nie poznaliby swej starej w tem ubraniu. Zobaczy ciocia, na balu nikt z pewnością nie będzie miał piękniejszej tualety!

Nagle otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Nina.

— Klękajcie narody przed tylą urody — zawołała ciocia.

Istotnie było coś czarującego w jej postaci. Rusałka czy świtezianka, dość, że porywała pięknością i wdziękiem. Suknia z zielonej crepe lisse była obramowana kwiatami lilji. We włosach, związanych w grecki węzeł, sterczał także kwiat lilji, przypięty brylantową szpilką. Zdawało się, że wodna roślina strąciła na loki czarodziejki błyszczące krople ze swego kielicha.

Stałam oniemiała z zachwytu. Nina roześmiala się i uderzyła mnie wachlarzem z bialych piór, wśród których błyszczał brylantowy monogram.

— Kociątko ślicznie wygląda — zawołała ucieszona — strzeż się kwiateczku, bo zawrócisz głowę wszystkim motylom.

Śmiała się swobodnie i rozkoszna, jak boginka leśna, kazała Marysi przynieść pudełko z rękawiczkami; wyrzucila tuzin par na stół, i przymierzała jedne po drugich, a robiła to tak niecierpliwie, że naddarła kilka, nie zwracając najmniejszej uwagi na szkodę.

Patrzałam zdziwiona. Moje rękawiczki, które dostałam od cioci, leżały starannie złożone obok chusteczki, obszytej koronką. Powiedziałam Ninie,

że nie pojmuję jej marnotrawstwa, ale wyśmiała mnie za filisterską oszczędność.

— Czas jechać, dzieci! — zawołała ciotka Paulina.

Zadrżałam mimowoli. Jechałyśmy jednak tak prędko, że nie było czasu się niepokoić. Oszołomiona atmosferą balu, weszłam bezmyślnie za ciocią. Tłum osób, blask świateł, szelest sukien, dźwięki muzyki, szmer rozmów, cała gama upajających wrażeń, od których doznałam zawrotu głowy, odebrała mi przytomność. Schwyciłam ciocię za rękę i nie byłabym jej puściła za żadne skarby świata.

Na szczęście zamajaczyło coś niebieskiego przed mojemi oczami. To Mimi, moja droga Mimi! w wianeczku z białych róż, ze słodkim, jak zawsze, uśmiechem wita swą wystraszoną Kocię. Ale Kocia nie boi się już teraz niczego, płynie środkiem salonu przy boku ukochanej Mimi, a obie podziwiają Janinę, którą otoczyło grono pań i panów.

Bo też Nina jest bez zaprzeczenia królową balu — myślę z radością i dumą — a właśnie w tej chwili staje przede mną pierwszy tancerz i zaprasza mnie do walca!.....

Tańczyłam nieraz w domu rodzicielskim z Klocią i jej bratem, z mojemi siostrzyczkami, z kolegami Jerzego i kuzynami, wiedziałam, że nie zmylę taktu, nawet kontredansa umiałam doskonale, a jednak kręciło mi się w głowie, serce biło młotem; czułam się przytem tak szczęśliwą, jak nigdy w żadnej zabawie. Skończono walca; ale czemże jest walc w porównaniu z mazurem!

— Czy tylko będziemy miały tancerzy? — mówiłyśmy obie z Mimi, nie troszcząc się wcale o Ninę; ta z pewnością stanie w pierwszą parę. Dla niej bal był tłem, na którem uwydatniała się najkorzystniej jej prawdziwie królewska uroda.

Była nietylko piękną, ale miała dziwną harmonję w całej swej postaci, a przytem ile dowcipu w odpowiedziach! Otoczona hołdami, umiała przyjmować je wdzięcznie, lecz spokojnie, nie zapominając w zabawie o mnie i o Mimi.

— Cóż porabiają moje fijołki? — zawołała, zbliżając się do nas.

Szła pod rękę z jakimś panem. Miała tańczyć kontredansa i pragnęła się dowiedzieć, czy jesteśmy także zamówione.

— Fijołki podziwiają gwiazdę, która się o nie troszczyć raczy — odpowiedział tancerz Niny, patrząc protekcjonalnie na nas obie.

Ale Nina nie była wcale rozczulona tym komplementem. Zmierzyła zimnym wzrokiem swego towarzysza, aż odstąpił od niej na dwa kroki i uważałam, tańcząc kontredansa, że przez cały czas rozmawiała tylko ze swojem vis á vis. Moje stanowiła na szczęście Mimi; ona też dwa razy poprawiła mnie, gdy zmyliłam figurę.

Mazur! O jakże cieszył mnie ten śliczny i ochoczy taniec, do którego zamówił mnie doktór Sulski. Wybierał mnie i Marynię, za co czułam dla niego niezmierną wdzięczność, bo mógł przecież nie zwracać uwagi na podlotka. W ostat-

niej figurze wręczył mi bukiet i zapytał, czy chcę z nim tańczyć kotyljona. Uszczęśliwiona, biegłam właśnie do przyległego salonu powiedzieć o tem Mimi i poprawić suknię, kiedy spotkałam Ninę. Siedziała zmęczona, niby nie patrząc na nikogo, ale mnie zobaczyła i uśmiechając się złośliwie, zapytała, kto obdarzył mnie kwiatami.

— Doktór Sulski, przyjaciel mego ojca.

— Czy to ten, który tak często tańczył z tobą?

— Tak, ale to przez przyjaźń dla tatusia.

— Zapewne! więc i bukiet odeślesz też tatusiowi?

Zaczerwieniłam się po samo czoło ze złości na tę szkaradną dziewczynę, która posiadała wyłączny dar podchwytywania moich słów.

— Ej kotku, ty kotku filucie,
Czy mruga w twych oczach uczucie?
Czy przyjaźń zdradziecka a słodka,
Zwyczajnie jak w oczach u kotka?

nuciła Nina, przekrzywiając główkę i patrząc na mnie filuternie.

Byłam już teraz szczerze zła za jej przymówki, ale właśnie zaczęto grać kotyljona, więc nie miałam czasu gniewać się na Ninę, bo kotyljon to taki zabawny, wesoły, a przytem i zajmujący taniec. Naprzykład ordery!...

— Komu też Mimi przypnie swój? — myślałam. — Żałuję, że nie poradziłam się cioci w tej ważnej kwestji. Gdyby brat Maryni był na balu, jemu dostałaby się ode mnie dekoracja, bo jego znam najlepiej. Ale skoro nie przyszedł, co mam robić?

Chętnie przypięłabym order panu Sulskiemu, ale

to nie wypada. Tak, nie, tak, nie, — myślałam, — nie mając odwagi powziąć ostatecznego postanowienia, a tu już nadchodzi decydująca chwila... panowie otaczają mnie kołem.... Spojrzałam na Ninę. Szczęściem rozmawia bardzo żywo z jakąś panią, siedzącą na kanapie.

— Nie będzie się wyśmiewała, bo nie zauważy — pomyślałam ucieszona i przypięłam order doktorowi, który, naturalnie przez przyjaźń dla ojca, na kolanach przyjął to odznaczenie..

Bal się skończył i wróciłyśmy do domu; byłam zupełnie odurzona doznanemi wrażeniami, w uszach brzmiał mi ciągle walc.

Ciocia nie przerywała żadną burzą rozkołysanych wspomnień podlotka; widocznie siostrzenica była correcte, nie popełniła tym razem na szczęście żadnej niedorzeczności.

Zadowolenie z siebie i z całego świata ukołysało mnie do snu tak dobrze, że obudziłam się nazajutrz dopiero o jedenastej.

Ale i Nina leżała jeszcze w łóżku; pobiegłam do niej, bo pilno mi było porozmawiać o wczorajszej zabawie. Ziewnęła, przymrużyła oczy i patrzała na mnie, jak na obcą sobie i obojętną zupełnie osobę.

— Muszę zacząć dawać ci lekcje tańca, — powiedziała, ziewając znów niedbale.

— Czyż tak źle tańczę? — zawołałam zmartwiona, bo byłam dotąd bardzo zadowolona z moich choreograficznych popisów.

— Zupełnie jak suczka mamy, kiedy jej na dwóch

łapkach kazałam skakać — odpowiedziała Nina ze znudzoną miną.

Zaczerwieniłam się i zagryzłam wargi.

Byłam już przy drzwiach, kiedy zaśpiewała:

— Stój, poczekaj, krasna wróżko! gdzie tak stąpasz lekką nóżką? Mam ci coś do powiedzenia, — i odrzucając kołdrę, wyskoczyła z łóżka.

— Idę przyrządzać śniadanie — odpowiedziałam obojętnie.

— Idź, idź serce, umiesz robić dobrą kawę, warta więc jesteś za nią jeszcze piękniejszego orderu, niż ten, który błyszczał wczoraj na fraku doktora Sulskiego, a który mu przypięło pewne kociątko. Kociątko podrapie mnie za to spostrzeżenie, prawda? Już jest złe i wyciąga pazurki.

Zła byłam istotnie. Że też Nina wszystko zawsze dopatrzeć musi! A sądziłam, iż rozmawiając z panią Walicką, nie zauważy, komu przypięłam order. Gniewało mnie także jej zdanie o moim tańcu.

— Czyż istotnie tańczę tak źle? — myślałam, nalewając kawę, i postanowiłam spytać się o to ciocię. Ale Nina uspokoiła mnie sama, zaręczała bowiem, że to, co powiedziała rano, było tylko żartem. Obiecała jednak dać nam obu z Marynią kilka lekcji tańca, utrzymując, że nie poruszamy się dość swobodnie i zanadto zwracamy uwagę na wyuczone pas.

— Witaj, piękna panno — zawołała wesoło Nina do wchodzącej jakby na jej zawołanie Maryni. — Jestem tak pobudzona wspomnieniami wczorajsze-

go balu i tak tańcem rozkołysana, że muszę go dzisiaj dokończyć — i zaczęła tańczyć sama, dając nam swoim przykładem najlepszą lekcję.

Ale jej wdzięku i zręczności nikt naśladować nie potrafi. Ciocia zaś skorzystała ze sposobności, żeby dać nam burę za to, że nie dość prosto się trzymamy.

— Człowiek wyprostowany jest zwinniejszy, żywszy, skłonniejszy do pracy, niż ten, który się łatwo przygarbia. Prosta postawa jest nam dana od natury, jako szlachetny znak naszego człowieczeństwa — mówiła ciocia.

Ale też umieć naśladować wykwintną postawę cioci jest tak trudno, jak dorównać w tańcu Janinie.

XIII.

OCALONA.

Jesień tegoroczna trwała wyjątkowo długo i była tak piękna, że w grudniu słońce grzało, jak na wiosnę. Zakwitły nawet miejscami po raz drugi akacje. Korzystając ze sprzyjającej pory, robiłyśmy wycieczki, bo nie znałyśmy dotąd wcale okolic Warszawy. Zwiedziwszy kolejno Marymont, Grochów, Ursynów, Jabłonnę, Wilanów, nawet Raszyn, wybierałyśmy się właśnie do Natolina, kiedy ciocia oznajmiła nam, że projektowany spacer odłożymy na inny dzień, a dziś pojedziemy odwiedzić kumę cioci, panią Maciejową, która mieszkała niedaleko Woli.

Pani Maciejowa nosiła na targ do Warszawy mleko, masło i jaja wtedy jeszcze, kiedy była młodą a bardzo urodziwą Kasią. Siostra jej służyła u rodziców ciotki Pauliny, to jest u moich dziadków i stąd powstała znajomość, trwająca od lat 30. Kasia z kolei sama wyszła za mąż, z własnego

więc już gospodarstwa dostarczała cioci, młodej także wówczas mężatce, produktów wiejskich.

Ciocia trzymała do chrztu troje dzieci pani Maciejowej, co zacieśniło węzły zobopólnej przyjaźni. Witałyśmy z radością w każdy piątek poczciwą gosposię, która też polubiła mnie i Ninę i przynosiła nam do późnej jesieni bukiety z polnych i leśnych kwiatów.

Ale jeszcze w początku grudnia Maciejowa zasłabła, i ciocia postanowiła odwiedzić chorą. Zastałyśmy biedaczkę w łóżku. Byłabym chętnie zajęła się jej wnukami, które potrzebowały grzebienia i mydła, ale ciocia wyprawiła nas obie z Niną na spacer w obawie, że choroba Maciejowej jest może złą gorączką.

Już zdala widniał na zielonem tle lasu ładny dwór wiejski, otoczony ogrodem, z poza którego strzelały w górę wierzchołki topolowych drzew, tworzących aleję, która prowadziła do kościoła.

Przypomniały mi się Lipowce. Tak dawno tęskniłam do wsi, że zapragnęłam nasycić oczy widokiem, do którego rwała mi się dusza. Namówiłam więc Ninę i poszłyśmy drogą ku dworowi. Po obu jej stronach ciągnęły się szerokie łany ozimin. Musiał wczesny siew rosnąć zbyt bujnie pod ciepłem jesiennego słońca, bo bydło skubało już młodą ruń zbóż i upiększało śliczny krajobraz.

Krajobraz ten był dla wielu może monotonny, jak zwykle mazowieckie widoki, ale byłam przyzwyczajona do równin, i tu więc wszystko przy-

pominało mi dom rodzicielski. I u nas rosną już posiewy, i nasze bydło wychodzi zapewne w pole, i tam, jak i tu witają przechodzących staropolskiem pozdrowieniem «Niech będzie pochwalony». Nic się tam pewno nie zmieniło na wsi, tylko mnie niema przy rodzicach, nie dzielę ich pracy, nie patrzę na piękne pola, po których nieraz chodziłam. Kiedyż zobaczę was, najdrozsi?—myślałam, idąc naprzód.

Podeszliśmy do bydła, ale Nina bala się krów, które ja głaskałam z przyjemnością. Ona, tak pewna siebie w salonie, na polu była wystraszoną i nieśmiałą, miałam więc sposobność oddania jej wet za wet za prześladowania i koncepty.

Nagle posłyszałam pomruk wśród spokojnego stada i to obudziło moją uwagę. Nina uparła się wracać już do cioci i wyprzedziła mnie o kilkanaście kroków, teraz jednak nie zatrzymywałam jej wcale, owszem, śpieszyłam sama, bo dojrzałam w gromadzie bydła byka, który od czasu do czasu podnosił głowę i niespokojnie bił racicami o ziemię. Pastucha nie było w pobliżu, zaniepokojona więc biegłam coraz prędzej, goniąc Ninę, ta zaś uciekała przestraszona. Wołałam, aby zrzuciła z siebie czerwony szal, jego to bowiem widok podniecał gniew byka; ale było już zapóźno! Rozwścieczone zwierzę pędziło wprost na swą ofiarę. Wiedziałam, że nie potrafię obronić Niny, choć biegłam z całych sił i serce zamarło mi w piersiach, gdyż byk był już blizko Janiny. Zasłoniłam ręką oczy, krzycząc jednocześnie o ratunek.

Nagle mignęło coś przed mojemi oczami. Ujrzałam kogoś podbiegającego i kij spadający na łeb rozzłoszczonego zwierzęcia, widziałam, jak byk zatoczył się ku ziemi, ryjąc zagon rogami. Nina upadła, ale zwierzę jej nie doścignęło, myślałam uszczęśliwiona, biegnąc do niej. Leżała biedaczka nieprzytomna ze strachu, ale widziałam, że jest ocalona; nad nią stał jakiś jegomość i w tej samej chwili nadbiegł i pastuch.

Odwróciłam się, żeby podziękować nieznajomemu, który tak w porę przyszedł nam z pomocą, i któż opisze moje ździwienie! Dopiero teraz spostrzegłam, że pomoc tę dał mój błędny rycerz, pan Gustaw Halicki, a dał ją skutecznie, gdyż kij, którym ogłuszył byka, miał żelazną gałkę.

— Ach, to pan, jakież szczęście, że pan się tutaj znalazł! Szczególne zdarzenie!

Nie odczułam jednak zażenowania i nieśmiałości, i nawet zapomniałam podziękować, bo trzeba było ratować Ninę. Podniosłam ją, otrzeźwiłam wodą kolońską, bo Janina miała na szczęście flakonik w kieszeni, i zaprezentowałam ździwionej, uroczej ofierze szlachetnego jej wybawcę; potem wracałam wraz z niemi do cioci.

Janina odzyskała bardzo prędko zwykłą sobie swobodę obejścia, a ku memu zdumieniu zachowanie się pana Halickiego było zupełnie inne wśród pól i łąk, niż na woskowanej posadzce. Szli, rozmawiając swobodnie, jak dawni i dobrzy znajomi, podczas gdy idąc za niemi, myślałam, co też ciocia

powie na to dziwne spotkanie? Nie wiedziałyśmy bowiem wcale, jadąc odwiedzić Maciejową, że jej chata znajduje się w pobliżu majątku p. Halickiego. Wracał on właśnie z folwarku razem z ekonomem, kiedy dojrzał byka, pędzącego ku drodze, i domyśliwszy się niebezpieczeństwa, pośpieszył nam na ratunek.

Ekonomowi polecił zająć się odprowadzeniem ogłuszonego zwierzęcia do obory, sam zaś słuchał podziękowań Niny, która wypowiadała mu je we właściwy sobie a tak uroczy sposób, że pod ciepłem jej obejścia topniała drewniana sztywność nieśmiałego dziwaka.

— Prawdziwie romantyczna przygoda — myślałam. — Don Kiszot, oswobadzający księżniczkę od ścigającego ją potwora!

Don Kiszot?... Nie, na tę nazwę nie zasługiwał w tej chwili pan Halicki. Rycerzem, ale nie błędnym, wydawał się w całem tego słowa znaczeniu, bo podniecony dokonanym czynem, szedł swobodnie, wesoło też rozmawiał z Niną, opiekując się nią w poczuciu swej męskiej siły obrończej. Nawet w obejściu ze mną był naturalny, co gniewało mnie trochę, bo przecież nie mógł chyba zapomnieć zupełnie zdarzeń, jakie zaszły między nami.

Ciocię Paulinę silnie wzruszyło opowiadanie o niebezpieczeństwie, które groziło Janinie, a może nam obu, podziękowała też serdecznie p. Halickiemu za pomoc, jakiej udzielił z narażeniem własnego życia.

Wtedy on zdobył się na odwagę innego rodza-

ju.... zaprosił nas bowiem do siebie, chcąc, jak mówił, dać nam czas odpocząć po doznanych wrażeniach.

Dwór jego był bliziutko, prawie po drodze, i ciocia Paulina, widząc w naszych oczach wielką chęć odwiedzenia go, przyjęła zaproszenie.

Nie poznawałam mego dziwaka. Coby też Mimi powiedziała, gdyby mogła widzieć, jak pan Halicki z galanterją niezgrabnego wprawdzie, ale pełnego dobrych chęci rycerza, robił honory swego domu! Chodząc po pięknych pokojach w Turowie, myślałam wciąż o tem, że jako pani tego domu, napełniałabym herbatą chińskie filiżanki, uprzejmie podawane nam przez gościnnego gospodarza.

A goście mieli po przechadzce i doznanych wrażeniach doskonały apetyt, nic zaś tak nie usposabia do wesołości, jak smaczne kąski, zjadane na wycieczce. Wycieczka ta była istotnie przyjemnym spacerem, niejako majówką, choć kalendarz wskazywał grudzień. Rozmawialiśmy wesoło o wypadku, a Nina była nieporównana w ośmieszaniu swego tchórzostwa, no i w pochwałach, jakiemi obsypywała szlachetnego wybawcę.

Nie dziw też, że «nieśmiały pan», jak ciocia nazywała dotąd pana Halickiego, stał się zupełnie swobodnym. Uratował księżniczkę od smoka, a księżniczka przez wdzięczność odczarowała go z zaklęcia, bo ruszał się prawie zupełnie tak, jak inni ludzie, i z największą uprzejmością pokazywał nam po herbacie kilka ciekawych książek ze swej bibljoteki.

— Widzę, że pan zajmuje się także muzyką — zawołała nagle Nina, dojrzawszy pudełko ze skrzypcami, leżące w szafie, pełnej książek i nut.

Zaczęła przeglądać nuty i schwyciwszy koncert Beriota, siadła do fortepianu, zmuszając dziwaka do wspólnej muzyki. Napróżno wymawiał się pan Halicki, próżno jęczał, wzdychał, błagał i prosił, nie pomogły żadne tłómaczenia, musiał wziąć skrzypce i grać, grać koniecznie, gdyż tak kazała piękna a zawsze despotyczna panna Janina.

Słuchałyśmy obie z ciocią zachwycone, bo muzyka była istotnie bardzo piękną, a pan Halicki tak się w niej zatopił, że sam już potem przynosił coraz nowe nuty. Ale dzień krótki miał się ku końcowi, musieliśmy więc pożegnać uprzejmego gospodarza i wracać do Warszawy z nadzieją, jak mówiła ciocia, powitania go niezadługo w naszym domu.

— Czy też przyjedzie? — myślałam, dziwiąc się w duszy, że Nina jakoś nie żartuje z Halickiego. Ona, gotowa zawsze dopatrzyć w każdym jakiejś śmieszności, o nowym znajomym wspominała z wyjątkową sympatją.

— Tiens! tiens! tiens! panno Nino, czyżby to znaczyć miało, że?... — mówiłam sobie, obserwując uważnie swoją towarzyszkę; ale nie zdradziłam wobec niej niczem tych śmiałych podejrzeń, tylko przed Mimi wypowiedziałam szczerze wszystkie swoje spostrzeżenia i domysły, bo Mimi to drugie ja; nie miałam dla niej tajemnic, tem więcej, że chodziło tu o dobrego znajomego.

Tymczasem pan Halicki nie pokazał się wcale w Warszawie.

Tak więc rzeczy stały, gdy nagle doszła nas smutna wiadomość, że od pożaru spłonęła wieś, granicząca z majątkiem pana Halickiego, a nawet spalił się kościołek, który tak mi się podobał w czasie naszej bytności w Turowie.

Pani Maciejowa uniknęła szczęśliwie klęski pożaru, ale przestrach wpłynął źle na stan jej zdrowia i biedaczka leżała w gorączce, która prawdopodobnie była recydywą tyfusu. Od jej wnuczki, wyręczającej babunię w dostarczaniu nam mleka i masła, dowiedzieliśmy się szczegółów tego nieszczęścia. Ona nam opowiadała, z jakiem poświęceniem pan Halicki ratował pogorzelców, z jaką zabiegliwością starał się o dach dla nieszczęśliwych, żywiąc własnym kosztem tych, których mienie spłonęło.

Pani Mirska, uproszona przez Halickiego, obiecała zbierać składkę na odbudowanie kościoła i dla zniszczonych przez ogień wieśniaków. Mimi urządziła na ten cel małą loterję, do czego dopomagałam jej całem sercem; Nina jednak wyśmiała naszą, jak mówiła, filistersko-kramarską działalność, chociaż sama dostarczyła najpiękniejszych fantów.

— Dajmy koncert na pogorzelców, zobaczycie, czy nie przyniesie on sto razy więcej, niż wasza poduszeczko-patarafkowo-pudełeczkowa loterja. Albo urządźmy teatr amatorski. Gdybym miała odpowiednią obsadę do «Czyja wina?» Sienkiewicza, to byłoby najlepsze!

— Weź ty rolę w tej prześlicznej sztuce, brat Maryni potrafi doskonale odegrać drugą — mówiła ciocia. — Ale i dla Koci trzeba wybrać jaką właściwą komedyjkę.

— Tylko nie zaliczcie czasem mnie do aktorskiego personelu, bo za nic nie chciałabym grać na scenie — odezwała się Mimi.

Nawet wymowa Niny nie potrafiła zmienić jej postanowienia.

— Zaśpiewasz ze mną duet ze «Strasznego dworu» — zdecydowała księżniczka i na tem stanęło.

Ale był to dopiero wstęp.... do wstępu. Współczując z biednemi i pragnąc nam dopomódz w jaknajprędszem doprowadzeniu naszych zamiarów do skutku, kochana ciocia Paulina oddała cały dom na nasze rozkazy, muszę zaś przyznać, «honny soit qui mal y pense», że stał się on na dwa tygodnie istnym domem warjatów.

Nie poznawałam Niny. Skąd w leniwej, rozkapryszonej księżniczce wzięła się taka energja i dzielność, tego nie pojmowałam wcale; dość, że od samego rana była w nieustannym ruchu i do późnej nocy pracowała w całem tego słowa znaczeniu.

Przerzuciła mnóstwo utworów dramatycznych, odpowiednich dla teatru amatorskiego i stanęło na tem, że grać będzie «Czyją winę» Sienkiewicza; dla mnie zaś wybrała «Przed śniadaniem», wyborną sztuczkę, w której także dwie tylko występują osoby.

Miałam rolę stosowną dla podlotka i bardzo za-

bawną, bo zupełnie odpowiadającą codziennym moim u cioci obowiązkom. Mianowicie przygotowywałam na scenie śniadanie dla cioci, wtem zjawia się pan XX, młodziutki student, przyjeżdżający na wakacje; traktuje on z początku podlotka z arogancją, właściwą bardzo młodym kawalerom. Spostrzega jednak po pewnym czasie, że lekceważona przez niego pensjonarka nie jest tak niemądrą, jak sądził z początku, że przytem uposażyła ją natura we wdzięk i urodę, zmienia więc swój sposób postępowania, staje się uprzejmym, nawet czułym; ale w tej chwili właśnie ciocia woła młodą parę na śniadanie i spadająca kortyna kończy widowisko...

Ja miałam być jego bohaterką, a bohaterem?

Długo myślała Nina nad wyborem odpowiedniego aktora; stanęło na tem, że tę rolę, dość trudną zresztą, odegra brat panny Anieli Darskiej. Sama panna Aniela raczyła łaskawie przyobiecać swój współudział w koncercie, bo program naszej zabawy był bardzo bogaty i bardzo urozmaicony.

Składały się na niego nietylko dramatyczne, ale i muzykalne siły. Rozpoczynała widowisko serenada Bragi, a kończył przedstawienie duet Mimi z Niną. Fortepian obejmowała księżniczka, akompanjował jej na wiolonczeli brat Maryni. W kwartecie doktór Sulski miał grać pierwsze skrzypce, trzeba było jednak dopełnić kompletu, ale nikt z naszych znajomych nie był tak muzykalny, aby mógł grać drugie skrzypce i pozostawały nieobsadzone ku wielkiemu zmartwieniu Niny.

— Mam myśl! — zawołała raz uszczęśliwiona, i nie tłómacząc nam swego odkrycia, siadła do napisania listu.

Spojrzałam na adres i przeczytałam: Wielmożny pan Gustaw Halicki w Turowie.

— Jakto? Czyż sądzisz, że ten dziwak zechce wziąć udział w koncercie? — zawołałam—nie był dotąd u nas pomimo zaproszenia cioci, a miałby publicznie popisywać się muzyką?

— Czemuż wytrzeszczasz oczy i otwierasz buzię, jak gdybyś mnie połknąć chciała? Oswajają ludzie lwy i tygrysy, czyżby pan Halicki miał być mniej podatnym do obłaskawienia, niż dzikie bestje?

— Ależ Nino, zastanów się.....

Nie dała mi skończyć.

— Zachowaj gapiowatą minkę do swojej roli, na scenie będzie bardzo odpowiednia, tymczasem słuchaj, co ci mam powiedzieć. Pan Halicki *powinien,* rozumiesz? powinien wziąć udział w koncercie, jaki dajemy na korzyść kościoła, spalonego w jego parafji, i biednych pogorzelców, którzy sąsiadują z Turowem.

Zamilkłam, bo czyż warto sprzeczać się z Niną? Byłam jednak pewna, że odbierze odpowiedź odmowną i wtedy dopiero przyzna mi słuszność.

Ale o dziwo! zaraz nazajutrz zjawił się pan Halicki. Sztywny, nieśmiały, niezgrabny, jak zwykle, gdy stąpał po woskowanej posadzce, inny zupełnie, niż wtedy na wsi, gdy był podniecony rolą szlachetnego obrońcy, ale cały oddał się na rozka-

zy Niny. Ona stała się prawdziwie łaskawą księżniczką dla powolnego swego sługi, a przytem tak uroczą i dobrą, że istotnie nie było sposobu oprzeć się jej prośbom.

Odtąd pan Halicki przyjeżdżał codziennie na próby koncertu; grywali z Niną po kilka godzin, a że przygotowania teatralne przysparzały nam z ciocią zajęcia, więc nawykłyśmy do tego, że «artyści», jak ich żartując nazywałam, zostawali sami w salonie. Próby teatru odbywały się także codziennie.

— Ciche mieszkanie cioci Pauliny zamieniłyśmy w przybytek muz—mówiła Janina—w dom warjatów — dodawałam niekiedy, sprzątając razem z Wiktorją rozrzucone po wszystkich kątach kostjumy, kajety z rolami i nuty.

A Wiktorja miała teraz pracę nad siły, bo chciała oszczędzić trudu swej pani, do której była bardzo przywiązana. Patrzałam nieraz z przyjemnością na stosunek, jaki łączył ciocię Paulinę z jej służącą. To nie zafukana, bezmyślna wiejska pokojówka, ale kobieta z rozwiniętym do pewnego stopnia umysłem, z poczuciem własnej godności, które zaznaczało się w jej taktownem postępowaniu. Jej było dobrze w domu cioci, a nam z nią było dobrze. Nawet Janina musiała szanować Wiktorję, a co ważniejsza, uczyła się i Marysię uważać za równego sobie człowieka, nie dręczyć fantazjami biednej dziewczyny, ale wymagać od niej tego tylko, do czego miała prawo.

Ale wracam do *naszych artystów.*

— Pan Halicki ma jednak bardzo miłosierne serce, kiedy przezwyciężył nieśmiałość i bierze tak chętny udział w koncercie — powiedziałam raz do Janiny po wyjeździe dziedzica Turowa.

Spojrzała na mnie badawczym wzrokiem, szukała przytem czegoś na stoliku, na którym nic nie leżało w tej chwili, a później, zwracając się do mnie w zwykły żartobliwy sposób, dodała.

— A propos. Nie wiedziałam kocie, że masz takie ostre pazurki. Podobno w swoim czasie podrapałaś niemi tego samego pana Halickiego, którego *miłosierne* serce podziwiasz dziś wspaniałomyślnie.

Zaczerwieniłam się. To Edward Mirski, brat Maryni, musiał wypaplać przed Niną moją tajemnicę. Byłam zła i zawstydzona; szczęściem Janina nigdy już potem nie wznawiała drażliwej rozmowy o panu Halickim.

XIV.

WIELKI DZIEŃ.

Niepokój, z jakim oczekiwałam przedstawienia, mając w nim czynny wziąć udział, zatarł w mojej pamięci wrażenia balu. Bo czemże był bal w porównaniu z teatrem? Mogłam popsuć sztukę nieśmiałością i ośmieszyć się złą grą. To też powtarzałam rolę nieustannie, a Nina mustrowała podlotka, jak wyćwiczona artystka. Brała ona już nieraz udział w przedstawieniach dramatycznych, a jej bogata, nawskroś artystyczna natura, nadawała się wybornie do każdej roli. Odczuwała instynktownie i myśl autora i wszystkie odcienie danego charakteru. Nawet ciocia, która znała Ninę od dzieciństwa, nie mogła ukryć swego podziwu dla talentu siostrzenicy. Byłam więc pewna, że księżniczka wywiąże się z zadania doskonale; ona zaś, drwiąc wprawdzie i wyśmiewając mnie na swój sposób, utrzymywała jednak, że grą swoją przynoszę zaszczyt wiekopomnemu rodowi

podlotków. Pisywałam teraz co kilka dni do rodziców, opowiadając im najdrobniejsze szczegóły teatralnych przygotowań... Wiedziałam, że moje listy będą dla nich rozrywką, a wyrzucałam sobie bądź co bądź nasze obecne życie, tak różne od tego, jakie tatko i mama pędzą w Lipowcach.

Nadszedł nareszcie dzień przedstawienia. Tapicerzy pod komendą doktora Sulskiego i Edwarda Mirskiego pracowali w salonie cioci nad wzniesieniem estrady i udekorowaniem teatru. Zawieszono kurtynę, ustawiono dekoracje, lampy błyskawiczne rzucały silne światło na scenę. Programy i bilety, malowane przez Janinę, miała sprzedawać panna Jadwiga Waniewska z moją drogą Marynią. W przedpokoju panował nieustanny ruch, wychodzili i wchodzili posłańcy z listami, na które musiałyśmy odpisywać natychmiast, bo ciocia nie pozwalała, aby tracili napróżno drogi dla siebie czas. Wymagała także, aby czekającemu posłańcowi podać uprzejmie krzesło.

— Niech biedak odpocznie — mówiła — jeśli «nie wypada» być niegrzeczną dla gościa w salonie, to bądźcież grzecznemi i dla posłańca w przedpokoju.

Nieraz też zanosiła zziębniętemu biedakowi szklankę gorącej herbaty.

Tak więc musiało być i dziś pomimo rejwachu i ciągłego pośpiechu.

Ukończono nareszcie przygotowania; słyszałam z poza spuszczonej kurtyny szelest wchodzących osób i odsuwanie krzeseł, na których zasiadali

widzowie. Byli to nasi znajomi, lub znajomi znajomych, niemniej drżałam ze strachu, bo zbliżała się chwila wystąpienia na scenę. Tymczasem widziałam przez szparę w kulisie, że zaczyna się kwartet, w którym miał wziąć udział pan Halicki.

— Może zbraknie mu odwagi, może ucieknie do Turowa? pytałam sama siebie, ale usłyszałam wkrótce pierwsze takty ślicznej muzyki.

— Gra więc! pomyślałam ucieszona i zapominając o publiczności, wyjrzałam z poza kulis na to niepojęte dla mnie zjawisko. Musiałam jednak znów podziwiać Ninę. Z wrodzonym sobie sprytem potrafiła zasłonić nieśmiałego i niezręcznego artystę przed oczami widzów. Kazała ustawić pulpit Halickiego za wysokim klombem wazonowych roślin, które zdobiły scenę. Był jej też biedny dziwak za to bardzo wdzięczny. Widziałam to z jego oczu, z zachwytu, z jakim patrzał z poza skrzypiec na akompanjującą mu Janinę.

Nie mogłam jednak robić dalszych spostrzeżeń nad koncertującemi, bo zaraz po skończeniu muzyki miałam sama wystąpić na scenę.

— Niech pani wypije kieliszek wina, to dodaje odwagi — powiedział doktór Sulski, podając mi węgrzyna.

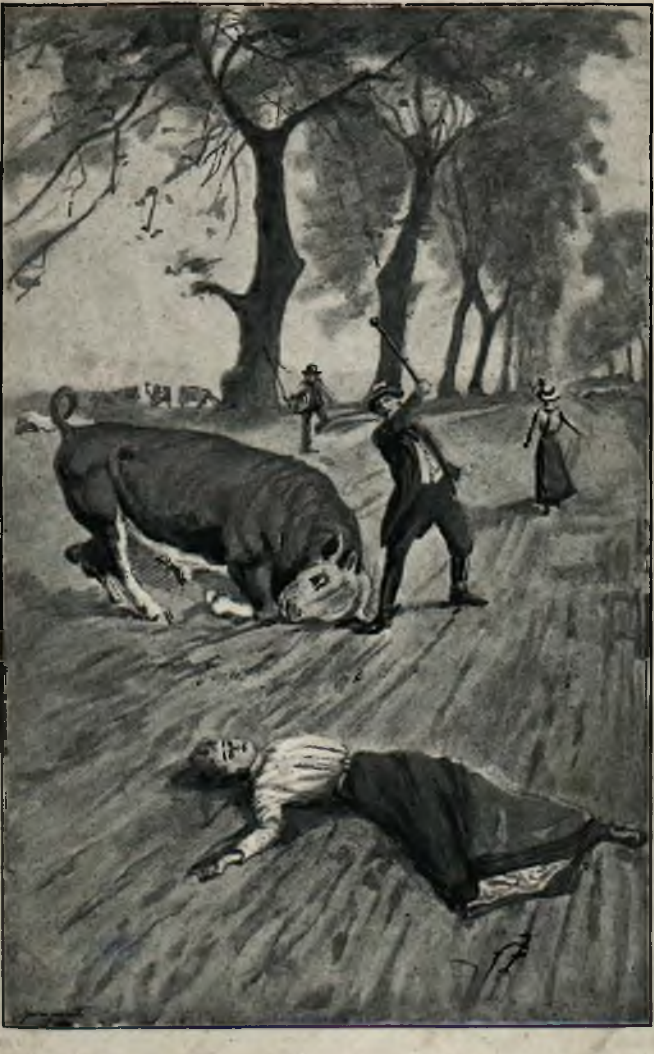
— Nasze zdrowie! — zawołałam do pana Stefana Darskiego, bo wchodził za kulisy już w ubraniu zastosowanem do roli. Trąciliśmy się kieliszkami, ale serce tłukło mi w piersi i sądziłam, że nie potrafię wymówić ani jednego słowa.

— Śmiało kocie, śmiało! zobaczysz, wszystko pójdzie dobrze — zawołała Nina, wbiegając za kulisy wśród oklasków zachwyconej muzyką publiczności. Uściskała mnie serdecznie.

Ten uścisk, czy może wino, wróciły odwagę podlotkowi. Grał też podobno dobrze swą rolę, nie zmylił jej ani razu. Byłam nawet tak przejęta sztuką, że jak mamę kocham, czułam to wszystko naprawdę, co mówiłam na scenie.

— Brawo! wołano jednogłośnie, podczas gdy kurtyna zsuwała się powoli. Zapewne chciano nagrodzić nasze trudy; niejedną bowiem godzinę spędziłam nad swoją rolą. Tem więcej też podziwiałam Ninę, która nie schodziła prawie ze sceny, potem grała na fortepianie i śpiewała solo. Jej duet z Mimi miał zakończyć przedstawienie, a oprócz tego występowała jako artystka dramatyczna w «Czyja wina» Sienkiewicza. I śmiało powiedzieć mogę, co także i widzowie zebrani przyznawali jednogłośnie, że Janina posiada wielki talent dramatyczny (piąty z kolei), że gra jej to nie dyletantyzm amatorki, ale doskonałe zrozumienie myśli autora, połączone z artystycznem wykonaniem.

Biedna ciocia Paulina miała bardzo wiele kłopotu, bo zrujnowaliśmy jej mieszkanie, ale też widowisko przyniosło nadspodziewanie znaczną sumę i ciocia odwiozła sama pieniądze proboszczowi z Turowa. Maciejowa mówiła nam potem, że wielu biedaków błogosławiło cioteczkę za tę pomoc.



... Nina upadła, ale zwierzę jej nie doścignęło; nagle ujrzałam kogoś podbiegającego... (Str. 163).

Teatr amatorski był przez długi czas przedmiotem opowiadań.

Powoli jednak wróciłyśmy i my także do spokojnego życia codziennego. Długie wieczory gromadziły nas w gabinecie cioci, gdzie stały wyłącznie tylko stare graty, jak Nina ze wzgardą nazwała meble w ów pamiętny dzień przyjazdu swego do Warszawy.

Ale jakże się ona od tego czasu zmieniła! Życie jej rodziców było smutnem pasmem rozłączeń lub nieporozumień, a tego, czem jest szczęście rodzinne i cicha codzienna w rodzinie praca, nie znała Nina wcale. Bogata jej jednak natura posiadała głębie uczucia, których nie zdołał wyziębić zły przykład przybranej matki, i choć od czasu do czasu wracały jeszcze kaprysy, ciocia wybornie już teraz radzić sobie z niemi umiała.

— Kto ma ucho wrażliwe na muzykę, ten nie powinien nigdy wymówić słowa ostrego, raniącego drugich. Opryskliwość, szorstkość, a zwłaszcza przygryzki, jakich dopuszczają się względem najbliższych panny pozornie dobrze wychowane, ranią w najwyższym stopniu uczucie delikatności. Tego właśnie nigdy robić «nie wypada,» bo grzeczność względem obcych nam osób obok oburkliwości w stosunku do najbliższych to szczyt złego wychowania — mówiła ciocia, pilnując bacznie, aby zadąsana mina księżniczki nie psuła nam harmonji wspólnego życia.

A schodziło nam ono spokojnie ale i użytecznie:

odbywałyśmy lekcje, uczyłyśmy czytania dzieci stróża i inne, szyłyśmy pilnie pod komendą Marysi, która swoją panienkę i mnie szyć i krajać uczyła. Długie wieczory uprzyjemniała nam muzyka Niny, która grała i śpiewała chętnie, a dawała i mnie lekcje śpiewu, za co byłam jej bardzo wdzięczna. Ciocia lubiła mój głosik, bo głosem nazwać go nie mogę, cieszyłam się zaś serdecznie myślą, że gdy wrócę do Lipowiec, uprzyjemniać będę ojcu piosenką odpoczynek niedzielny.

Kochani rodzice! tęskniłam też do nich, pomimo przyjemnego życia u cioci, pomimo przyjaźni dla drogiej Mimi, z którą zawsze wspólnie się uczyłam. Należała do niektórych lekcji i Nina, głównem jednak jej zajęciem było pomaganie cioci w pracy nad domem przytułku dla sług. Rozwinęła nawet przy tej sposobności chwalebną gorliwość, oddając chętnie własne fundusze, a tych nie skąpił jej ojciec, może nawet za wiele pieniędzy przysyłając jedynaczce, która i po swojej matce znaczny otrzymała majątek. Używała więc Janina własnego grosza na cel szlachetny, a dla poprawienia bytu sług w zakładzie zbierała nawet składki między znajomemi.

Najhojniejsze ofiary składał pan Halicki, który od czasu koncertu bywał częstym naszym gościem. Wielbiciel muzyki, dla muzyki zapewne przezwyciężył wrodzoną nieśmiałość; Janina urządzała też często kwartety, a pan Edward Mirski i doktór Sulski chętnie do nich należeli.

W tem małem kółku wybranych, w którem najmilszym moim gościem była naturalnie Marynia, spędzałyśmy zimę, nie biorąc udziału w zabawach wielkiego miasta. Ciocia czuła się niezdrową, męczyły ją wizyty, a rodzina państwa Waniewskich, u których najczęściej tańczono, wyjechała na zimę do Zakopanego.

Dla nieprzyzwyczajonego do zabaw podlotka skromne «poniedziałki» cioci dostateczną były rozrywką, ale i Nina znosiła doskonale jednostajność długich zimowych wieczorów.

Prawda, że obie z ciocią umiały ożywić nasze małe kółko. Doktór Sulski, który dużo podróżował, opowiadał chętnie o dalekich swych wędrówkach, a przekonaliśmy się wkrótce, że pan Halicki także wiele jeździł po świecie, posiadał przytem gruntowne wykształcenie, rzadkie u zadomowionego wiejskiego gospodarza.

Tak więc salon cioci, a raczej jej gabinet, gdyż tam najchętniej spędzaliśmy wieczory, brzmiał często muzyką i wesołą rozmową. My z Marynią siadywałyśmy zwykle na małej kanapce z robotą w ręku, bo ciocia wymagała, abyśmy były zawsze zajęte czemś użytecznem, i przysłuchiwałyśmy się opowiadaniom panów. Nie obeszło się jednak bez szeptów między przyjaciółkami, chociaż kochana ciocia łajała nas niekiedy za udzielanie sobie pokątnych uwag, a już gniewała się na dobre, gdy dosłyszała, że podlotki chichoczą bez widocznej do śmiechu przyczyny. Cioteczka miała słuszność,

było jednak coś, co pobudzało naszą wesołość. Bo... bo... choć nie wiem doprawdy jak to powiedzieć i na czem opierałyśmy swoje przypuszczenia, bo od pewnego czasu zauważyłyśmy obydwie z Mimi, że pan Halicki... że... no, że pragnie pozyskać względy Janiny.

Aż mi lżej na sercu po wypowiedzeniu tej tajemnicy, której zresztą nie zdradzałyśmy przed nikim, nawet przed panem Edwardem, chociaż on, jako brat Maryni, miał prawo do naszego zaufania.

— Czy jednak Nina jest życzliwie usposobioną dla nieśmiałego dziwaka?—ot, czego nie wiedziałyśmy wcale. Któż byłby bowiem tak zuchwałym, aby módz powiedzieć, że odgadł myśli i uczucia kapryśnej dziewczyny? Sto razy mówiłyśmy sobie: tak, ale zaraz potem przychodziły nam wątpliwości i kręcąc smutnie głową, byłyśmy gotowe powiedzieć—nie, nic z tego!

Smuciłyśmy się tem, bo lubiłyśmy obie pana dziwaka, a prócz tego był on przecież przyjacielem brata Maryni, jakże więc nie współczuć z biedakiem! Współczułam mu też szczerze i jeśli w czasie teatru, a nawet potem jeszcze, krępowało mnie wspomnienie mniemanych oświadczyn pana Halickiego, to teraz byłam już zupełnie swobodna, i poznawszy szlachetny jego charakter, pragnęłam gorąco, aby znalazł w Ninie wzajemność. Ale był tak nieśmiały, że mijał miesiąc za miesiącem, ciepły powiew wiosny spędzał już

śnieg z pól biednego dziedzica Turowa, a on, bajeczny markiz de Carabas, właściciel łąk, lasów, obsianych niw i bogatego stada, stał wobec Janiny zmrożony i zaklęty, chociaż tak chętnie byłby jej rzucił pod stopy wszystkie swe bogactwa.

— Panno Konstancjo, zdobyłabyś sobie pani wielką zasługę, gdybyś chciała pomódz pewnej biednej duszy — powiedział raz do mnie pan Edward.

— Zasługę!... Ależ moja własna dusza potrzebuje pomocy! Spytaj się pan cioci Pauliny, ile razy napominać mnie musi.

— Bo powołaniem ciotek jest doskonalić siostrzenice, niemniej mogłabyś pani uratować mego przyjaciela od rozpaczy, tem więcej, że był on w swoim czasie wielbicielem pani...

— A!... zaraz rozpacz! Któż słyszał wyrażać się z taką przesadą! Pański przyjaciel nigdy nie był moim wielbicielem i hołdów swoich nie myślał składać przed podlotkiem.

— A jednak prawdą jest, i ja wiem o tem najlepiej, że byłaś pani srogą dla mego przyjaciela; trzeba więc pomódz mu teraz w biedzie i wybadać zręcznie pannę Janinę, jakie też ona żywi uczucia względem Gustawa.

— Bardzo chętnie, ale jakże ja mogę to zrobić?

— Panie posiadacie tysiące sposobów na odchylenie dyskretnie rąbka tajemnicy u swych przyjaciółek.

— Pan sądzi, że to łatwe zadanie?... Czyż nie zna pan Janiny, tego cudownego kameleona, który

sto razy na godzinę potrafi zmienić barwy; wyśmieje mnie i po pierwszem słowie odgadnie moje zamiary.

— Spełniłabyś pani jednak dobry uczynek, pomagając szlachetnemu człowiekowi, który nie odważy się nigdy na krok stanowczy, chociażbym mu sto lat tłómaczył, że ma za sobą względy panny Janiny, gdyż wie już co sądzić o pozornej uprzejmości pięknych pań.

Zaczerwieniłam się, zrozumiawszy przymówkę.

— Zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy — odpowiedziałam, odwracając głowę, żeby ukryć zmieszanie, wywołane słowami pana Edwarda. Jestem pewna, że Nina jest życzliwą panu Halickiemu, bo nie zapiera się tego wcale, ale czy życzliwość ta sięga głębiej?...

Wierna danej obietnicy, starałam się odtąd usilnie naprowadzać rozmowę z księżniczką na temat pana Halickiego, jego cnót, talentów, rozległej wiedzy etc., etc., etc.

Ale bylo to trudne zadanie.

— Uważałaś, Nino, jak pan Halicki ożywia się przy muzyce, jest wtedy nawet zupełnie przystojny.

— Dla mnie jest zawsze brzydki, zarówno ze smyczkiem jak i bez smyczka — odpowiedziała niedbale.

— Jest niezręczny, to prawda, ale ma rysy regularne i gdyby był swobodniejszy w układzie...

— Nie znajduję w nim wcale tej sztywności,

o której mówisz — przerwała Nina — rozmawia łatwo, a to ważniejsze, niż zgrabny taniec.

Tak było zawsze. Chwaliłam — ganiła, jeśli jednak ja zrobiłam zarzut panu Halickiemu, stawała zaraz w jego obronie.

— Turów to śliczny majątek — mówiłam raz, próbując z tej znów strony zaczepić rozmowę — jakie tam gospodarstwo wzorowe! Ileż dobrego mogłaby zrobić żona tak rozumnego i szlachetnego człowieka, jakim jest pan Halicki!

— Dlaczegóż więc nie chciałaś zamieszkać tego pięknego Turowa? Byłabyś wierną podporą małżonka w jego pracach.

Zaczerwieniłam się, ale nie dałam za wygranę.

— Pan Halicki nigdy na serjo nie myślał o mnie — odpowiedziałam — znam jednak dziewczęta, które chętnie zostałyby żonami dziwaka. A ty, czy nie znasz takiej, Nino?

— Nie wiem. W każdym razie «nie wypada» częstować kogoś potrawą, którą sami uważaliśmy za niesmaczną. Mądre ty jesteś stworzenie, mój kocie, ale starej, jak ja, myszy nie złapiesz.

Przekonana, że nie potrafię wydobyć podstępem wyznania Niny, postanowiłam spytać się jej otwarcie, co sądzi o panu Halickim.

— Nino — powiedziałam do niej, a głos drżał mi, tak byłam przejęta ważnością swojej misji — Nino, przecież nie możesz nie widzieć, że pan Halicki kocha cię z całego serca. Czemuż więc dręczyć biednego człowieka, który jest zbyt nie-

śmiały, aby ci wyznać swe uczucie? Czyż nie mogłabyś okazać mu wyraźniej sympatji, jaką masz dla niego?

Rozśmiała się na cały głos.

— Szlachetna, pełna współczucia duszo! jakże chętnie poszłabym za twoją radą! Ale wskaż sposób! Cóż mam uczynić dla ośmielenia szlachetnego rycerza? Gdybym tańczyła z nim kotyljona, o! wtedy nauczona twym przykładem, przypięłabym mu order na znak, że jest mi najmilszym ze wszystkich panów stworzenia...

Niestety, minęły czasy turniejów, nie mogę szarfą przepasać bohatera, a ciocia wciąż kaszle, niema widoku na żaden wieczorek, ani nawet majówkę, więc pan Halicki orderu nie dostanie. Ale à propos, a komu to ty dałaś swój na balu u Waniewskich? Pewnie panu Edwardowi, przez przyjaźń dla Maryni, czy może komu innemu? Powiedz kocie, pomóż mojej pamięci.

— Daj mi pokój, nikomu i w niczem pomagać nie myślę. Z tobą nie warto rozmawiać poczciwie — zawołałam rozgniewana.

— Ot, to śliczne postanowienie, teraz więc przestaniecie mnie dręczyć, i ty i pan Edward; obu sprzymierzeńców pozbyłam się jednym zamachem. Nie miaucz jednak tak żałośnie, koteczku, niech ci serce nie omdlewa ze współczucia nad nieszczęśliwym, bo wiedz o tem — a mówiąc to, nie żądam abyś dochowała mi tajemnicy — że szczerze jestem przywiązana do pana Halickiego i nie mam nic

przeciw oddaniu mu swej ręki. Biegnij więc z tą wiadomością do pana Edwarda, a on, dosiadłszy roweru, niech dąży do Turowa, bo nuż smętny rycerz uprzedzi wasze poselstwo i przezwyciężywszy nieśmiałość, oświadczy się sam! Stracicie zasługę i pociechę spełnienia dobrego uczynku.

Stałam ogłuszona słowami Niny. Dziwna dziewczyna! Przyznawałaż się ona otwarcie do uczucia dla pana Halickiego? lub może był to z jej strony żart złośliwy, którym wyprowadzała nas wszystkich w pole?

— Nie, nie, ty go kochasz! — zawołałam po chwili, rzucając się Janinie na szyję. Nie odepchnęła mnie, owszem, uściskała serdecznie.

Opowiedziałam ciotce Paulinie naszą rozmowę, sądziłam, że ciocia będzie przeciwna temu małżeństwu. Myliłam się jednak bardzo. Owszem, ciocia powiedziała mi, że gorąco pragnęła, aby pan Halicki pozyskał wzajemność Janiny.

— Czy tylko będą szczęśliwi? — zawołałam wzruszona — mają tak różne usposobienia.

— Prawda, ale jestem pewna, że Nina poznała wartość istotnie wielką pana Halickiego i pokochała go tak, jak on na to zasługuje. Co zaś do jego dziwactw i śmieszności, to Nina potrafi we właściwy sobie sposób omijać je, a nawet osłaniać przed ludźmi. On zaś dobrocią i łagodnością zapanuje nad jej kaprysikami, bo wątpię, żeby Nina kiedykolwiek pozbyła się ich zupełnie. Są oboje bogaci, a mam nadzieję, że potrafią uży-

wać tych bogactw dla dobra innych; to da ich wspólnemu życiu cel i wartość.

Ucałowałam ręce kochanej cioci, bo byłam bardzo wzruszona rozmową z Niną, a nie miałam z kim dzielić swych uczuć. Mimi nie przyszła dziś na lekcję, a Janina siedziała prawie ciągle w swoim pokoju.

Wieczorem dopiero przeszła do gabinetu cioci, gdzie też wkrótce usłyszałam bardzo ożywioną rozmowę.

Potem otwarły się drzwi i weszła księżniczka, dziś w zupełności zasługująca na to miano, bo miała w obejściu coś, co mimowoli nakazywało pewien odcień uszanowania.

— Przyjechałaś, kocie, do Warszawy, żeby przejść u cioci szkołę dobrego wychowania. Z kolei więc mam cię teraz nauczyć swoim przykładem, jaką powinna być narzeczona.

Myślałam, że Nina żartuje jak zwykle.

— Wykładaj komu innemu kurs narzeczeństwa, ja wolę literaturę, bo dla mnie stosowniejsza — odpowiedziałam.

— Niestety tym razem muszę siebie przedewszystkiem mieć na uwadze, a to, co ci mówię, to nie żart, tylko gorzka prawda. Uwierz w nią, kocie, jak ja uwierzyć musiałam.

— Nino! czyżbyś istotnie była już narzeczoną? zawołałam nie posiadając się z radości — więc pan Halicki zdobył się na odwagę wypowiedzenia ci swych afektów?

— Nie, tego nie mówię.

— Jedno z was musiało jednak przyznać się do swych uczuć, a przecież nie ty, Nino!

— Ja poszłam jedynie za twym przykładem, kocie. Nie mogłam przypiąć orderu, jak pewna młoda osóbka, musiałam więc napisać dwa słowa, wzamian za które otrzymałam ten oto bukiet—powiedziała Nina, pokazując mi śliczne kwiaty, które zostawiła chwilowo w gabinecie.

Zdawało mi się, że śnię. Jakto? Więc cała sprawa była już na dobre skończona i to bez naszego pośrednictwa? Miałam właśnie dziś wieczorem szepnąć p. Edwardowi, że papiery jego przyjaciela dobrze stoją, gdy Nina, nie czekając dłużej, sama rozstrzygnęła o swej przyszłości.

Podziwiałam jej odwagę; nie umiałabym nigdy zdobyć się na krok podobny. Ale czyż źle postąpiła? Złem jest tylko kłamstwo, albo to, co przynosi krzywdę bliźniemu; Nina zaś swą odwagą uszczęśliwiła szlachetnego człowieka i, co daj Boże, sama na całe życie pozyskała sobie wiernego przyjaciela, ona sierota, tak bardzo potrzebująca pewnej ręki, któraby jej była opieką i osłodą.

Jeszcze nie zdążyłam przyjść do siebie ze zdziwienia, gdy zadźwięczał dzwonek i do pokoju wszedł uszczęśliwiony pan Halicki.

Nigdy nie widziałam podobnego przeobrażenia. Byłże to ten sam niezręczny i nieśmiały dziwak? Promieniał szczęściem i wdzięcznością i drżał ze wzruszenia, podczas gdy Nina, wyglądająca na

księżniczkę w każdym calu, była uroczą, choć poważną, wdzięczną, figlarną, ale wykwintną, słowem nieporównaną! zdawała się być ideałem szczęśliwej i zakochanej narzeczonej.

Jakże ciocia cieszyła się szczęściem siostrzenicy, a cieszył się niem także z całego serca i wasz podlotek.

XV.

NARZECZONA.

«Nikt nigdy nie zgadnie, co u młodej dziewczyny w sercu leży na dnie» — mówiła ciotka Paulina, patrząc z radością na Ninę. A nietylko kochana ciocia, ale całe nasze kółko, stanowiące jakby jedną rodzinę, nie mogło się nadziwić szczęśliwej zmianie, jaka zaszła w Janinie od chwili, gdy została narzeczoną. Widok Niny wzruszał nas głęboko, bo nie można było patrzeć bez współczucia na wysiłki, jakie robiła, aby posiąść przymioty koniecznie potrzebne kobiecie, pragnącej dać szczęście ukochanemu człowiekowi.

Nina, urocza i dobra, gdy nic nie drażniło jej, nieraz nie umiała zapanować nad niezadowoleniem, często także, aby dogodzić chwilowej fantazji, lekceważyła przyjemność, nawyknienia lub gust otaczających ją osób. Jakże inną była teraz w swem zachowaniu względem poczciwego dziwaka! Cieszyło ją to tylko, co jemu robiło przyjemność,

i z uroczą gotowością umiała uprzedzać życzenia narzeczonego, oszczędzając mu upokorzeń, na jakie narażał się przez swą nieśmiałość, zwłaszcza, gdy musiał brać udział w liczniejszem zgromadzeniu. Nina zrzekła się chętnie wizyt u osób mniej znanych panu Halickiemu, a te, które oddać musiał jako jej narzeczony, umiała mu ułatwić, biorąc na siebie cały ciężar rozmowy. Podziwiałam zręczność i uwagę, z jaką czuwała nad tem, aby na drodze pana Gustawa nie znalazło się krzesło, stolik lub wazon. Nieśmiały, a przytem krótkowidz, zaczepiał często zawadzające mu przedmioty, co znów wprawiało go w kłopot i odbierało resztę swobody. Ale obok Niny mógł pan Halicki krążyć bez obawy po salonie, bo zawsze w porę zapobiegła niemiłym niespodziankom, a robiła to z takim wdziękiem, że nie dziwiłam się wcale, widząc zachwyt narzeczonego.

A narzeczona?... O jakże i Nina zmieniła się! Ona, co dawniej tak unikała objawów uczucia i rozrzewnienia, miewała teraz często łzy w oczach.

— Łzy szczęścia — mówiła, całując ręce cioci, a ciocia tuliła do serca młodą parę, zastępując jej rodziców, bo oboje byli sierotami. Myślę, że smutne opuszczenie, w jakiem oboje wyrośli, było jednym z węzłów, łączących ich na całe życie.

Zaczęto teraz układać plany przyszłości dla narzeczonych. Pan Halicki pragnął, aby ślub mógł się odbyć jaknajprędzej, ale ciocia oświadczyła stanowczo, że wprzód musi obznajmić siostrzenicę

z obowiązkami gospodyni domu, na co narzeczony odpowiadał uparcie.

— Panna Janina nie potrzebuje wcale wtrącać się do zarządu i trudzić pracą, od tego jest szafarka lub kucharz.

Ale przeciw takiemu pojmowaniu stanowiska pani domu zaprotestowała sama Janina utrzymując, że wstydem byłoby dla niej nie znać się na szczegółach domowego gospodarstwa.

— Pani żyje tylko cukierkami i herbatą, a herbatę i ja zaparzyć potrafię — tłómaczył p. Halicki.

Nina jednak nie dała się przekonać; utrzymywała żartobliwie, że prócz cukierków potrzebowała jeszcze mięsa, a przynajmniej jajek na miękko do herbaty.

— Ugotowałabyś je może tak, jak ta panienka, która godzinę spędziła w kuchni i przyszła nareszcie pożalić się matce, że jaja popękały od gotowania, a zmięknąć nie chcą.

— Któż ci to, kocie, opowiadał? Wymyśliłaś pewnie tę historję na mój użytek. Jajka na miękko ugotować potrafię—broniła się Nina.

Wątpiłam o tem trochę, jak wątpiłam w ogóle, aby mogła na serjo zająć się piwnicą lub śpiżarnią. Ciocia miewała teraz z Janiną długie konferencje na temat przyszłych jej obowiązków. Przysłuchiwałam się im ciekawie, bo ja także przecież będę mieszkała na wsi, więc nauka cioci i mnie przydać się mogła. A nauczała przedewszystkiem, jak należy być panią rozumną i wyrozumiałą, da-

wać z siebie przykład pracy licznej służbie, szanować jej czas, kochać ziemię z jej płodami i zwierzęta.

— Naucz dziewki i parobków obchodzić się zawsze łagodnie z bydlem, końmi i trzodą. U nas panuje pod tym względem zupełne barbarzyństwo, którego wstydzić się należy. Ale czyż można żądać czystości w chlewach i łagodnego obchodzenia się ze zwierzętami od dziewek, których własne posłania są brudnym barłogiem i do których dozorcy odzywają się często z gburowatością, na jaką nie powinien sobie nigdy pozwalać człowiek, szanujący bliźniego.

— Pamiętaj Nino, mówiła ciocia, że w kuchni czeladniej, w izbach, gdzie ta czeladź sypia i jada, ty osobiście porządku pilnować powinnaś. Nic wstrętniejszego nad panią domu, która siebie otacza wykwintem, a pozwala, aby jej służba żyła w brudzie i zaduchu. Wykwint to grzeszny i pozorny.

Ciocia Paulina wzięła także na siebie obznajmienie siostrzenicy z tajemnicami kucharskiego kunsztu, użyła jednak przytem niemało trudu, gdyż Nina, jak zawsze, więcej płatała figlów, niż odnosiła prawdziwego pożytku. Przedewszystkiem zaś sprawiła sobie cały tuzin ślicznych fartuszków, a od narzeczonego dostała książki pani Ćwierciakiewiczowej we wspaniałej czerwonej oprawie. Uczyła się z nich na pamięć kuchennych przepisów i recytowała je jak lekcję wobec pana Halic-

kiego, co wprawiało go w podziw i zachwyt nad nadzwyczajnemi zdolnościami panny Janiny.

Myślałam sobie jednak, że obiad, ugotowany według jej wskazówek, byłby pewnie bardzo niesmaczny, i nie wiem, czy pan Halicki, karmiony dziwacznemi potrawami pomysłu Niny, czułby się długo zadowolonym.

Tymczasem jednak zachwycały go stale przysmaki, zgotowane ślicznemi rączkami narzeczonej. Całował te rączki z zapałem wtedy nawet, kiedy były umączone, a jadł biedak wszystko, co Nina jeść mu kazała, nie zwracając uwagi na to, co połyka i chwaląc równie dobrze jabłko, jak i obrany przez nią surowy kartofel, który psotnica podała mu kiedyś z uśmiechem zamiast owocu.

Raz obiecała Janina uraczyć nas upieczonym przez siebie piaskowym tortem. Siedzieliśmy wszyscy w gabinecie cioci, oczekując na wspaniałe ciasto. Wniosła je sama Janina i poczęstowała najprzód narzeczonego. Już miał włożyć do ust ukrajany kawałek, kiedy Nina schwyciła go za rękę. Żart udał się jej wybornie; pan Halicki nie poznał, że tort piaskowy był istotnie tortem lepionym z piasku. Marysia wniosła też zaraz inne, doskonałe ciasto i podziwialiśmy je wszyscy ku wielkiej radości Niny.

Nigdy nie umiałam zdać sobie sprawy z tego, czy nasza kochana psotnica potrafi być dobrą gospodynią. Czasem budziła podziw swemi wiadomościami, czasem znów rzecz najprostsza była

dla niej niezrozumiałą. Raz naprzykład piekłyśmy baby i ciocia kazała Ninie dopilnować mleka i dać znać, kiedy się ono zagotuje. Szyłam przez ten czas na maszynie, aż tu otwierają się drzwi, staje w nich Janina, trzymając w ręku rondel z mlekiem i woła, żebym osądziła, czy mleko gotuje się, czy nie, jakgdyby sama poznać tego nie umiała.

Te i tym podobne wypadki wprawiały mnie w zdumienie, nie wiedziałam bowiem nigdy co sądzić o Ninie, a raczej o jej gospodarności; co zaś do jej serca, to z pewnością nikt się zawieść na niem nie mógł. Dawała tego tysiączne dowody. Jeśli była zawsze miłosierną, to od czasu narzeczeństwa z podwójną szczodrobliwością obdarzała ubogich, zwłaszcza dzieci.

— Byłam sierotą, a Bóg dał mi opiekuna — mówiła — z kolei ja o sierotach pamiętać powinnam.

Nie pozwalała narzeczonemu przynosić cukierków, odmawiała przyjęcia kosztownych bukietów, bo czuła wstręt do oficjalnej galanterji szablonowego konkurenta. Kilka kwiatów, zerwanych na turowskich łąkach, milsze jej były, niż kosztowne egzotyczne rośliny. Za to oboje spędzali czas nad broszurami o ochronach, bo Nina miała zaraz po swoim ślubie otworzyć ochronę w Turowie i przysposabiała się do tych obowiązków sumiennie.

— Lepszą będę ochroniarką niż kucharką, cioteczko — żaliła się przed ciocią Pauliną.

Ale ciocia uspokajała jej skrupuły, mówiąc, że

da sobie radę z domowemi zajęciami, bo jest dobra i rozsądna, a z temi przymiotami kobieta dużo dokonać może.

Przedewszystkiem, aby być dobrą kucharką, trzeba dbać o porządek w kuchni mówiła ciocia, dla tego masz oto ode mnie sześć tuzinów ścierek w różnych gatunkach: do podłogi, do talerzy, do kurzu i ręczniki do mycia rąk dla kucharza i dla lokaja. Bez takiego zapasu żadna kuchnia, ani kredens czystemi nie będą. Trzeba tylko naznaczyć porządnie ścierki—dodała ciocia, a Janina ucałowała ręce cioteczki i ku mojemu wielkiemu zdumieniu zabrała się sama do znaczenia pierwszego wyprawnego podarunku.

— Pragnę bardzo, aby los nie zgotował Ninie zbyt ciężkich prób — mówiła raz ciocia do mnie, podczas gdy narzeczeni siedzieli przy fortepianie— szkodaby mi było jej swobody, wesołości i uroku. Drobne a nieuniknione przeciwności Nina znieść potrafi, jestem tego pewna, bo dobra jej natura, która cechowała ją zawsze, umocniła się jeszcze przez pobyt z nami.

— Przez twój przykład ciociu! Któżby przy tobie nie stał się lepszym? — przerwałam.

— I przez twoją przyjaźń, Kociu — dodała ciocia, głaszcząc mnie po głowie. — Nina bardzo dużo tobie zawdzięcza, sama to przyznaje. Mam nadzieję, że nam obu wstydu nie zrobi i nie zawiedzie zaufania, jakie w niej położył ten szlachetny człowiek. Pana Gustawa uważam za ta-

kiego, a jego wysokie wykształcenie i odczucie obowiązków społecznych jest mi rękojmią, że Nina przy nim nie zmaleje, owszem rozkwitnie na dzielną kobietę.

Tymczasem przyszła «dzielna kobieta» pracowała istotnie porządnie i znajdowała czas na wszystko, ona, dawniej taka leniwa. Nie przerwała lekcji, jakie brała ze mną i z kochaną Mimi, pomagała cioci w zarządzie schronieniem, robiła wyprawę i rozpisywała listy z zawiadomieniem o swych zaręczynach. A przypominała sobie wszystkich, którzy kiedykolwiek okazali jej życzliwość, nie pominęła nikogo, nawet starych sług ojca, zbierając błogosławieństwa znajomych i polecając ich sercu pana Halickiego, bo pragnęła zaskarbić dla narzeczonego przyjaźń drogich sobie osób.

Biedna Nina nie mogła jednak dzielić się swem szczęściem z ukochanym ojcem. Obiecał on przybyć na ślub córki, ale był tak zapracowany, że wątpiliśmy, czy będzie mógł oderwać się od zajęć w fabryce.

Narzeczony przyrzekł Ninie, że zaraz po ślubie pojadą do ojca na Wołyń i spędzą z nim kilka tygodni.

A zanosiło się i dla mnie na miłą podróż. Ciocia Paulina była przez całą zimę bardzo osłabiona, dlatego nawet nie brałyśmy wcale udziału w karnawałowych zabawach. Doktorzy, wezwani na naradę, uznali wyjazd do Krynicy za konieczny.

— Pojedziesz ze mną — powiedziała raz kocha-

na ciocia — do kursu dobrego wychowania należy także wykład o właściwem zachowaniu się w podróży i u wód. Widzisz więc, że koniecznie muszę zabrać cię z sobą, jeśli naturalnie ty sama nie masz nic przeciwko temu projektowi.

Skoczyłam cioci na szyję z radości, bo nie spodziewałam się wcale takiego szczęścia, tem więcej, że po drodze mieliśmy się zatrzymać w Krakowie.

— Czy tylko kochani rodzice pozwolą?—myślałam, a właśnie upływał rok od czasu, jak opuściłam Lipowce. Ale podróż, podróż! toż to radość! A zwłaszcza, że zobaczę Kraków, Częstochowę i góry, nasze góry!

Tymczasem jednak trzeba było myśleć o przygotowaniach do wesela, o wykończeniu wyprawy, zwłaszcza zaś pomagać panu Halickiemu w urządzeniu domu, gdyż on nie znał się na tem wcale, a będąc sierotą i jedynakiem, nie miał u kogo zasięgnąć rady.

— Meblować dom dla młodej pary! Ależ nikt nie zrobiłby tego lepiej niż mama! Ona tak lubi załatwiać sprawunki, a ma przytem gust bardzo wykwintny — powiedziała raz Janina.

Ciocia Paulina spojrzała na Ninę i zapytała ją, czy życzy sobie, aby pan Halicki powierzył macosze urządzenie domu w Turowie.

Ale biedna Janina spuściła smutnie głowę i łzy błysnęły w jej oczach.

— Nie, ciociu — odpowiedziała po chwili wahania — lepiej zostawmy ją w spokoju. Wła-

śnie przez wzgląd na pana Gustawa nie zrobiłabym tego w żadnym razie.

Biedna Nina! jakże serdecznie żal mi jej było, żal i za list, który odebrała od przybranej matki w odpowiedzi na wiadomość o zaręczynach.

Czytałam ten list, podziwiając jego czczość i lekkomyślność. Macocha winszowała córce tak zwanej «świetnej partji», nie pytając wcale o to, jakim był człowiek, któremu Nina oddawała serce! Donosiła, że na ślubie być nie może, gdyż dla zdrowia musi wyjechać za granicę.

Ucieszyłam się szczerze tą wiadomością, bo wiedziałam, jak boleśnie byłoby cioci Paulinie być zmuszoną przyjmować w swoim domu bratową męża, której ani kochać, ani cenić nie mogła.

Ale wracam do kłopotów wyprawy i urządzania domu w Turowie.

Mało teraz przebywałam z ciocią, bo zajęcia nasze były zupełnie różne. Ja odbywałam, jak zawsze, lekcje z Mimi, a Janina towarzyszyła cioci w wycieczkach na miasto, skąd przynoszono wciąż mnóstwo paczek i pudełek, których zawartość Marysia układała starannie w kufrach panienki. Ninę cieszyło niezmiernie wszystko, cokolwiek miało służyć do przyszłego jej domu. I nie dziw, nie posiadała go dotąd nigdy, nawet u ojca, bo czyż można nazwać domem i życiem rodzinnem włóczęgę nieustanną z miejsca na miejsce?

Czasem jednak towarzyszyłam i ja moim paniom, kiedy szły po sprawunki, a miałam wtedy

sposobność usłyszenia wielu uwag praktycznych.

Przedewszystkiem więc żądała ciocia, aby Janina, wychodząc z domu, obmyśliła dokładnie, co ma kupować i ile na sprawunek przeznacza pieniędzy, ile potrzebuje łokci, jaki mniej więcej przynajmniej ma być kolor i gatunek poszukiwanego materjału.

— Oszczędzisz sobie tem bardzo wiele czasu, przytem nigdy kobieta nie okazuje tak swego charakteru, jak przy robieniu sprawunków. Ileż razy można widzieć w sklepie takie nawskroś próżne, gałgankom oddane dusze! Przypatrzcie się, z jaką lubością będą spędzały godziny całe na przerzucaniu towaru bez poszanowania dla sprzedającego kupca, któremu marnują czas, bez względu na to, że może być znudzonym i wyczerpanym, lub nie mieć czasu dla niej jednej. O, gdyby te panie wiedziały, jak bardzo «nie wypada» tak robić!

Już to narzeczeństwo Janiny dawało często kochanej cioci sposobność do wykładów na temat «nie wypada». Janina, jak już mówiłam, odmawiała przyjmowania kosztownych kwiatów i łakoci od narzeczonego, ale zbyt lubiła teatr, a zwłaszcza muzykę, aby mogła łajać pana Gustawa za przyniesione bilety na koncert lub na operę. Dobra ciocia, choć często bardzo zmęczona, szła jednak zawsze chętnie z młodą parą, a młoda para i mnie za nic w domu zostawić nie chciała.

Miałam więc sposobność słyszenia pięknej muzyki i zachwycania się grą doskonałych naszych

artystów. Ale i od cioci odbierałam niejednokrotnie przestrogi, zawsze na temat «nie wypada».

«Nie wypada» więc spóźniać się na przedstawienie, bo wchodzenie do sali w czasie widowiska przeszkadza obecnej publiczności i aktorom. Przecież wybranie się pięć minut wcześniej z domu nie jest rzeczą trudną, a spóźnienie się o te pięć minut jakże jest nieprzyjemnem dla osób, które zajęły już miejsca. Dobre wychowanie uczy nas zawsze pamiętać o wygodzie i przyjemności drugich, czemuż więc własnowolnie zakłócać tę przyjemność, przeciskaniem się natrętnem i odrywaniem uwagi obecnych od przedstawienia które jest już w biegu. «Nie wypada» rozmawiać lub w jakikolwiek sposób zakłócać spokoju sąsiadom, gdyż jest to dowodem bardzo złego wychowania. «Nie wypada» tłoczyć się przy wejściu lub wychodzeniu z widowiska, zawsze bowiem należy mieć na względzie dobro i wygodę nietylko swoją, ale i współwidzów. Często tłum, który udawał wykwint w teatrze, przedzierzga się potem w stado owiec, wypuszczonych z owczarni. Też same przestrogi dadzą się zastosować i do zachowania się niektórych osób, pozornie nawet pobożnych, w kościele. I tam spotykamy gorszącą bezwzględność, zamiast uwagi na przykrość zrobioną innym.

Miałam nieraz sposobność przekonać się, do jakiego stopnia przestrogi cioci były słuszne. To samo twierdził i pan Gustaw, który chodząc z nami po mieście, porównywał często zachowanie

się publiczności warszawskiej z tłumem Wiedeńczyków lub Paryżan. Otóż to porównanie wypadało, podobno niestety, bardzo na naszą niekorzyść.

— Za granicą — mówił pan Halicki — doznaje się wszędzie uprzejmości, grzeczne objaśnienie da zarówno ulicznik, jak i wykwintny przechodzień. Widywałem niewidomych, chodzących śmiało po Paryżu, bo zawsze przy przejściu ulicy znalazł się ktoś gotowy przeprowadzić biedaka i sam ofiarowywał mu swą pomoc, kiedy u nas widok zakłopotanego lub potrzebującego rady człowieka budzi więcej ciekawości niż współczucia.

Zaczerwieniłam się, słuchając słów pana Halickiego, bo stanęła mi w pamięci przygoda moja, kiedy zabłądziwszy wśród ciemnego wieczoru i straciwszy głowę ze strachu, uczepiłam się jego ręki, a on poczciwy doprowadził mnie do cioci. Byłabym mu chętnie podziękowała za daną wówczas pomoc, ale właśnie żegnał nas, bo dochodziliśmy już do domu cioci, przed którym czekały konie z Turowa. Pan Gustaw wracał na wieś, ciocia poszła do swego pokoju, Janina, jak zwykle wieczorem, zaczęła robić rachunki z wydanych na wyprawę pieniędzy, gdyż zapisywała skrupulatnie każdy sprawunek, a ja siadłam do listu, żeby rodzicom i Władzi zdać sprawę z przeżytych dni kilku.

A były one tak urozmaicone, że o każdym mogłam napisać wiele ciekawych szczegółów. Oddając mnie cioci, nie sądzili drodzy rodzice, abym

prócz lekcji i spaceru, mogła mieć inną przyjemność, jak poniedziałki, na których bywali zwykle starzy znajomi, często tacy, co pamiętali jeszcze dziadunia.

Stało się jednak zupełnie inaczej; przyjazd Janiny urozmaicił jednostajność naszego życia, brałam od niej lekcje śpiewu i muzyki, a teatr i koncerty przyczyniały się także do uprzyjemnienia mi pobytu w Warszawie, do rozwinięcia mego umysłu i urobienia smaku artystycznego.

Widziałam jednak w listach kochanej mateczki obawę, czy rozrywki i życie, bądź co bądź bardzo miłe, jakie pędziłam u cioci Pauliny, nie zbałamucą podlotka? Czy panna Kocia będzie się potem czuła szczęśliwą w skromnym lipowieckim dworku? Czy potrafi zastosować swe przyzwyczajenia warszawskie do możności rodziców, ciężko pracujących na wychowanie sześciorga dzieci?

— O moja najdroższa mateczko! — myślałam, odgadując niepokój rodziców — o! moja mateczko, gdybyś wiedziała, jak mi już pilno do was, do ciasnego dworku w Lipowcach, do hałasu braci, do wszystkich niewygód i braków! Jak pilno! Uśmiecha mi się podróż z ciocią, bo, przyznaję szczerze, marzyłam zawsze o Krakowie i o górach, a może nigdy nie zdarzyć się druga, równie dobra sposobność zobaczenia tych miejsc, sercu drogich i tylu rzeczy ciekawych, a jednak, jednak mateczko, ileż razy walczę z pokusą zaniechania tej jazdy, byle co prędzej przypaść do waszych kolan, dro-

dzy rodzice, i tulić się u nich za ten cały rok tęsknoty! Doprawdy, to okropne nie widzieć tak długo ukochanych! Więc niewolno wam wątpić o mojem przywiązaniu — mówiłam sobie w ów wieczór, wróciwszy z teatru, i zapatrzona w księżyc, który świeci także nad Lipowcami, płakałam cicho, zamiast pisać list.

XVI.

NIESZCZĘŚCIE.

Wszystko było gotowe do blizkiego wesela Janiny. Niestety, jedna chwila zmieniła naszą radość i spokój, a chociaż nie zniszczyła na zawsze jej szczęścia, popsuła nam plany i stało się zupełnie inaczej, niż przewidywaliśmy.

Pan Halicki, doskonały jeździec, miał własne stado pięknych koni. Ninę, odważną z natury, cieszyła dzielność narzeczonego, który wyglądał bardzo dobrze na siodle. Podniecony pochwałami, odbieranemi z drogich ust, stawał się coraz śmielszym. Aż raz, a było to tak nagle, tak niespodziewanie, odebrałyśmy od rządcy z Turowa wiadomość, że pan Gustaw, przestraszony wypadkiem biednego cieśli, który na turowskim folwarku stawiał stodołę i spadł z dachu na ziemię, dosiadł śpiesznie bez siodła konia wcale nieujeżdżonego i pośpieszył na miejsce wypadku. W drodze jednak koń zląkł się wiatraka, zrzucił niespodzianie

jeźdźca tak, że ten padł na kamień; żyje wprawdzie, ale ma ranę w głowie i nogę złamaną, cieśla zaś spadł na glinę, wykopaną przed stodołą, więc nie grozi mu niebezpieczeństwo.

— Wiktorjo, biegnij po dorożkę, prędko, natychmiast! — wołała ciotka Paulina.

Nina stała jak skamieniała, podczas gdy ja, nie mogąc zapanować nad wzruszeniem, płakałam. Przyjechałyśmy z ciocią do Turowa w chwili, kiedy doktorzy wychodzili już z pokoju chorego po opatrunku. Skaleczenie głowy nie groziło niebezpieczeństwem, ale stan nogi wymagał wielkiej pieczołowitości. Pan Halicki, wyczerpany bólem przy nastawianiu złamanych kości, leżał prawie nieprzytomny. Doktorzy zalecili mu jaknajwiększy spokój i nie pozwolili nawet Janinie wejść do sypialni rannego. Ona wysłuchała spokojnie słów doktora, ale patrzala na wszystko, co ją otaczało, szeroko otwartemi, martwemi oczami.

Ciocia postanowiła nie wyjeżdżać z Turowa, dopóki stan chorego się nie zmieni. Mieliśmy nadzieję, że może sen uspokoi cierpienia pana Halickiego. Tak się też stało; zasnął, a wtedy doktór, czuwający przy jego łóżku, pozwolił Janinie zbliżyć się do rannego. Była dotąd odważną i spokojną, ale widok narzeczonego, który leżał więcej do umarłego, niż do żywego podobny, wstrząsnął biedną dziewczyną. Ciocia schwyciła ją w objęcia i wprowadziła do przyległego gabinetu, a tam Nina nareszcie rozpłakała się. Nikt nie śmiał uspokajać żalu biedacz-

ki, zresztą łzy mogły tylko przynieść jej ulgę. Kiedy nareszcie zapanowała nad boleścią, wydała mi się jakby inną, o kilka lat starszą, niż wczoraj.

— Ciociu — powiedziała, a było coś rozdzierającego w jej głosie — teraz dopiero poznałam, czem on jest dla mnie; nie odejdę go, bo któż wie, jak długo będzie mi wolno cieszyć się nim? Ale póki żyć będzie, ja jedna mam prawo do tej drogiej osoby i praw tych nikomu nie odstąpię.

Ciocia na znak przyzwolenia przytuliła Janinę do serca.

— Zostanę tu z tobą, dziecko — powiedziała łagodnie — Kostunia zastąpi mnie w domu.

I na tem stanęło. Ciocia dała mi spis rzeczy, jakie dla niej i dla Janiny miałam dziś jeszcze przysłać z Warszawy. Pochlebiało mi zaufanie cioci, gdyż było dowodem, że zaczyna traktować podlotka jak dojrzałą kobietę; wysłuchałam uważnie poleceń, dotyczących gospodarstwa, i pożegnawszy biedną, drogą Ninę, wróciłam do domu, pragnąc tego samego jeszcze dnia obszernym listem donieść rodzicom o zaszłych u nas wypadkach.

Ale zaledwie zaczęłam pisać, gdy przyszła pani Mirska z Marynią; uwiadomione o nieszczęściu pana Gustawa, pośpieszyły obie ofiarować nam swą pomoc. Pani Mirska zawiozła sama do Turowa rzeczy potrzebne moim paniom i wyprosiła u cioci pozwolenie, abym przeniosła się do jej domu.

Sypiałam też odtąd w pokoju Mimi, co sprawia-

ło mi rozkosz prawdziwą, gdyż w tkliwem jej sercu znajdowałam zrozumienie moich smutków. Przed zaśnięciem rozmawiałyśmy zawsze długo i szczerze, a tyle, tyle było do mówienia...

— Dobranoc Mimi! — wołałam, chcąc usnąć natychmiast, ale gdzietam! właśnie kiedy zamykałam oczy, przypominało mi się coś ważnego, i rozkoszna gawęda, rozpoczęta na nowo, trwała czasem bardzo długo. Ranek jednak zastawał nas już na nogach i przy lekcji, a potem według wskazówek pani Mirskiej szyłam sukienki dla moich kochanych siostrzyczek, bo zbliżały się ich imieniny i chciałam z zaoszczędzonych pieniędzy zrobić niespodziankę Władzi i Maniusi. Przez całą zimę wiernie składałam grosze, które dostawałam od cioci na drobne wydatki, i które mi tatko przysyłał na ubranie; oszczędzałam, jak mogłam, a teraz za to kupiłam muślinu i z niego przygotowywałam stroje dla moich ukochanych. W paczce wraz z sukienkami miały pojechać do Lipowiec różne inne drobiazgi, a zwłaszcza cukierki; obdarzali mnie niemi starzy znajomi cioci, a ja cały zapas słodyczy odkładałam dla mego rodzeństwa. Wiedziałam, jak się tam ucieszą ładnemi pudełkami i czekoladkami; nie były one co prawda zbyt świeże, bo niektóre od kilku miesięcy spoczywały na dnie mego kufra, ale dzieciaki nasze nie są wybredne, a Władzia będzie miała tak sute imieniny, jak nigdy jeszcze.

Myśl o radości ukochanych w Lipowcach pocie-

szała mnie w smutku, jakiego doznawałam z powodu Janiny. Stan chorego pana Halickiego był z początku dość niebezpieczny, gorączka niepokoiła lekarzy, a dotkliwe bóle głowy i złamanej nogi odbierały mu siły. Widok Niny poruszył pana Gustawa, dziękował wzrokiem księżniczce, dziękował urywanemi i cichym szeptem wymawianemi słowami. Często wyciągał do narzeczonej dłonie i trzymał jej rękę w swoich, spalonych gorączką rękach; potem uśmiechał się do niej z taką błogością i niemem uwielbieniem, że Nina ani na chwilę opuścić go nie chciała.

Cierpienia, połączone ze szczerem uczuciem, zmieniły światową pannę w zręczną dozorczynię chorego. Spokojnie a wytrwale spełniała Nina dobrowolnie przyjęte na siebie obowiązki, była niemal zazdrosną o usługi, oddawane narzeczonemu: nikt tak lekko i umiejętnie nie nałożył bandaża na głowę, nikt gorliwiej nie pilnował godziny, aby w oznaczonym czasie podać lekarstwo choremu.

Rana na głowie goiła się szczęśliwie, a w kilka dni i gorączka spadać zaczęła. Doktor pozwolił nareszcie na rozmowę pomiędzy narzeczonemi, gdyż z początku nakazane było obojgu zupełne milczenie. Odtąd polepszenie szybkim postępowało krokiem; ciocia przysłała też zaraz powóz z Turowa i obie z Mimi pojechałyśmy odwiedzić naszych ukochanych, bo przez pierwszy tydzień choroby tylko listowne o nich miałyśmy wiadomości.

Jadąc, myślałam, czy potrafię okazać Janinie

swoje współczucie. Łatwo jest być szczęśliwą ze szczęśliwemi, ale o ileż oględniej potrzeba postępować z temi, których dotknęło zmartwienie, żeby zamiast ulgi nie sprawić im większego cierpienia! Dusza zbolała z niesłychaną wrażliwością rozpoznaje każdą niedelikatność i rozdźwięk w słowach do niej zwróconych. Lepszy niemy uścisk ręki, niż banalne pociechy — mówiłyśmy sobie z Marynią, zajeżdżając przed dwór w Turowie.

Zastałam Ninę bardzo zmienioną; ale z każdą chwilą stawała się weselszą, odżywała nadzieją wyzdrowienia narzeczonego. Mogła już teraz czytywać głośno panu Gustawowi, często także nuciła ulubione jego piosenki, lub grała na fortepianie, za co też wdzięczny chory z uczuciem całował jej rękę i co dziwna, nieraz dowcipnie żartował z siebie, mówiąc, że dobrze czasem zachorować, bo wtedy ma się szczęście być pielęgnowanym przez zacne i kochane istoty.

W kilka dni potem byłyśmy znów w Turowie, bo chory pragnął rozrywki dla narzeczonej, a sam czuł się dobrze. Zmieniono też jego pokój w salon rekonwalescenta i przy łóżku pana Halickiego zgromadzaliśmy się często w tym samym komplecie, co kiedyś w gabinecie cioci Pauliny.

Tylko Nina była dziś zupełnie inną, niż dawniej. Cierpliwie i z dobrym humorem spełniała życzenia pana Gustawa, często nawet stawała się znów rozkosznem i dowcipnem stworzeniem, a chociaż miewała w oczach wyraz głębokiego smutku, to

jednak ukrywała go doskonale przed badawczym wzrokiem narzeczonego. Nie skarżyła się nigdy na zmęczenie, nie zdradzała niepokoju nawet przed ciocią, ale czasem patrzała w niebo z takim wyrazem, jakgdyby stamtąd tylko oczekiwała ratunku. O ten ratunek modliliśmy się też wszyscy dla chorego, bo stan jego nogi budził poważne obawy; złamanie należało do bardzo niebezpiecznych i lekarze wątpili, czy kuracja odniesie pożądany skutek.

— Za tyle starań, za tyle poświęcenia nie będę ci mógł, pani, niczem się wywdzięczyć, ani twojej dobroci wynagrodzić. Kaleka nie ma prawa wiązać ze swem życiem istnienia takiej, jak ty, istoty— mówił pan Gustaw po ostatniem konsyljum.

Lekarze nie odebrali wprawdzie nadziei choremu, ależ też i nie pocieszyli go stanowczą obietnicą wyzdrowienia.

— Czy obawiasz się, aby nie odjęto ci nogi? — zapytala łagodnie Janina.

— Nie, tego nie przewiduję, skoro stan zapalny przeszedł, ale może noga po zrośnięciu pozostanie sztywną.

Nina uśmiechnęła się łagodnie.

— Od czegóż są sławni warszawscy doktorzy, żeby nie umieli poradzić naszej biedzie? Da Bóg będziemy jeszcze razem konno jeździli; zresztą mnie do szczęścia potrzeba tylko wiedzieć, że ty jesteś szczęśliwy.

To mówiąc, Janina spojrzała na narzeczonego

tak swobodnie, jakby istotnie była ze swego losu zupełnie zadowoloną.

Ale mijały tygodnie, a w stanie zdrowia naszego chorego nie widzieliśmy zmiany na lepsze.

Nadchodził czas zdjęcia opatrunku. Utrzymywał on dotąd nogę sztywno i czynił ją nieruchomą, teraz więc dopiero miał być wiadomym rezultat kuracji. Pan Halicki rozmawiał długo sam na sam z ciocią, i widziałam, że oboje byli bardzo poruszeni przedmiotem narady, którą odbyli na kilka dni przed decydującem rozbandażowaniem nogi.

Tylko Nina zachowała zupełny spokój wobec zbliżającej się stanowczej chwili.

Naznaczono zdjęcie bandaża na niedzielę. W sobotę rano Nina pojechała z ciocią do Warszawy, żeby zrobić kilka nieodzownych sprawunków, żądał tego zresztą pan Gustaw.

Właśnie uwiadomiona przez Wiktorję, przybiegłam od pani Mirskiej i przyjmowałam swych gości zastawionem naprędce śniadaniem, kiedy konny posłaniec z Turowa wręczył mi dwa listy.

Oddałam Janinie zaadresowaną do niej kopertę, a sama poszłam za ciocią, żeby dowiedzieć się z jej listu o tem, co zaszło w Turowie. Niestety, zawierał wiadomości bardzo smutne. Pan Halicki, który z umysłu wyprawił Janinę do Warszawy, kazał sobie zdjąć bandaż zaraz po jej wyjeździe, bo chciał oszczędzić wrażeń narzeczonej. Noga została sztywną.

Spojrzałam badawczo na Ninę. Czytała swój list,

a była bardzo blada i miała łzy w oczach, któremi patrzała bezmyślnie przed siebie.

— Biedne, biedne dziecko! — zawołała ciocia, tuląc ją do piersi. — Byłaś tak blizką szczęścia i właśnie w tej chwili podobało się Bogu zesłać ciężką próbę na twoje młode serce. Czy Gustaw miał odwagę donieść ci prawdę?

Uśmiechnęła się boleśnie.

— Wiedziałam oddawna, ciociu, że taki będzie rezultat kuracji, bo ukryta w bibljotece, słyszałam zaraz po pierwszym opatrunku, rozmowę lekarzy.

— W najszczęśliwszym razie, mówili, jeśli nawet potrafimy uratować chorego od amputacji, to grozi mu zawsze kalectwo, bo kolano zostanie sztywnem.

— Wiedziałaś o tem od pierwszej chwili i byłaś jednak najspokojniejszą i najweselszą z nas wszystkich! — zawołała ciocia. — A wiesz ty, co to znaczy sztywna noga?

— Wiem cioteczko, sztywna noga to kalectwo, to życie złamane dla człowieka tak energicznego i dzielnego, jak mój Gustaw; wiem jednak i to także, że kaleka podwójnie potrzebuje żony.

— Ale Gustaw wraca ci dobrowolnie słowo, i nie jesteś w tej chwili niczem z nim związana. Właśnie to pisze w liście do mnie: «Dałaś zobowiązanie zdrowemu człowiekowi, masz i ty prawo do szczęścia». Namyśl się więc dobrze, Nino, zanim się wyrzekniesz swobody dla uczucia, które z czasem może ci zaciężyć. Bo nie wiesz, dziecko, ile ofiar znieść

będziesz musiała, ilu przyjemności się wyrzec, chcąc godnie wypełnić obowiązki żony kaleki.

— Dziękuję ci, cioteczko, za twoje słowa — przerwała Nina z taką słodyczą, jakiej nie znałam u niej dotąd nigdy — dziękuję z całego serca. Obowiązkiem twoim było powiedzieć to, co powiedziałaś, jak obowiązkiem Gustawa było zwrócić mi pierścionek, chociaż sądziłam, że zna mnie lepiej. Zrobiliście, co do was należało, teraz pozwólcie, niech ja powiem swoje. Czy w głębi duszy nie gardziłabyś mną, ciociu, gdybym odstąpiła człowieka, którego kocham, dlatego, że spotkało go nieszczęście? Znacie mnie obie z Kostunią, jako kapryśne i samowolne stworzenie, które stawia własne ja przed wszystkiem, nawet ze szkodą praw innych ludzi. Byłam taką, prawda, ale przykład wasz nie został daremnym. Zawdzięczam wam więcej, niż to wypowiedzieć potrafię, i dziękuję Bogu, że mi dał poznać takie serca, jak wasze. A jeśli, mimo usiłowań waszych, pokutowały jeszcze we mnie złe nawyknienia, to dni bólu i śmiertelnej trwogi, przeżyte przy łóżku ukochanego, zmieniły do reszty kapryśną Ninę. Z Bożą pomocą potrafi ona spełnić obowiązki, jakie bierze na siebie. Czy ufasz mi, cioteczko?

Nie wiem, co odpowiedziała ciocia, bo ja, zasłoniwszy twarz chustką, płakałam.

Nina, dobra kochana Nina objęła mnie w pół.

— Czego płaczesz, szkaradna dziewczyno? — zawołała wesoło — powiedz lepiej, czyż wychowanka

nie przynosi ci zaszczytu? Albo potrafiłabyś piękniejsze prawić morały, niż te, które mówiłam przed chwilą? Mówić uroczyście mogłam się nauczyć tylko od ciebie, rozsądna panno — prawda cioteczko?

Była znów dawną wesołą Niną, a przytem tak serdeczną i słodką, że chwila ta została mi na całe życie pamiętną, jak też na całe życie pokochałam uczuciem siostry dzielną i uroczą księżniczkę.

Ale nie tu był koniec zdarzeniom tego pamiętnego dnia; po południu ciocia odebrała od mego tatki list datowany z Radomia.

— Tatko w Radomiu! — zawołałam zdziwiona.

Tak, był tam istotnie, tam bowiem mieszkała najstarsza córka mego dziadzi, ciocia Józefa, której nie znałam wcale. Zachorowała ciężko i ojciec, wezwany telegramem, uwiadomił nas o swej podróży, donosząc, że za tydzień musi wracać do domu, prosi więc, aby przy łóżku siostry zastąpiła go ciotka Paulina; mnie zaś oczekują rodzice w Lipowcach.

Nawet ciotka, tak zawsze spokojna i panująca nad wrażeniami, straciła zwykłą równowagę umysłu po odebraniu tylu niespodziewanych wieści. Pragnęła jaknajprędzej jechać do siostry, a jakże mogła zostawić Ninę samą w Warszawie, jak pozbawić pana Gustawa odwiedzin narzeczonej?

Narzeczona stała tymczasem w oknie i bębniła w szyby z wojowniczym rozmachem.

— Cioteczko! — zawołała nagle — wychodzę w bar-

dzo ważnej sprawie, nie kłopocz się o mnie, mam nadzieję, że za powrotem ułożymy bez trudności dalsze projekty.

Porwała za kapelusz, narzuciła okrywkę i zniknęła za drzwiami.

Spojrzałyśmy na siebie, oczekując wytłómaczenia dziwnego postępowania Niny.

Lecz trzeba było uzbroić się w cierpliwość.

Jakoż w godzinę potem Nina wróciła blada, może ze zmęczenia, i poszła zaraz do gabinetu cioci, nie przemówiwszy do mnie ani słowa.

Słyszałam przez drzwi żywą rozmowę, ale nie śmiałam przerwać narady. Wyszła nareszcie Nina widocznie poruszona, oczy jej błyszczały niezwykłem ożywieniem. Za nią postępowała ciocia, poważna i zamyślona.

— Czy chcesz, Kostuniu, być jutro moją druchną? — zapytała Janina, biorąc mnie za rękę.

— Jutro? — zawołałam zdziwiona — żartujesz ze mnie Nino?

— Wcale nie. Jutro jest mój ślub z Gustawem, brakuje nam tylko świadków, wszystkie inne formalności już załatwiłam i telegrafowałam do ojca o błogosławieństwo. Wiem, że mi go nie odmówi, a proboszcz tutejszy przez przyjaźń dla cioci obiecał uzyskać indult od biskupa. Zrobi to dziś jeszcze, bo mam swoje papiery w porządku; proboszcz parafji Gustawa trudności także stawiać nie będzie. Jutro jest niedziela, ogłoszą więc z ambony naszą pierwszą a zarazem ostatnią zapowiedź. Ciocia na-

mówi tymczasem pana Gustawa na spowiedź. Widzisz więc, kocie, że nic nie stoi na przeszkodzie moim zamiarom i że jutro o tej porze będę już panią Gustawową Halicką.

— Jutro twój ślub! — zawołałam — i dlaczegóż tak go przyśpieszać, dlaczego chcesz tak prędko być tą panią Halicką?

— Bo wtedy będę miała prawo zostać przy chorym, a nie odstąpiłabym go teraz za żadne skarby świata. Ciocia dała mi już swoje błogosławieństwo, tatko nadeśle jutro swoje depeszą, a mam nadzieję, że za parę dni przyjedzie sam do Turowa. Dla cioci to także dogodne rozwiązanie trudności, gdyż będzie mogła pojechać do siostry do Radomia. Wszystko więc ułożone, brakuje mi tylko druchny i świadków. Pan Edward będzie jednym, on ze swej strony poprosi o tę przysługę doktora Sulskiego, ty zaś, kocie, powiedz Maryni, że musi wraz z tobą stawić się jutro w Turowie.

— A co pan Halicki powie na tak niespodziewany obrót rzeczy? — pytałam, nie mogąc przyjść do siebie ze zdumienia.

— Pan Halicki chce się pozbyć narzeczonej i odsyła mi pierścionek, muszę więc narzucić mu swą osobę — roześmiała się Janina i wybiegła z pokoju.

Nie, tylko ta kapryśna księżniczka mogła powziąć postanowienie, bądź co bądź tak nagłe, samowolne i energiczne. Dobra, szlachetna, urocza, ale pewna siebie, jak nikt. O! tej pewności nieraz jej zazdrościłam!

Wiedziałam, że nie zdadzą się na nic wszelkie

perswazje robione Ninie, poszłam więc do cioci, żeby usłyszeć jej zdanie w tej sprawie.

Było ono, ku wielkiemu memu ździwieniu, zupełnie zgodne z wolą siostrzenicy. Zapadło więc postanowienie, które tymczasem dawało nam wszystkim trzem nietylko wiele do myślenia, ale i do roboty. Ciocia rozpisała listy z zawiadomieniem o jutrzejszym ślubie i zaraz potem pojechała po naszego kochanego proboszcza, aby z nim razem udać się do Turowa, gdzie przy pomocy miejscowego księdza miało być wszystko przygotowane do weselnej uroczystości.

Postanowiono zachować zupełny sekret przed panem Halickim, gdyż, jak utrzymywała ciocia, nie byłby się nigdy zgodził na ślub wobec groźnego stanu swojej nogi.

— Zobaczy narzeczoną dopiero w welonie — mówiła ciocia, siadając do powozu. — Potrafię mu wytłómaczyć nieobecność Niny, tem, że obie macie dużo biegania, aby wydążyć na jutro z weselnym strojem dla panny młodej i dla druchen. A pamiętaj, Kociu, zabrać dukat z wizerunkiem Matki Boskiej, włożysz go Janinie do wianka, ślubnego razem z chlebem i cukrem. Stary to polski zwyczaj, a nie trzeba zaniedbywać narodowych tradycji. Wezmę z sobą Edwarda i wspólnie z nim urządzę ołtarz; przygotuję także obiad, sądzę bowiem, że wzruszenie nie odbierze wam apetytu.

Pożegnałam kochaną cioteczkę i wesoła — bo dlaczegóż miałam się smucić, gdy wszyscy koło

mnie byli radzi z postanowienia Niny — pobiegłam do mojej kochanej Mimi, aby z nią razem kupić obrączki dla panny młodej, bo jutro, jako starsza druchna, miałam je podawać przy ołtarzu.

Strój weselny Janiny był już oddawna gotowy; my zaś z Mimi włożymy te same suknie, które ciocia Paulina sprawiła nam w jesieni na ów pamiętny proszony obiad, na którym podlotek upił się szampanem.

XVII.

ŚLUB.

— Dziwny ze mnie człowiek — mówił nazajutrz pan Gustaw do cioci Pauliny — postanowiłem unikać wszelkiego zbliżenia z panną Janiną, a jednak gdy widzę drogą panią, zdaje mi się, że i ona przyjdzie tu zasiąść na fotelu, na którym spędziła tyle godzin, pielęgnując mnie w chorobie.

— Przyjdzie, przyjdzie i to dziś jeszcze, chociaż ją odtrącasz od siebie. Są zapewne w tej chwili obie z Kostunią w kościele i Janina modli się za ciebie, jak prosiła przeze mnie, abyś pan na jej intencję odprawił dziś spowiedź. Spełniłeś jej życzenie, mam też mocną wiarę, że Bóg da waszym sercom dobre natchnienie i że dzień dzisiejszy uwieńczy wszystkie twoje nadzieje.

— Czyżby to było możliwe, droga pani? — przerwał pan Gustaw. — Czy ja mogę się spodziewać takiego szczęścia? To już nie dla mnie!

— Ależ to jest pewne, nietylko możliwe; Janina

potrafi przełamać skrupuły narzeczonego, a narzeczony mógłby też mieć troszkę kokieterji i zmienić naprzykład ten brzydki krawat na biały, zupełnie do letniej pory stosowny.

— Czarny właściwszy dla mnie — powiedział pan Gustaw z gorzkim uśmiechem.

— Oho, już zaczynasz pan nową strofkę znanej śpiewki. Tymczasem jednak musisz mnie usłuchać i zrobić się piękniejszym, do czego zapewne Jan będzie ci potrzebny. Przyślę go — mówiła ciocia, zabierając się do wyjścia.

Ale pan Halicki schwycił jej rękę.

— Pani droga! — zawołał — dla przypodobania się pannie Janinie uczyniłbym wszystko, co jest w mojej mocy, ale czyż sądzisz istotnie, że ona mogłaby być ze mną szczęśliwa, czy wolno mi wiązać jej życie z mojem?

— Panie Gustawie — odpowiedziała ciocia poważnie — powtarzam, co ci już raz powiedziałam, krzywdzisz Janinę, wątpiąc o jej uczuciu i nie ufając szlachetnemu sercu dziewczęcia.

— Ależ pomyśl pani: urocza, piękna, utalentowana kobieta miałaby zostać żoną kaleki!

— Cóż bo znów za nieznośnie uparty jesteś w twych przywidzeniach! Kaleka, kaleka! powtarza nieustannie. Sztywna noga nie jest jeszcze kalectwem, a zresztą któż wie, czy pozostanie ona na zawsze taką? Pojedziesz z Janiną do Ciechocinka lub do Solca, słone kąpiele mogą ci wrócić zdrowie. Da Bóg będziesz jeszcze razem z żoną

jeździł konno, tylko jeśli łaska, nie tak po szalonemu, jak to dotąd robił pan dobrodziej.

Pan Halicki, rozczulony i wdzięczny za pomyślne wróżby, ucałował ręce kochanej cioci, ona też, korzystając z jego dobrego usposobienia, poszła zawołać służącego i dała Janowi wskazówki, odnoszące się do tualety jego pana.

Tymczasem przed dom w Turowie zajechał powóz, a wkrótce powtórzył się turkot, oznajmiając nowych gości.

— Kto to być może? Dwa powozy! — mówił pan Gustaw, wiążąc biały krawat. Nikt jednak nie przychodził do pokoju rekonwalescenta, co go mocno dziwiło. Zniecierpliwiony, wysyłał już Jana z zapytaniem, kto mianowicie przyjechał, kiedy niewidzialna ręka otworzyła drzwi na oścież i stanęła w nich Janina, piękniejsza, niż kiedykolwiek, bo strój panny młodej podnosił jej niepospolitą urodę.

— Janina sama przynosi ci odpowiedź na twój list wczorajszy — powiedziała ciocia, przyprowadzając narzeczoną do fotelu pana Halickiego.

Reszta weselnego orszaku, to jest państwo Mirscy z Marynią, ja i drużbowie otoczyliśmy tymczasem młodą parę.

Gustaw na widok Niny zapomniał o chorej nodze i byłby zeskoczył z fotelu, gdyby nie ciocia, która w porę schwyciła jego ramię. Zdawało mu się, że śni, i prawie nieprzytomny, okrywał pocałunkami ręce narzeczonej.

— Czy ty istotnie chcesz być moją, droga, ko-

chana, Janino, czy nie pożałujesz nigdy swego poświęcenia? — mówił, patrząc jej w oczy.

Za całą odpowiedź Janina przyklękła obok fotelu, na którym siedział, i utuliła twarz na piersi ukochanego. W pokoju zapanowała uroczysta cisza. Pan Halicki chwycił głowę drogiego dziewczęcia w swoje ręce, całując jej włosy, i błogosławiąc ją za szczęście, przysięgał głośno stać się godnym otrzymanego skarbu.

Patrzyliśmy na nich wzruszeni. Ja ściskałam z całych sił rękę Mimi, żeby nie wybuchnąć płaczem, nawet ciocia Paulina i pani Mirska obcierały zaczerwienione oczy. Uważałam także, że doktór Sulski raz po raz odwracał głowę, lub przypatrywał się obrazom na ścianie, zapewne żeby ukryć również wzruszenie.

Teraz otworzyły się znów drzwi od przyległego salonu i zobaczyliśmy w głębi ołtarz pięknie przybrany, na którego stopniach stał proboszcz turowski w asystencji szanownego naszego warszawskiego proboszcza. Oczekiwali oni wejścia młodej pary, tymczasem ja wspólnie z Marynią przypinałyśmy mirtowe gałązki panu młodemu i drużbom. Od pana Sulskiego dostałam bardzo piękny bukiet, jako starsza druchna, pan Edward ofiarował swój Janinie w imieniu pana Gustawa, a dobra ciocia, która o wszystkiem pamiętać umie, oddała Maryni kwiaty, zerwane dla niej w turowskiej cieplarni. Kwiatami także osłonięto wiejskich śpiewaków, którzy wyuczeni przez organistę, bardzo ładnie za-

intonowali «Veni Creator Spiritus». Potem miejscowy proboszcz przemówił krótko, ale pięknie, i młoda para złożyła przysięgę, której nigdy nie mogę słyszeć bez wzruszenia. Na zakończenie chór zaśpiewał pieśń «Kto się w opiekę» i.... Nina odeszła od ołtarza, jako żona pana Halickiego.

Tymczasem na ganku, w przedpokoju, a nawet w salonie zebrała się czeladź, pragnąca złożyć życzenia państwu młodym. Przytoczono więc krzesło pana Gustawa ku zgromadzonym licznie wieśniakom, a Nina, oparta o poręcz fotelu męża, w majestacie weselnego stroju witała kobiety, cisnące się do niej z oznakami czci i radości. Radość zapanowała w całem zgromadzeniu, cieszyły się zwłaszcza dzieci, którym młoda pani hojną ręką rozdawała łakocie.

— Wszak wszystkie te dzieci, Gustawie, znajdą pomieszczenie w mojej ochronie? — pytała Janina proszącym tonem, a mąż jej obiecywał jeszcze przed zimą spełnić pierwszą, tak piękną prośbę żony. Zrobiono zaraz projekt nowej ochrony.

— Jest stary budynek, trzeba tylko dać na nim nowy dach. Zbuduje go ten sam cieśla, do którego pędząc, złamałem nogę. Widzisz, stoi we drzwiach zdrów, a ja kulawy, ale szczęśliwy, Janino, ach, jaki szczęśliwy! — powtarzał z uniesieniem.

Chciał też swą radość dzielić ze wszystkiemi. Na rozkaz pana Jan przyniósł z piwnicy zapas wina, miejscowy szynkarz dostarczył piwa, a śpiżarnia dworska chleba, wędlin i serów. Wkrótce sprowadzono

ze wsi grajków i zaczęły się wesołe tańce na dziedzińcu.

Rozpoczęła je Janina ze starym karbowym. Ja i Mimi wzięłyśmy także udział w zabawie, a drużbowie wywijali oberka z wiejskiemi dziewuchami nie mniej ochoczo, niż miejscowi parobcy. Pan Halicki musiał wprawdzie siedzieć spokojnie na swym fotelu, ale on będąc zdrów, nie tańczył nigdy, wiedzieliśmy o tem, więc nie było mu żal, że nie mógł brać udziału w zaimprowizowanych pląsach.

— Będę miał teraz doskonałą wymówkę — mówił pan Gustaw do żony — gdybym nawet stłukł wazon, lub przewrócił stolik, każdy żałować mnie będzie, przypisując kalectwu to, co u mnie jest wrodzoną niezdarnością.

Wesoła zabawa trwała do wieczora. Przy obiedzie wypiliśmy szampanem zdrowie państwa młodych, ale nauczona smutnem doświadczeniem, miałam się na ostrożności i ciotka Dystynkcja była ze wstrzemięźliwości swej wychowanki zupełnie zadowoloną. Nie zasłużyłam na jej przestrogi, ani na żarty Niny, a nie szczędziłaby mi ich pewnie, gdyż była bardzo wesołą.

Czy była i uroczą?... O to spytajcie pana Gustawa.

Opowiem tymczasem dalsze dzieje swego pobytu w Warszawie, bo ciocia zatelegrafowała do ojca, że przyjeżdża do Radomia, mnie zaś odwiezie do rodziców dopiero po powrocie z Krynicy. Zostałam więc pod opieką pani Mirskiej, żeby skończyć kurs nauk z Marynią.

Wyprawiwszy ciocię w tę niedaleką podróż, jeździłam często do Turowa pomagać Ninie przy urządzaniu nowego gospodarstwa. I muszę sobie oddać sprawiedliwość, że byłam młodej pani często pożyteczną, gdyż Janina bardzo niechętnie odchodziła od męża, uprzyjemniając mu. czas czytaniem, lub rozmową. Ja więc za nią rozpakowywałam kufry z wyprawą, które Marysia przywiozła do Turowa, ja układałam rzeczy w szafach; księżniczka zaś, czy wielmożna pani, jak ją teraz nazywała czeladź, przypatrywała się swym skarbom, zaglądając od czasu do czasu, żeby tu coś poprawić, tam przestawić, pochwalić lub zganić.

A wszędzie z sobą zabierała swego pana i męża, tocząc jego fotel z pokoju do pokoju, od szafy do szafy, pobudzając do pochwał, ile razy wyjmowałam z kufra coś nowego. Chwalił więc pan Gustaw piękne desenie na cienkich obrusach, chwalił wykwintne monogramy, zdobiące bieliznę, oglądał porcelanę, pomagał nawet wypakowywać kryształy, chociaż znając jego niezręczność, drżałam w duszy, aby nie stłukł którego. I suknie Janiny podziwiać musiał posłuszny małżonek, a księżniczka zawieszała je, starannie okrywając w szafie prześcieradłem, na co patrzałam zdumiona, nie wierząc własnym oczom, bo dotąd nigdy nie szanowała ubrania.

— Gdy będzie u siebie i na własnym chlebie, to oceni wartość posiadanych rzeczy — powiedziała kiedyś ciocia, i widziałam teraz, że miała słuszność.

Pan Halicki, dzięki zabiegom Niny, znosił cierpliwie swój stan, a doktorzy obiecywali, że kąpiele i kuracja u wód mogą o wiele zmniejszyć sztywność nogi. Nic więc nie brakowało do szczęścia młodej pary i Turów, ta pustelnia, w której nikt prawie nie odwiedzał zadomowionego dziwaka, często miewał teraz gości. Nina przyjmowala ich z zachwycającą uprzejmością; obowiązki pani domu nie ciężyły jej wcale; zdawałoby się, że pełniła je całe życie.

Gospodarstwo prowadziła i nadal zaufana szafarka, bo Nina cały swój czas poświęcała na usługi męża kaleki, ale dyspozycje wydawała sama, ze stanowczością doświadczonej osoby i nieraz wprowadzała mnie w podziw trafnemi rozporządzeniami.

— Gdy wrócimy z kuracji i będziesz zdrów, Gustawie, wtedy dopiero zobaczysz, jak potrafię gospodarować — mówiła nieraz do męża, a Gustaw wierzył święcie słowom Niny, gdyż z góry był przekonany o niezawodnem powodzeniu każdej sprawy, do której żona raczyła łaskawie przyłożyć rękę.

Bardzo przyjemną niespodziankę sprawił młodej parze swym przyjazdem ojciec Niny. Był to piękny, dystyngowany i wszystkiemi przymiotami wykwintnego światowca obdarzony mężczyzna. Stanowił więc zupełny kontrast z zięciem; ale niepospolite wykształcenie obydwóch i wspólna ich miłość dla Niny ułatwiły im wzajemne porozumienie.

To też Janina promieniała szczęściem, dzieląc swój czas między męża a ojca, który patrzał na córkę, jak na jedyną pociechę życia.

Oczekiwaliśmy wszyscy niecierpliwie przyjazdu ciotki Pauliny; i nadjechała wkrótce. Stan zdrowia ciotki Józefy poprawił się znacznie, mogła więc kochana moja opiekunka pomyśleć o wzmocnieniu własnych sił kuracją w Krynicy. Została jednak na kilka dni w Turowie, raz dlatego, żeby się nacieszyć widokiem szczęścia Janiny, a także przez wzgląd na szwagra, który tak bardzo potrzebował jej współczucia i rady. A któż mógł dać mu lepszą, niż ciocia Paulina?

To też spędzała długie z nim godziny, a wiedziałam od Janiny, że kochana ciocia używała swego wpływu, aby nakłonić szwagra do pogodzenia się z lekkomyślną żoną.

Szczerze żal mi było ojca Niny, bo złamała mu życie próżna kobieta; jakże często jednak przytem myślałam z wdzięcznością o drogich moich rodzicach i o ciotce Paulinie! Poznałam bowiem, że podstawą szczęścia człowieka jest jego dobre wychowanie. Dusi ono w zawiązku złe skłonności, a pomaga ziarnu cnoty, zasianemu ręką Bożą w sercach wszystkich ludzi, rosnąć i pożyteczne wydawać owoce.

XVIII.

PODRÓŻ DO KRYNICY.

Skwarny sierpień wyludniał Warszawę, a na dworcach panował ożywiony ruch. Ludzie zamożni z lekkiem sercem wyjeżdżali z miasta; szczęśliwsze może jeszcze od nich jechały gromadki dzieci na kolonje letnie. Szyłam w zimie granatowe sukienki dla tego biedactwa, a teraz patrzałam z radością na tę młodzież z suteren i poddaszy, która, da Bóg, odzyska zdrowie ciała wśród pól i lasów, a pod opieką dobrych dozorczyń i moralnem zdrowiem pokrzepi duszę.

I ja z kochaną Mimi skończyłyśmy już lekcje, a choć nie miałam szkolnego świadectwa, to jednak śmiało mogłam napisać do rodziców, że pracowałam wedle sił, i to przeświadczenie było poparte zdaniem cioci i nauczycieli, a zatem zasłużone.

Drodzy rodzice! jakże mimo wszystko tęskniłam za wami, z jakąż radością myślałam, że uzupełniwszy wykształcenie w Warszawie, odwdzię-

czę się wam miłością, wreszcie pracą i przykładem dla sióstr młodszych, bo byłam pewna, że mateczka pozwoli mi uczyć Władzię i Maniusię.

Tymczasem jednak oczekiwałam z niecierpliwością wyjazdu do Krynicy. Jak już zaznaczyłam, miałam być w Częstochowie, w Krakowie i poznać życie u wód, o którem tyle razy opowiadała mi Janina. Ona także pakowała swe kufry, a ja pomagałam jej; byłam nawet z praktyczności swej w tym kierunku dość zadowoloną.

Przekonałam się jednak i teraz, jak źle być zarozumiałą, bo ciotka Paulina, która wiele podróżowała za młodu, pokazała nam dopiero, co to jest zapakowany kufer.

Już go zapełniłam, ale zostało mi dużo rzeczy, które weń nie weszły. Byłam zakłopotana.

Zobaczywszy to, kochana ciocia kazała wszystko wyjąć i przedewszystkiem odrzuciła połowę z rzeczy, jakie zamierzałam wziąć z sobą. Potem zaczęła pakować na swój sposób. Dno kufra zapełniły rzeczy ciężkie, jak książki i bielizna, w drugiej przegrodzie leżały suknie złożone równo i porządnie, a w górnej kołnierzyki, chusteczki i różne lekkie drobiazgi. W całym kufrze nie została szparka, ciocia zapełniła wszystkie odpowiedniemi przedmiotami. Waliza zdawała się mieć elastyczne ściany, bo wciąż jeszcze przybywało miejsca. Ucałowałam ręce cioci, zamykającej kufer, w którym jednak zmieściło się wszystko, co było potrzebne.

— Duża ilość kufrów i paczek w podróży jest dowodem albo próżności albo niepraktyczności ich właściciela — mówiła ciocia; — a kto chce podróżować, musi się obejść bez wielu wygód; tem przyjemniej po powrocie znaleźć je w domu.

Doświadczyłam sama, jak słuszną była uwaga cioci i patrzałam potem z dumą na mały nasz tłomok podróżny, a z politowaniem na tych, którzy jechali obładowani mnóstwem niepotrzebnych gratów. Zwłaszcza te niezliczone paczki i koszyczki, plątające się pod nogami podróżnych, ugniatające im boki, albo, co się także zdarza, spadające na głowy, śmieszyły mnie bardzo. Ze wstydem myślałam o wyjeździe swoim z Lipowiec i o dobroci cioci, która, wbrew swoim zwyczajom, pozwoliła wówczas na zabranie całego magazynu rupieci. Toż nawet klatkę z kanarkiem chciałam wieźć do Warszawy, temu jednak stanowczo już przeszkodziła ciocia.

— Podlotek z kanarkiem! — myślałam, śmiejąc się teraz z tych wspomnień — obrazek rodzajowy zupełnie w guście Niny; dopieroż prześladowałaby mnie za naiwność tego pomysłu!

A jednak, ileż razy tęskniłam nawet do tego kanarka w Lipowcach, jak tęskniłam do każdego kącika rodzicielskiego domu i pakując kufer, szczęśliwa z zamierzonego wyjazdu do Krynicy, myślałam z żalem, że przez Krynicę odwlecze się znów chwila, w krórej będę mogła uściskać rodziców. O bo pilno mi było do ich pieszczot!

Wracam przecież do naszej obecnej podróży. Ciocia kupiła mi troki z ładną metalową rączką. Ułożyłam w nie szale i parasole, a od Janiny dostałam piękną skórzaną torbę. Wyekwipowana, jak prawdziwa miss angielska, jechałam zadowolona z podróżnego rynsztunku, który z popielatym kostjumem stanowił całość, mogącą zadowolnić nawet wykwintną Ninę. Żartowała też ona ze mnie bez miłosierdzia.

— Kocię wygląda jak Robinson, podróżujący po swej wyspie.

Dar Niny, jak prawdziwa Robinsonowska torba, zawierał mnóstwo skarbów. Miałam w niej przybory tualetowe, lusterko i wodę kolońską, bo tak przyjemnie w podróży wytrzeć nią zakurzoną twarz lub ręce. Mały neseser z potrzebnemi do szycia drobiazgami, kilka chustek, rozkład jazdy, przewodnik po Krakowie, notatnik z rachunkami, a nareszcie zapas czekolady do chrupania w drodze, oto z czego się składał mój ładunek podróżny w wagonie.

W drogę więc, w imię Boże!

Janina wyjechała kilka dni wcześniej od nas w towarzystwie męża i ojca, który odwoził córkę na miejsce do Solca, chcąc jej dopomódz w urządzeniu się u wód i zapewnieniu choremu odpowiednich wygód.

Teraz wyruszyłyśmy i my z Warszawy. Pierwszy raz w życiu byłam w posiadaniu paszportu wizowanego u konsula. Marynia, pan Edward i do-

któr Sulski odprowadzili nas na kolej, pomagając wyszukać dogodne miejsca. Dopiero po drugim dzwonku skoczyłam do wagonu, bo trudno mi było wyrwać się z objęć Mimi, która zostawała w Warszawie. Pociąg ruszał, a my jeszcze rozmawiałyśmy z sobą. Potem już tylko chustką mogłam dawać znaki kochanej przyjaciółce, aż znikła, podobna do oddalającego się obłoczka, bo biały jej kapelusz i niebieska suknia majaczyły zdaleka jak nadpowietrzna chmurka.

W przedziale wagonu siedziały prócz nas jeszcze trzy panie, z tych dwie milczały uparcie, ale najbliższa nasza sąsiadka skorzystała skwapliwie z pierwszej sposobności do zawiązania rozmowy. Ciocia odpowiedziała uprzejmie na jej pytanie, zaraz jednak potem wyjęła z podróżnej torby kurjera i czytała zasunięta w kąt wagonu, zostawiając mnie na pastwę rozmownej sąsiadki. Nie podobał mi się wprawdzie sposób obejścia nieznajomej, sądziłam jednak, że powinnam szczerze i chętnie prowadzić z nią rozmowę. Opowiedziałam jej więc o celu naszej podróży, nie ukrywałam nazwisk naszych i miejsca zamieszkania w Warszawie. Dowiedziała się łatwo ode mnie wszystkiego, co wiedzieć chciała, i wtedy, oświadczyła mi, że ona także jedzie do Krakowa, że nie ma tam znajomych, uważa więc spotkanie z nami za okoliczność bardzo dla siebie szczęśliwą, gdyż zwiedzanie obcego miasta jest dla samotnej kobiety zawsze nieprzyjemne.

Współczując trudnemu położeniu tej pani, obie-

całam jej dobrodusznie naszą pomoc, co ośmieliło nieznajomą do zadawania cioci nowych zapytań. Kochana ciocia Dystynkcja odpowiadała na nie bardzo chłodno (znam dobrze ten tonik i wiem, co o nim sądzić), a w Skierniewicach, ku wielkiemu memu zdziwieniu, zmieniła nawet wagon. Siedziałyśmy teraz zupełnie same w przedziale.

— Czy nie lepiej, ciociu, wrócić na dawne nasze miejsca? Mamy znajome towarzystwo — zapytałam po chwili, bo pociąg stał jeszcze.

— Uciekłam właśnie od tego towarzystwa, a ty chcesz tam wracać. Ta pani nie podoba mi się i jej natręctwo jest uciążliwe.

— Ale ona zdaje się być dobrą, a przytem podróżuje sama, byłoby jej więc przyjemnie odbywać z nami dalszą drogę...

— Nie znasz się na tem, moje dziecko—przerwała ciocia z uśmiechem. Ta pani znajdzie sobie zaraz inne towarzystwo, możesz być o to spokojną. Ale na drugi raz bądź ostrożniejszą, Kostuniu, i nie opowiadaj, kto i skąd jesteśmy, ani jakie są nasze zamiary. Trzeba być powściągliwą w rozmowie z obcemi i nie darzyć łatwo swem zaufaniem.

— A jednak ciocia tak uprzejmie zrobiła obok siebie miejsce tej pani, która wsiadła w Pruszkowie.

— To zupełnie co innego! O ile można, należy nieść pomoc współjadącym. Zdarza się często, że wchodząca do wagonu osoba napotyka u towarzyszów podróży widoczną niechęć, pomimo, że

w przedziale są jeszcze miejsca. Postępowanie takie nie zgadza się z uczuciem sprawiedliwości i dobroci, które powinny być podstawą tego, co czynić wypada.

— Ach cioteczko, ileż razy za to nieznośne «nie wypada» łajać mnie musiałaś, odkąd jestem z tobą!

— Ale też zato z podlotka, trochę zaniedbanego na wsi, wyrosła dobrze wychowana panienka. Przeszłaś już ze mną wiele rozdziałów kodeksu, rządzącego zwyczajami świata. Rozstaniemy się niedługo, Kostuniu, pamiętaj więc, że najważniejszem jest czynić to, co chcemy, aby względem nas czyniono, i unikać tego względem bliźnich, co nam samym byłoby przykre. Stare to, ale zasadnicze przykazanie. Tak tylko postępując, będziesz prawdziwie «dobrze wychowaną»; pozorna ogłada czyni nas podobnemi do pobielanych grobów, o których pisze ewangielja. Człowiek dobrze wychowany usunie kamień z drogi, aby nie kaleczył bosej nogi biedaka, będzie grzecznym dla sługi, dla posłańca, dla współpodróżującego, i to grzecznością, która rozgrzewa smutne serca...

— A którą ty masz zawsze, cioteczko — zawołałam wzruszona, całując ręce cioci i pragnąc gorąco zachować te nauki w pamięci.—Ponieważ jednak nie ufałam tej pamięci, bo często zawodziła mnie i przez żywość zapominałam ważnych nieraz przestróg lub zdarzeń, postanowiłam przeto pisać dziennik naszej podróży; wiedziałam także, że tem zrobię przyjemność kochanym rodzicom.

Tego dnia jednak niewiele było do zanotowania. Dojeżdżałyśmy do Częstochowy. Dojrzałam na horyzoncie wysmukłą Jasnogórską wieżę, oświetloną promieniami wschodzącego słońca. Klękłam w wagonie, składając hołd miejscu świętemu dla pobożnych, a tak drogiemu dla polskich serc. Wkrótce potem wysiadłyśmy z wagonu, zostawiwszy bagaż na stacji.

Z uroczystym nastrojem szłam z ciocią pod górę, pod którą od tylu wieków dążyło i dąży tysiące istot spragnionych pociechy. Deptali ją różni napastnicy, zataczając przeciw klasztorowi ogniem ziejące działa, a on stoi, jak stał, i serca wiernych zwracają się ku niemu z najdalszych stron ziemi.

Ranek był cudnie piękny. W gałęziach drzew świergotało ptactwo, witając pieśnią rozpoczynający się dzień. Za nami, pod górę, wlókł się jednokonny wózek, naładowany cegłą, którą wieśniak wiózł do nowobudującego się domu. Miał już skręcać ku fabryce, kiedy z wieży dobiegł głos sygnaturki, która, niby skowronek Boży, wzywała zakonników na poranną modlitwę.

Chlopek zatrzymał konia i jak stał, bosy, w jednej tylko koszuli, padł twarzą na ziemię, bijąc się w piersi z pokorą i wymawiając słowa modlitwy, a my, wzruszone jego widokiem, szłyśmy dalej ku klasztorowi.

Brama, obronne mury, posąg Kordeckiego na wałach, kule szwedzkie, uwięzłe w ścianach kościoła, wszystko tak żywo przypominało wielką kar-

tę historji, zapisaną na tych kamieniach. Przeszłość ożyła przed memi oczami. Patrzałam na starą żebraczkę i myślałam o tem, że taką może była odważna Konstancja, moja imienniczka, która zbierała na użytek oblężonych kule szwedzkie, jak o tem piszą Kraszewski i Sienkiewicz.

Nie próbuję wypowiedzieć uczuć, jakiemi byłam przejęta, gdy przestępowałam próg cudami słynącej kaplicy Matki Chrystusowej. Szczególniej chwila odsłonięcia obrazu jest tak uroczysta, że mimowoli padłyśmy twarzą na ziemię, a te pochylone z pokorą postacie ludzkie, ścielące swe dusze i serca i wszystko, czego pragną, czem się radują i co im ból sprawia, u stóp Królowej niebios, zostaną mi na zawsze pamiętne.

Jeśli trudno opowiedzieć wrażenia pobytu w Częstochowie, to tem mniej byłabym w stanie opisać pobieżnie te, jakich doznałam w Krakowie. Ciocia czuła się osłabioną; choroba pana Gustawa, a potem pobyt w Radomiu wyczerpały jej siły, dr. Sulski zabronił wszelkiego zmęczenia i zalecił jaknajprędzej zaczynać kurację w Krynicy. Dzień więc tylko zatrzymałyśmy się w Krakowie, a nie wystarczyłby i tydzień dla zobaczenia wszystkiego, co tam godne widzenia.

Już droga z Częstochowy jest zajmującą z powodu widoku licznych fabryk. W okolicy Lipowiec niema ich wcale, ale co najwięcej zachwycać musiało mieszkankę równin, to góry. Zaciekawiały mnie one z początku, widniejąc na horyzoncie

jak pasmo chmur, a potem występowały coraz wyraźniej, w miarę jak zbliżałyśmy się do Krakowa. Sam Kraków, ze wstęgą Wisły, ze swemi sławnemi kopcami i Wawelem... Nie! tych wrażeń opisać nawet nie próbuję.

Szczęśliwa, że jestem w Krakowie, nie budząc ciotki, wstałam przed szóstą, żeby usłyszeć hejnał, otrębywany z Marjackiej wieży.

Stałam na rynku, zapatrzona w szczyt kościoła, z którego płynęła ku mnie pieśń. — Słyszałam ją po raz pierwszy.

Rynek krakowski, wyglada tak jakgdyby zdjęto z niego kilkusetletnie wieko i ukazano jakim był w odległej przeszłości. Obramowany szeregiem starych kamieni, ze wspaniałym kościołem i ślicznym gmachem Sukiennic, jest olbrzymią księgą, na której uważny czytelnik odcyfrować może mnóstwo drogich sercu pamiątek.

Zasłuchana w hejnał, podziwiałam lud krakowski, barwny i dziarsko uwijający się wśród targowych wozów, patrzałam na białe kamienie bruku i byłabym całowała granit tatrzańskich gór, bo czyjeż stopy nie deptały tych głazów!

Przed oczami mej duszy przeciągały orszaki królów, uczta Wierzynka, hołd niewdzięcznego Prusaka, wesele Batorówny z Zamojskim, uroczystości, które tak pięknie opisuje Siemieński w «Wieczorach» i Szujski w swojej historji.

Wychodząc z hotelu, miałam zamiar wrócić do cioci zaraz po wysłuchaniu hejnału, ale pociąg-

nięta wrażeniami, szłam z ulicy w ulicę, spotykając po drodze coraz nowe kościoły i nowe pamiątki.

— Nie zbłądzę przecież — myślałam, bo hotel nasz był blizko rynku, a na rynek trafić łatwo. Szłam więc oczarowana cudnym rankiem, muzyką kościołów, do których wstępowałam po drodze, oglądając z przejęciem i uroczystem poszanowaniem pamiątki, których są pełne. Spostrzegłam jednak nareszcie, że wchodzę w dzielnicę, zamieszkałą wyłącznie przez żydów, i to takich, jakich nie widziałam nigdy w Warszawie. Mieli płaskie aksamitne czapki, obramowane futrem, i długie loki, zwieszające się po obu stronach twarzy. Zapraszali do swych sklepów, które właśnie otwierano. Widok tych sklepów zbudził mnie z marzeń o przeszłości, przypominając rzeczywistość, a więc konieczność powrotu do cioci, która może niepokoiła się o mnie.

Nie mogąc odrazu trafić do hotelu, pytałam przechodzących o drogę i za ich wskazówką wróciłam.

Zastałam ciocię zdziwioną mojem zniknięciem; znając żywość swej siostrzenicy, przewidywała, że łatwo mogłam zabłądzić.

Opowiedziałam cioci wrażenia z mojej wycieczki na miasto i o zakłopotaniu co do znalezienia hotelu.

— Czemu, Kostuniu, nie wzięłaś z sobą planu Krakowa? Z planem trafisz w każdem, nawet dużem mieście; a niema tak małego, w któremby się nie traciło czasu na odszukanie mieszkania, zwłasz-

cza, że panna łatwo traci głowę — dodała ciocia, poprawiając moje roztargane włosy.

Zwiedziłyśmy z ciocią wszystko, co przez jeden dzień w Krakowie zobaczyć można, chociaż samo muzeum w Sukiennicach, zbiory Czartoryskich lub bibljoteka Jagiellońska wymagałyby długiego czasu dla nacieszenia oczów zebranemi tam skarbami.

A Wawel, a Skałka, a groby królewskie!... Marzyłam, że szczegółowo opiszę je dla ojca i Władzi, ale Kraków i jego pamiątki zostały mi w pamięci jak sen cudowny, sen nieprześniony, do którego wracać będę wspomnieniem, póki nie pojadę tam z mamą i Władzią na dłuższy pobyt. W tym celu postanowiłam sobie oszczędzać, aby uzbierać trochę pieniędzy na tak piękną podróż.

Tą myślą pocieszałam się, wyjeżdżając nazajutrz na dworzec, gdzie przyjechałyśmy wcześniej, żeby zająć wygodne miejsca w wagonie. Właśnie ułożyłam na nich nasze szale, kiedy ciocia spostrzegła jakąś znajomą panią. Poleciła mi więc zostać przy rzeczach, oddała bilety dla pokazania ich konduktorowi, a sama wyszła na ganek, pragnąc spędzić kilka chwil z tą panią. Tymczasem przyniesiono do okna ładne brzoskwinie, a jakie tanie! Kupiłam kilkanaście na drogę i pośredniczyłam gorliwie w sprzedaży, podając owoce osobom, siedzącym w wagonie. Potem uporządkowałam rzeczy i zmęczona trochę pośpiechem, z jakim służyłam towarzyszom podróży, siadłam przy oknie.

Właśnie ciocia wróciła, a za nią wszedł kon-

duktor, żądając biletów. Obejrzałam się za naszemi; położyłam je przecież na ławce; ale jakże się przeraziłam, nie znajdując ich nigdzie! Przestraszona, szukałam pod ławkami, w kieszeniach, przetrząsnęłam szale—lecz naprózno! bilety przepadły! Tylko kwit na rzeczy leżał w kącie ławki, reszta zginęła.

Tymczasem konduktor stoi i ubolewa wprawdzie nad niemiłym wypadkiem, żąda jednak biletów, a jest w swojem prawie. Spojrzałam na ciocię przestraszona, bo pociąg miał odejść za chwilę.

— Wybiegnij, Kostuniu i kup nowe bilety—powiedziała ciocia, dając mi pieniądze.

Wyskoczyłam na peron, nie było czasu do stracenia. Wtem pac! coś upadło za mną, to jeden bilet wyleciał szczęśliwie z fałdów sukni; musiałam jednak kupić drugi. Zmęczona i zawstydzona, wskoczylam do wagonu w chwili, kiedy rozległ się trzeci dzwonek. Nie śmiałam spojrzeć na ciocię.

— Na drugi raz schowaj, Kostuniu, bilety do podręcznej torebki. Niejednemu już zdarzyło się je zgubić, odebrałaś i ty dziś lekcję uwagi.

— Za którą cioteczka płacić musi — zawołałam skruszona.

— Gdyby tak łatwo nagrodzić można wszystkie popełnione niedorzeczności! Małe zmartwienie, łatwa pociecha, na tę pociechę zaś spójrz przez okno i podziwiaj cudną okolicę, przez którą jechać będziemy. Kolej Leluchowska przerzyna najpiękniejsze strony naszego kraju.

XIX.
U WÓD.

Byłam więc u wód i spędzałam czas na pracowitem próżniactwie, bo takiem nazwać mogę nasze życie. Zrana picie wód u źródła, potem kąpiel, po której trzeba się ubrać do obiadu, po obiedzie wypoczynek, znów woda, cioteczka bowiem piła smaczną słotwinkę na podwieczorek, a ja w kawiarni u pani Komunickiej delektowałam się poziomkami. Zazwyczaj dzień kończył się spacerem, dni zaś były tak do siebie podobne!... Z powodu zdrowia cioci unikałyśmy nowych znajomości, nikt zaś z blizkich nie przyjeżdżał do Krynicy.

Samotność nie ciężyła nam jednak wcale; mieszkałyśmy w willi Raj, położonej na drodze do Tylicza, i było nam tam tak dobrze, jak w prawdziwym raju. Chodziłam do parku, często na sam wierzchołek góry, zachwycając się ślicznym widokiem i zbierając poziomki, które na wyższych szczytach dojrzewają tu dopiero we wrześniu. Górale,

pilnujący bydła na leśnych polanach, pokazywali mi szarzejące w oddali wierzchołki Tatr, nazywając pojedyńcze góry. Rozpoznawałam je wybornie, ale choć wyrywała mi się dusza do tych olbrzymów, nie mogłam marzyć o dalszych wycieczkach, bo stan zdrowia cioci poprawiał się bardzo zwolna.

Słuchałam tylko z zazdrością o spacerach na Jaworzynę lub do Żegiestowa, opowiadano o nich zwykle przy obiedzie. W hotelu bowiem jadałyśmy obiady.

Miałam teraz sposobność do robienia uwag nad złem lub dobrem zachowaniem się naszych sąsiadów i żałowałam nieraz, że ciotka Dystynkcja nie może wziąć pod swoją komendę całego stołu; gdyby towarzystwo współbiesiadników było przez ciocię wyćwiczone w obyczajności, byłoby o wiele przyjemniejsze.

Co jednak najwięcej zachwycało mnie w Krynicy, to uczciwość miejscowego ludu. Willa Raj leży przy gościńcu; przechodzi nim codziennie bardzo wielu wieśniaków do Muszyny i do samej Krynicy, którą okoliczne wsie zaopatrują w żywność; pomimo to nie potrzebowałyśmy zachowywać żadnej ostrożności. Nasza gospodyni zostawiała na werandzie przed domem całą zastawę stołu, nawet łyżeczki srebrne leżały na niej często przez noc, a nie było przykładu, aby kiedykolwiek poniosła jaką szkodę z tego powodu. Mówią, że wszystkie górskie plemiona odznaczają się uczciwością; sądzę, iż porządne tutejsze szkoły mają także wpływ na ludność, a zwiedzałyśmy z ciocią

szkołę w Krynicy i w Muszynie. Aż serce rośnie patrząc na dziatwę wiejską, tak różną od młodzieży z naszych okolic.

Zaufanie do miejscowego ludu uzuchwaliło mnie, tak że robiłam sama dość dalekie wycieczki. Zabierałam z sobą papier i ołówki, i próbowałam szkicować z natury śliczne widoki krynickie, chcąc tem ojcu zrobić niespodziankę.

Moje wyprawy trwały czasem po parę godzin; wtedy ciocia zostawała w towarzystwie naszej uprzejmej gospodyni, pani Kłosowskiej; panie robiły razem robotę, rozmawiały lub czytały.

Droga leśna, prowadząca do Tylicza na Węgry, nastręczała mi zwykle mnóstwo malowniczych tematów do pejzażów. Im dalej szłam, tem piękniejsze grupy drzew zachęcały mnie do rysunku. Rysowałam też z zapałem w piękny dzień letni, zachwycona refleksami światła, które padało od zachodzącego słońca. Pogrążona w pracy, nie uważałam, że słońce chyli się już ku ziemi i że ciocia czeka zapewne niecierpliwie na mój powrót. Spostrzegłam jednak nareszcie, że zaczyna się ściemniać. Zebrałam więc szybko przybory rysunkowe i miałam właśnie zejść na gościniec, kiedy spostrzegłam o jakie sto kroków za sobą dwóch mężczyzn. Szli wprost ku mnie, a mieli miny zbójeckie i trzymali w ręku grube laski, których widok odebrał mi resztę odwagi.

Przemknęły mi przez głowę zasłyszane tysiąckrotnie opowiadania o przygodach, mogących spot-

kać nieostrożne jak ja kobiety, o rabusiach i cyganach, koczujących w okolicach Krynicy. A właśnie ci dwaj ichmoście przypominali trochę cyganów.

Tymczasem słońce zapadło już za górę i ściemniło się zupełnie. Szłam prędko, ale nie okazując obawy i nie oglądając się za siebie, żeby strachem nie uzuchwalać napastników, za jakich tych panów uważałam. Słyszałam, że przyśpieszali kroku, lecz zachowywali się dotąd spokojnie.

— Czy są już blizko?—myślałam, wstrzymując oddech, ale nie śmiałam spojrzeć w tył, bo coraz wyraźniejsze kroki przekonywały mnie, że przestrzeń, dzieląca nas, zmniejsza się z każdą chwilą. Wtem słyszę, iż śmiejąc się wołają na mnie i proszą, abym nie uciekała; ale zrozumiałam podstęp i nie dając się podejść, biegłam prędzej.

Cóż znaczył jednak mój pośpiech wobec dwóch silnych mężczyzn? Obejrzałam się. Są tuż! tuż! jeden z rabusiów podniósł nawet kij.

Na ten widok straciłam do reszty przytomność.

— Ratunku!—zawołałam z rozpaczą, uciekając na oślep przez krzaki, chociaż kolce jerzyn kaleczyły mi nogi, a gałęzie darły ubranie. W tym szalonym pościgu upuściłam parasolkę i album z rysunkami, ale było mi to obojętne.

Oślepiona, wyczerpana strachem, dobyłam ostatnich sił i dostałam się na drogę leśną, gdy nagle ujrzałam przed sobą trzeciego draba, pewnie sprzymierzeńca tamtych ścigających; tylko ten trzeci szedł ścieżką od Krynicy.

Serce zabiło mi jeszcze silniej, a nogi uginały się pode mną. Widząc, że napastnik ma zamiar mnie minąć, pomyślałam sobie nagle, że to może być uczciwy człowiek.

— Przepraszam pana — powiedziałam, zbliżając się ku nieznajomemu bez względu na to, kto on jest. Spoglądam i... o radości! poznaję doktora Sulskiego.

— Panie Sulski! ratuj mnie! — zawołałam, osuwając się na ziemię.

Kiedy odzyskałam przytomność, nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem jestem sama wśród lasu i dlaczego dr. Sulski rozciera zimne moje ręce. Nagle wróciła mi pamięć doznanego przerażenia.

— Ależ oni mnie gonią!—krzyknęłam, zrywając się do nowej ucieczki.

Ale dr. Sulski zatrzymał mnie.

— Niech się pani uspokoi, panno Konstancjo— mówił łagodnie. — Teraz nic złego spotkać cię nie może; zresztą ludzie, przed któremi uciekałaś, byli to zupełnie spokojni goście tutejsi. Widząc, że się ich boisz, chcieli cię nastraszyć. Zły i niemądry żart, ale daruj im pani, a sama staraj się odzyskać siły, bo trzeba zejść na dół.

— Niemądra jestem ja przedewszystkiem — pomyślałam zawstydzona. Teraz dopiero zrozumiałam śmieszność i niewłaściwość mego postępowania. Uciekać, jak prawdziwa koza, przed mniemanemi rozbójnikami, którym nawet przypatrzeć się

nie zdążyłam; na domiar wszystkiego zaczepić spokojnie przechodzącego człowieka i mdleć u jego stóp! Cała ta przygoda, godna typowego podlotka, upokarzała mnie okropnie, mnie, która sądziłam, że wyrosłam już nareszcie na rozsądną pannę.

— Co pan myśli o mnie! — mówiłam, próbując odczepić od sukni gałęzie i ciernie, które, pędząc przez krzaki, zabierałam po drodze.

Ale dr. Sulski śmiał się tylko i pomagał mi odrywać chwasty z ubrania.

— Co ja myślę, to mniejsza; że jednak panią nie dziwi mój widok? Większy jestem nieco od grzyba, a nawet grzyb nie wyrósłby tu tak szybko z pod ziemi.

— Prawda! jakim sposobem znalazł się pan na mojej drodze? Nie spodziewaliśmy się pana w Krynicy.

— Mój duch, wywołany pani przestrachem, stanął tu, żeby ją bronić.

— Proszę, nie żartuj pan ze mnie — mówiłam, wstając i idąc szybko ku domowi, bo czułam, że ciocia będzie i bardzo niespokojną i bardzo niezadowoloną z całej tej przygody.

— Uważam, że gdy wspomniałem o duchach, pani znów ucieka, a na to, jako lekarz pozwolić nie mogę. Jest pani zbyt wyczerpaną doznanym przestrachem, lepiej więc iść wolno, a ja tymczasem wytłómaczę pani, jakim sposobem znalazłem się tutaj.

— Tak w porę! — zawołałam mimowoli.

— Istotnie, zupełnie w porę — mówił dalej doktór — bo i teraz jeszcze mogę być pani potrzebnym. Proszę, oprzyj się pani na moim ręku, wrócimy powoli do domu. Nie odmawia się dobremu przyjacielowi zaufania, a pani wie chyba, że byłem i chcę być jej przyjacielem.

Zaczerwieniłam się, bo istotnie nie mogłam iść o własnej sile, nogi odmawiały mi posłuszeństwa. Wsparłam się na ramieniu doktora i szłam z nim do domu, a on przez ten czas opowiadał, że przyjechał z bratem Maryni na krótką wycieczkę w góry. Zabawili tydzień w Zakopanem, a teraz zwiedzają zakłady lecznicze w Galicji.

— Edwarda gniewa mój zapał lekarski, bo włóczę go po rozmaitych badach, ale pragnę przy tej sposobności zobaczyć tutejsze zdrojowiska. Dziś zwiedziliśmy Żegiestów, a obecnie jesteśmy w Krynicy dla poznania zakładu zdrojowego i dla odwiedzenia pań.

— Był pan w Raju? — przerwałam ucieszona.

— Nie — odpowiedział doktór, uśmiechając się — ale o raju wolno marzyć każdemu; widziałem tylko zdaleka ten przybytek szczęśliwości, a od Edwarda, który już odwiedził szanowną ciocię pani, dowiedziałem się, że jej siostrzenica poszła na tę górę w celu rysowania.

— I zamiast razem z Edwardem witać ciocię przyszedł pan tutaj?

— Tak, pani, i jestem sobie wdzięczny za ten

pomysł. Czy pani nie jest zmęczona? — zapytał doktór, bo coraz prędzej szłam ku domowi.

Zmęczona byłam porządnie, ale pragnęłam jednej chwili znaleźć się już w naszej willi; spodziewałam się wymówek od cioci, a takie przewidywania odbierają swobodę. Minęliśmy już zakład dr. Ebersa, i widziałam zdaleka lampę migotającą czerwonem światłem na werandzie w Raju; przyśpieszyłam więc kroku i w kilka chwil potem witałam p. Edwarda, pytałam o moją drogą Mimi, podczas gdy p. Sulski opowiadał cioci nasze spotkanie i mój przestrach. A opowiadał, oszczędzając mi upokorzenia za tchórzostwo i nie wspominając wcale, że zemdlałam w lesie. Tak naturalnie przedstawił cały wypadek, jakgdyby zdarzyć się mógł każdemu, nietylko roztrzepanej i bądź co bądź zawsze jeszcze podlotkowatej pannie Konstancji.

Wyszłam więc obronną ręką z przygody, która została mi jednak na zawsze pamiętną; ciocia domyśliła się tchórzostwa i łajała mnie za nie, pan Edward także wyśmiewał zajęcze serca panien, a pani Kłosowska częstowała herbatą nas i naszych gości z Warszawy.

Goście ci zabawili cały tydzień w Krynicy. Dr. Sulski wspominał czasem o romantycznym epizodzie, żartując i strasząc mnie rozbójnikami, ale już się ich nie obawiałam, bo robiliśmy codziennie wycieczki razem we trójkę, a często powozem z ciocią. W przeddzień zaś wyjazdu panów ciocia wyszła z nami na dłuższy pieszy spacer, który

jej nie zmęczył. Była teraz o wiele silniejszą i za dwa tygodnie miałyśmy i my opuścić Krynicę, bo wyjechało już bardzo wiele osób po skończonym sierpniowym sezonie.

Przez p. Edwarda posłałam mojej drogiej Mimi niektóre ciekawsze rośliny, zebrane na krynickich górach. Rośnie tu zwłaszcza gatunek bardzo pięknego ostu, z którego zrobię dla Mimi śliczny wianek na fotografję babuni; górale zowią go dziewięćsił. *). Wiedziałam, że ten dowód pamięci będzie jej przyjemny.

Kochana Mimi! Kiedy ją też zobaczę, kiedy zobaczę wszystkich moich warszawskich znajomych? Szczególnie tęskniłam do Janiny; po przeżyciu z nią całego roku brakowało mi jej i jej dowcipu, wesołości, nawet psot i żartów, któremi mnie dawniej trapiła.

Poczciwa Nina nie zapomniała o mnie; w listach do cioci bywały karteczki adresowane «Do kochanego kotka». Czytywałam je z rozkoszą, podziwiając w nich humor, barwność stylu i trafność spostrzeżeń. Pisała, że stan zdrowia pana Halickiego poprawiał się; ona nie odstępowała go i chodzili oboje do parku na muzykę, a lekarze robili nadzieję, że pacjent wyjedzie prawie wyleczony. Wogóle wszelkie listy były nam bardzo pożądane, a roznosiciela poczty witałyśmy zawsze okrzykami radości. Otrzymywałam też co tydzień list od moich

*) Dziewięćsił (Cadlina acaulis).

kochanych rodziców, którzy oczekiwali mnie teraz z niecierpliwością.

Ja nie miałam już wracać do Warszawy. Mój Boże! Ciotka Paulina jechała tam za kilka dni! Żal mi się zrobiło bardzo na myśl rozstania, bo pokochałam ciocię jak drugą matkę, a ileż jej zawdzięczałam!

Ale nadzieja, że niezadługo zobaczę moją prawdziwą, moją najdroższą mateczkę, przejmowała mnie niezmierną radością. Ciocia miała odwieźć mnie do granicy, a tam tatko czekać będzie na swoją starą. Wracałam też istotnie starsza i lepiej pojmująca swoje obowiązki; obym je tylko należycie spełniać potrafiła!

Tymczasem skupowałam podarunki, bardzo skromne, bo tylko na takie stać było moją kasę; nie zapomniałam o nikim z ukochanych.

— Jak Władzia musiała urosnąć przez ten czas! Czy Maniusia pozna siostrzyczkę? Czy zastanę Jerzego w domu, bo od roku jest w politechnice w Rydze? A młodsi bracia? Pewnie drą, jak zwykle, ubrania i będziemy miały z mamą co reparować. — Takie myśli krążyły w mej głowie na wyjezdnem z Krynicy. Pilno mi było wracać do domu, to też skwapliwie pakowałam podróżne kufry, bo tę czynność ciocia mi już powierzyła, z czego byłam bardzo dumna. Potem kufry zawiózł góral na kolej, my zaś wstąpiłyśmy do Muszyny, żeby zwiedzić szkołę koronek, wyrabianych przez wiejskie dziewczęta.

Żegnałam, może na zawsze, śliczne okolice Że-

giestowa, Sącza, Tarnowa, a wkrótce miała nadejść i chwila pożegnania z ciocią Pauliną. Całowałam drogie jej ręce, obiecując pielęgnować ziarna, zasiane przez nią w mem sercu, i pamiętać rady i uwagi tak zacne i natchnione miłością bliźniego. Płakałam z żalu za moją drogą opiekunką, która wracała sama do Warszawy.

XX.

POWRÓT DO DOMU.

I znów, jak na początku tego opowiadania, jechałam znajomą okolicą, a Jasiek popędzał kasztanki. Ale już nie płakałam, jak wtedy, w kącie powozu; tylko siedząc obok tatki na wózku, cieszyłam się widokiem zielonych posiewów, spragniona ujrzeć Lipowce, rada z życia, śmiejąca się do każdego polnego kwiatka, jak do dobrego znajomego.

Wieś, cicha, urocza wieś polska, chłonęła moją duszę; odwykłam od spokoju natury, to też doznawałam na nowo jej dobroczynnego wpływu. Przypominałam sobie zdarzenia dzieciństwa, pierwszą swoją spowiedź w naszym kościołku i chorobę mamy, kiedy przez kilka dni drżałyśmy o jej drogie życie. Było mi rzewnie na sercu, i odczuwałam pragnienie oddania się ukochanym i podobania się Bogu, którego bliższą się czułam na wsi, niż w mieście.

Na łąkach pasły się nasze krowy; poznałam ulubioną moją krasulę, ale i stary pastuch Marcin,

poznał panienkę, bo ukłonił mi się uprzejmie. Umorusane dzieciaki wybiegały z czworaków, starsze chichotały wesoło, pokazując mnie palcami. Szewc Pokrzywnicki, który jeszcze dziaduniowi służył, a nam, dzieciom, szył trzewiki, stał przed swojem mieszkaniem i przyglądał mi się z uśmiechem. Zobaczyłam wreszcie nasz dom i lipę, i gniazdo, z którego odleciały już bociany.

— Kocia! Kocia!... — krzyknęli chłopcy, wyskakując nagle z za parkanu, opasującego ogród, aż wystraszyły się kasztanki, za co tatko łajał trochę kochanych urwisów. Skoczyli na stopnie bryczki i jechali tak z nami przed dwór, trzymając mnie za ręce. Zdaleka dojrzałam mamę. Stała w ganku z obiema siostrzyczkami.

— Jaka Władzia już duża! — zawołałam, ale nie miałam czasu robić uwag nad zmianami, jakie spostrzegałam, bo wózek okrążył już dziedziniec i po chwili tuliłam się do serca mojej najdroższej mateczki. Ściskając ją, czułam, że ktoś całuje mnie w rękę. To kochane maleństwo, Maniusia, o której sądziłam, że nie pamięta może siostry, przypominała się w ten sposób, myśląc zapewne, że tak trzeba witać starą. Schwyciłam ją na ręce i nosiłam przez chwilę po pokoju; tymczasem rodzice podziwiali mój wzrost i siłę.

— To już cała kobieta, matko — mówił ojciec — tylko czekać, jak nam wyfrunie na zawsze z gniazda.

Zaczerwieniłam się. Wyfrunąć z domu! Chętnie pożyczyłabym skrzydeł, żeby prędzej zobaczyć

wszystkich domowych i wszystkie kąty, a ojciec mówi o opuszczeniu ich!...

— Jak ty urosłaś, a jak się odmieniłaś! Tak mi jakoś dostojnie wyglądasz — mówiła kochana mama, patrząc z radością na swoją córę.

— Zrobiła się z niej wielka pani — żartował Jerzy; udawał on już dorosłego i skubał wargi, szukając wąsów, które jeszcze nie porastały.

— A przywiozłaś mi laleczkę z Krynicy? — pytała Maniusia, chwytając moją suknię rączkami, które tylko co układały babki z ziemi; ale ucałowałam kochane, choć brudne łapki i pobiegłam rozpakowywać kufer, żeby oddać rodzicom i rodzeństwu przywiezione dla nich podarunki. Było co niemiara radości, okrzyków i podziwiania, a co pocałunków!

Potem mama zaprowadziła najstarszą córkę do pokoju na górze. Miałam w nim mieszkać razem z Władzią. Nie poznałam dawnych kątów, tak się zmieniły na mój przyjazd. Łóżka nasze osłaniały białe firanki podobne do tych, jakie miałam u cioci, a nad stolikiem do pisania wisiała fotografja ciotki Pauliny. Był to dar kochanego ojca.

Ze łzami w oczach dziękowałam rodzicom za przygotowanie mi tej niespodzianki. Pod portretem cioci powiesiłam fotografje Janiny i Maryni. Miałam je więc wszystkie trzy złączone wieńcem bluszczu, jak w mojem sercu pozostaną na zawsze w jednem wspomnieniu.

Każdego ranka witałam drogie twarze, każdego

wieczora stawałam przed wizerunkiem cioci i w myśli zdawałam jej sprawę z całodziennych swych zajęć i postępków. Za złe karałam się szczerą w listach spowiedzią, a rozgrzeszenie dawała mi mama, bo przed nią także nie miałam tajemnic.

Nie brakowało mi zajęcia w domu kochanych rodziców. Mama oddała pod mój wyłączny kierunek naukę Władzi i byłam mateczce bardzo wdzięczna za to zaufanie.

— Ucząc siostrę, sama uczyć się będziesz i lepiej zrozumiesz naukę — mówiła mama. — Władzia jest dobrem dzieckiem, a jeśli zniecierpliwi się niekiedy, to i z tego odniesiesz pożytek, bo nic tak nie wyrabia panowania nad sobą, jak utrzymanie powagi wobec tych, których mamy wychowywać.

Poznałam wkrótce, że słusznemi były słowa mateczki. Lekcje z Władzią uczyły mnie zastosowywać naukę do pojęcia uczennicy. Dotąd urabiano moją duszę, teraz, po raz pierwszy, ja musiałam czuwać nad powierzonym mi umysłem i charakterem. To, co odebrałam sama od nauczycieli i od ciotki Pauliny, oddawałam siostrom. Maniusia bawiła się najchętniej w moim pokoju, miałam więc sposobność uczyć kochane dziewczęta nietylko nauk, ale tego «co wypada» i co «nie wypada». Pilnowałam, aby w zachowaniu miały wdzięk i swobodę, której brak opłaciłam tylu przykrościami w Warszawie.

Pomagałam także mamie w zarządzie domem, a że tatko umówił właśnie nauczyciela do młod-

szych braci, więc brałam od niego lekcje rachunków, żeby módz lepiej wykładać je Władzi.

W zimie będziemy obie z siostrą uczyły biedne dzieci wiejskie, a ojciec, któremu zwierzyłam się z zamiaru przygotowywania przetworów owocowych na targ warszawski, obiecał dawać mi wskazówki w tym kierunku, gdyż sam wyrabiał wyborne wina z różnych jagód. Potem, za dwa lata, gdy już wychowanie Władki będzie skończone, pojedziemy razem z nią do Warszawy, albo nawet za granicę, żeby nabyć dokładnych wiadomości w obranej przez nas zarobkowej pracy.

Takie były moje plany na przyszłość i takiemi zajęcia obecne. Czas schodził mi użytecznie, chociaż jednostajnie, jak zwykle na wsi; listy, pisma i książki, odbierane z Warszawy, utrzymywały nas w ciągłej świadomości tego, co się dzieje na świecie, a mnie przynosiły szczegóły z życia drogich mi osób.

Najregularniej korespondowała ze mną kochana ciocia. Znajdowała czas na wszystko, miała go więc i na długie do mnie listy, w których opisywała zajęcia w «Schronieniu dla sług» i drobiazgi, dotyczące codziennego życia; rozumiała bowiem kochana cioteczka, że interesował mnie każdy szczegół.

Inne zupełnie były listy Janiny; szczęśliwa z wyzdrowienia męża, gdyż pan Gustaw nie używał już kuli i mógł o lasce chodzić w pole, pisywała z werwą i dowcipem, prześladując po dawnemu swoją Kocię.

Trzecia moja korespondentka, Marynia Mirska, pozostała także wierną zwyczajom przyjaźni i wtajemniczała mnie w świat swych uczuć i myśli. Dzieliłyśmy z sobą każde wrażenie, bacząc pilnie, aby nasz stosunek pozostał zawsze równie szczery i serdeczny.

Dzień pocztowy bywa na wsi dla wszystkich dniem uroczystym, bo oczekiwanym z pewnym niepokojem; ja jednak z wyjątkową niecierpliwością wyglądałam zwykle posłańca i wychodziłyśmy naprzeciw niego z Władzią aż za Lipowce, a widok skórzanej torby przejmował mnie radością.

Jednego dnia, już w zimie, brat mój, Kazio, odebrał pocztę od posłańca i przyniósłszy do pokoju, wysypał listy na stół. Był między niemi jeden żałobny, pisany ręką Janiny. Przerażona, rozerwałam kopertę. Nina donosiła mi o śmierci swej przybranej matki.

Wiedziałam z listów ciotki Pauliny, że bratowa jej chorowała ciężko po powrocie z zagranicy i że Gustawowie jeździli do Lublina pielęgnować macochę, którą cierpienia zmieniły nietylko fizycznie, ale i moralnie. Stała się łagodną, wyrozumiałą, a na wspomnienie o mężu okazywała szczery żal. Janina wezwała więc ojca do chorej żony i chociaż Gustaw musiał wrócić do Turowa, gdzie miał wiele zajęcia, ona nie odstąpiła macochy aż do śmierci. Ostatniem słowem umierającej była prośba o przebaczenie, ostatniem spojrzeniem dziękowała

mężowi i przybranej córce za miłość, której dotąd cenić nie umiała.

Wszystkie te szczegóły doniosła mi Janina, bolejąc szczerze nad śmiercią matki, bo przywiązały ją do niej wspomnienia dzieciństwa i pobyt z macochą w ostatniej chorobie.

Potem zięć i córka zabrali ojca na kilka tygodni do siebie, do Turowa. Trzeba jednak było obmyśleć stałą opiekę samotnemu, gdyż wiek i starganе siły wymagały troskliwej ręki, którаby goić umiała rany zadane życiem.

Któż mógł ją dać biednemu, jeżeli nie ciotka Paulina?

I sprawdziły się na niej słowa niezapomnianej Gabryjeli, która mówi o kobietach, że..... «są tu na ziemi białe anioły z skrzydłami białemi, które gdy raz wezmą w poświęcone dłonie serce człowieka, to je drogą świata ponad kałuże, błota i przepaści niosą bezpiecznie».....

Całe życie cioci Pauliny było braniem w poświęcone dłonie różnych serc ludzkich, na to, by je nieść ku dobru, ku pięknu, ku cnocie.

Czy jej własne doznało szczęścia, czy się czuło zadowolone? O to nikt nigdy nie śmiał się pytać cioci. Wiedzieliśmy tylko, że umiała kochać każde z nas wyłącznie, i że choć dawała wszystkim wybranym całe swe serce, nie ubożała przez to sama w uczuciu i nikt z nas nie czuł się nigdy pokrzywdzonym. Byłam więc pewna, że ciocia Paulina potrafi osłodzić starość szwagrowi, który

sprzedał swoją fabrykę na Wołyniu, żeby zamieszkać w Warszawie przy bratowej.

Powie on kiedyś znów słowami Gabryjeli, z tej samej poezji o kobiecie: «Przebaczę, zapomnę uraz, lecz niech o mnie święta, niech kochająca kobieta pamięta»...

ZAKOŃCZENIE.

Dwa lata upłynęły od czasu, jak wróciłam do rodzicielskiego domu. Słońce wschodziło pogodnie nad łąkami i zżętemi polami, na które patrzałam z okna mego pokoju na górze. Ranek był chłodny, wiatr jesienny spędzał mgłę z ziemi, roznosząc białe pasma po ścierniskach. Od wsi i zabudowań dworskich dochodziły głosy zbudzonych do pracy robotników. Na topoli klekotał bocian, a bocianięta wyfruwały z gniazda i oblatywały je wokoło, próbując skrzydeł. Nadchodził czas dalekiej dla ptaków wędrówki, a biada bocianowi, jeśli nie potrafi o własnej sile przebyć drogi za morze.— Zginię! — myślałam — i żal mi było złamanych skrzydeł ptaka, który nie przeczuwa, że śmierć go czeka w drodze.

Spojrzałam w niebo; było lazurowe bez chmurek i obłoczków. Ty, o Panie! dasz siłę duszy, gdy zmęczy się w swym locie — mówiłam, klękając do rannego pacierza. Ale zaledwie zdążyłam go

skończyć, gdy objęły mnie czyjeś ręce i poczciwe niebieskie oczy mojej drogiej Mimi zajrzały w moje.

— Dzień dobry, Kostuniu, niech ci Bóg błogosławi dziś i zawsze! — zawołała Marynia.

— Tak wcześnie wstałaś, Mimi?

— Nie mogłam spać, radość odbiera sen, obudziłam więc Władzię i idziemy do ogrodu robić bukiety. Bądź zdrowa, Kostuniu! — zawołała, znikając za drzwiami.

Wróciłam do okna. Lipowce nawet w jesieni wyglądały uroczo. Z kominów chat płynęły w powietrze białe smugi dymów, bydło na ściernisku porykiwało wesoło, ptaki śpiewały na gałęziach drzew; już i w naszym dworku panował ruch ożywiony. Chciałam iść do ogrodu, bo widziałam Marynię i Władzię, biegnące z koszykami po kwiaty, kiedy przez otwarte okno gościnnego pokoju doleciał mnie rozkoszny szczebiot dziecka.

W jednej chwili byłam już przy kochanem maleństwie; dorodna piastunka trzymała na ręku ślicznego chłopczyka, który wyciągał do mnie swe różowe łapki.

— Dzień dobry, Nino!—zawołałam, wchodząc—ty jeszcze w łóżku, a twój syn już ubrany, wyrywa się do ogrodu.

— Mój syn jest nieznośny, budzi mnie o świcie, jak prawdziwy syn wieśniaka, nie mogę wyrobić w nim kulturalnych instynktów.

— Nabierze ich z czasem, teraz zaś stosuje się do obyczajów cioci Koci, jej także nie przerobiła

ani ciocia Dystynkcja, ani wykwintna Nina na światową damę.

— Zobaczymy jeszcze, jak to będzie, kiedy pomieszkasz dłużej w Warszawie; co zaś do mego syna, to ma on wszystkie złe przyzwyczajenia ojca, zaczynając od rannego wstawania. To też tatuś jest tak dumny z jedynaka, że nie chciał dać mi go tutaj, tylko upierał się zatrzymać go w Turowie. O mnie pan mąż nie dba, byle Adolfek był z nim — mówiła Nina, zarzucając na siebie szlafrok. Wzięła syna na rękę i patrzała z taką miłością w twarzyczkę dziecka, że pan Gustaw mógł istotnie być o tę miłość zazdrosny. Macierzyństwo dodało jeszcze Janinie wdzięku, wypiękniała, a więcej może wyszlachetniała przy staraniach o męża i syna, bo życie Niny im tylko było oddane; nie straciła jednak dawnej swobody i dowcipu.

— Chodź, chodź, Kociu — wołali z ogrodu moi bracia — chodź zobaczyć, jakie baby i placki upiekła na dzisiaj Marjanna. Nam tatko kazał wybrać najpiękniejsze jabłka i gruszki. Józef już je trzęsie. Idziemy po koszyki, bo Władzia nie chce nam swoich pozwolić, pakuje w nie kwiaty; bardzo potrzebne te chwasty! — wołał oburzony Kazik.

Musiałam więc oddać Adolfka niańce i iść z braćmi podziwiać przygotowania do dzisiejszej uroczystości, a potem zabrawszy Maniusię, pomagałam i ja robić bukiety, które miały zdobić mój stół weselny.

Tak, kochane czytelniczki, stół weselny, bo ob-

chodzono dziś w Lipowcach... wesele byłego... podlotka. Wasza dawna znajoma Kocia jest już od roku narzeczoną, ale postanowiła nie opuścić domu rodzicielskiego, póki nie nauczy swej siostrzyczki Władzi tego wszystkiego, czego ciocia Paulina i profesorowie nauczyli ją samą w Warszawie. Dobra zaś mama, pamiętając, że sama zbyt wcześnie poszła za mąż, żądała, abym odłożyła dzień mego ślubu do ukończenia lat dziewiętnastu.

— A kto był narzeczonym? zapytacie, chociaż pewno domyśliłyście się tego, czytając poprzednie rozdziały mego opowiadania, może nawet łatwiej, niż ja sama; długo bowiem nie mogłam zdać sobie sprawy z uczuć, zakłócających mój spokój. Wróciwszy z Warszawy do rodzicielskiego domu, pragnęłam gorąco znaleźć w pracy cel życia i zdaje mi się, że sumiennie spełniałam swoje obowiązki. A jednak tęsknota za wszystkiem, co się wiązało z moim pobytem w Warszawie i gorączkowe oczekiwanie listów, dawało do myślenia kochanym rodzicom. Starali się oni zbadać moje serce, ale ja go sama nie rozumiałam, owszem robiłam sobie gorzkie wyrzuty, bo skoro Bóg obsypał mnie swemi skarbami, za czemże więc jeszcze tęskniłam?

Aż raz, w pamiętną mi na zawsze niedzielę, poczta przyniosła dwa listy; jeden był do moich rodziców, drugi do mnie, a w kilka dni potem przyjechał ten, który w tych listach tak wymownie wypowiedział swoje uczucia i.... panna Kocia została narzeczoną doktora Wacława Sulskiego.

Szczęśliwą narzeczoną! Czułam się nią w całem tego słowa znaczeniu; szczęśliwą wzajemnem uczuciem, szczęśliwą także przywiązaniem, jakiem pan Wacław darzył moją rodzinę. Rodzice pokochali przyszłego zięcia, rodzeństwo szwagra, a my przypominaliśmy sobie dzieje i wspomnienia Warszawy. Chociaż więc mama z moich listów wiedziała wszystko, opowiadaliśmy jej znowu o spotkaniu naszem na raucie u państwa Waniewskich, o burze, jaką dostałam od cioci Pauliny za wesołą z panem Wacławem rozmowę i o wszystkich wspólnie odczutych wrażeniach, od teatru amatorskiego aż do przygody w Krynicy. Ta ostatnia zwłaszcza była przedmiotem częstych rozmów i żartów. Władzia utrzymywała stale, że umiałaby lepiej bronić godności podlotka i nie uciekałaby na oślep przed mniemanem niebezpieczeństwem.

— I nie bałabyś się nawet rozbójników?...

— Prawdziwych być może, ale...

— Ale ja to między bajki włożę — odpowiadałam siostrze słowami Krasickiego, a ona mściła się na mnie, prześladując żartami, kiedy zbyt niecierpliwie wyglądałam listu z Warszawy.

W Warszawie bowiem mieszkał i nadal mój narzeczony, w Warszawie też miałam mieszkać już całe życie ja, wieśniaczka, tak niechętnie opuszczająca Lipowce dla miasta. Ale czułam, że poszłabym na krańce świata z wybranym mego serca, któremu jak synowi błogosławili moi rodzice, powierzając mu spokojnie swą kochaną starą.

W Warszawie czekała na mnie ciotka Paulina, ona to miała nas witać chlebem i solą w nowem naszem mieszkaniu.

Przez chwilę cieszyłam się, że będę widywała znowu moją kochaną Marynię; ale uciecha nie trwała długo, bo i ją miałam wkrótce utracić. Marynia, bawiąc u nas w Lipowcach przez dwa miesiące, poznała brata kuzynki Klarci, pana Jana Mrockiego. On pokochał moją drogą przyjaciółkę i dzień dzisiejszy, dzień mego ślubu, miał być zarazem dniem zaręczyn Maryni.

Zamieniłyśmy się więc na role: Mimi zostawała wieśniaczką, a ja Warszawianką. Ale projektów naszych nie zmieniłyśmy: teraz ona wyrabiać będzie przetwory owocowe, a ja sprzedawać je; chcemy wytrwać w naszych zamiarach zarobkowej pracy. Marynia zaczęła się też uczyć od mego ojca, jak radzić sobie należy z ogrodem i suszeniem owoców. Jestem pewna, że będzie z niej wyborna wiejska gosposia, bo Warszawianki często łączą wykwint i towarzyskie przymioty z zabiegliwą praktycznością. Miałam tego dowód na pannie Jadwidze Waniewskiej. Ona także po wyjściu za mąż zamieszkała na wsi i słynie w całej okolicy z przymiotów dzielnej gospodyni.

Skończyłyśmy robić bukiety, zabrał je do pokoju pan Edward i przyszły jego szwagier, p. Mrocki.

Szłam za niemi z siostrami i Marynią, kiedy zaturkotało od wsi i na dziedziniec wjechały dwa powozy. Wiedziałam, kto przybywał, więc też serce zastu-

kało mi radośnie i niespokojnie. To pan Wacław przywiózł z kolei swą rodzinę; on sam bawił w Lipowcach od tygodnia, a dziś przyjeżdżali jego rodzice i bracia, a także matka Maryni. Miałam więc poznać rodzinę mego narzeczonego, dotąd znałam ją tylko z wzajemnych listów.

— Czy potrafię pozyskać ich serca? — myślałam wzruszona, idąc naprzeciw przybyłym.

Mama wzięła mnie za rękę i podprowadziła do matki pana Wacława.

— Oddaję wam moją córkę, prosząc Boga, by potrafiła zasłużyć na waszą miłość i błogosławieństwo — powiedziała kochana mama; a mnie objęły ręce moich przyszłych drugich rodziców, którym z głębi serca obiecywałam być wdzięcznem dzieckiem.

Tak się odbyła ta ważna chwila. Witałam potem braci pana Wacława, gdy Klarcia tymczasem obsypywała grzecznościami rodziców Maryni. Narzeczony jej był sierotą, cieszyła się więc moja kuzynka, że brat jej znajdzie w rodzinie Maryni oddane sobie serca.

Lipowce wyglądały tak świątecznie, jak nigdy, rozszerzyły się ściany starego dworku, było gwarno, serdecznie, wesoło przy śniadaniu, które zastawiono przed domem. Cudny jesienny dzień nie popsuł jadalni zaimprowizowanej w ogrodzie, bo ta, w której jadaliśmy zwykle, z trudnością pomieściłaby tyle osób.

Klarcia i Janina dzielnie pomagały mamie w trudach około przyjęcia gości. Potem Janina ubrała

nas obie z Marynią. I znów, jak niegdyś na owym pamiętnym raucie u państwa Waniewskich, miałyśmy jednakowe białe suknie, tylko mnie zdobił teraz welon ślubny, podczas gdy Klarcia oddawała Maryni zaręczynowy pierścionek, pamiątkę po swej matce.

A co dalej zapytacie? — Dalej?... Przyklękliśmy oboje z panem Wacławem przed naszemi rodzicami, prosząc o ich błogosławieństwo. O, ta chwila zostanie mi na zawsze pamiętną, chociaż nie potrafię jej opisać. A potem odbył się nasz ślub w skromnym wiejskim kościołku.

I na tem skończę opowiadanie dziejów podlotka, kończę zaś życzeniem, by los wasz był równie jak mój szczęśliwy, byście z pod opieki troskliwych rodziców przeszły pod skrzydła dobrej ciotki Pauliny, a potem dobrego męża.

Pamiętajcie jednak radę, jaką daje Ś-ty Paweł niewiastom: «Niech się ćwiczą w roztropności, niech męża i dzieci swe miłują, niech będą czyste, domu pilnujące, dobrotliwe».

A ten sam Ś-ty Paweł mówi jeszcze: «Ducha nie gaście!»

I tego przykazania strzeżcie przedewszystkiem, wy nieznane siostry moje, które to czytać będziecie.

KONIEC.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

SŁOWO DO CZYTELNICZEK.

Czytając ciekawe i nauczające opowiadanie pani Klementyny Helm, przyszła mi myśl przyswojenia go wam, kochane moje polskie dziewczęta. Znajdziecie w tej książce dużo przestróg z własnego mego zaczerpniętych doświadczenia.

Kocia była żywym, roztrzepanym podlotkiem, który przez nieuwagę ściągnął na siebie wiele nieprzyjemnych przygód. Miała jednak szlachetne serce i wytrwałość w dążeniu ku dobremu, to też... ale nie uprzedzajmy wypadków, niech Kocia sama opowiada wam swoje dzieje, ja proszę tylko o pobłażliwość dla mojej bohaterki. Wychowana na wsi wśród licznej rodziny i przy słabowitej matce, nieraz rumienić się musiała za niewłaściwe obejście, bo co uchodziło młodziutkiej Koci w domu, to nie mogło być stosownem dla

podlotka, wstępującego pod skrzydłem cioci na świat warszawski.

Powoli jednak nauczyła się panienka, co wypada, a co nie wypada, i nabierała wdzięku, zdobiącego każdą dobrze wychowaną kobietę. A nie był to wdzięk powierzchowny, osłaniający pustkę serca lub głowy, lecz właśnie promienienie przymiotów duszy i umysłu, których posiadanie zdradzać się zwykło przez harmonję usposobienia i urok obejścia.

Tej harmonji i tego uroku pragnę dla was, kochane czytelniczki, polecając pannę Kocię waszej życzliwości.

ŚPIEWY GRY I ZABAWY

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY.

Gry i zabawy towarzyskie w pokoju i na dworze z przyrządami i bez przyrządów, 200 gier z 80 obrazkami. Zebrała i ułożyła *Marja Weryho*, w oprawie — 90

Śpiewy i zabawy dziecięce w pokoju i w ogrodzie. Gry, marsze i śpiewki z towarzyszeniem fortepianu oraz gry w piłkę i gry towarzyskie zebrała i ułożyła *Marja Weryho*. Wyd. III, kart. — 90

Lutnia dziecięca. 34 piosenek, marszów i zabaw, z towarzyszeniem fortepjanu, p. *Jadwigę Chrząszczewską i F. Ginejko*. Wydanie III, kop. 60, w opr. — 75

Szopka. 16 piosenek charakterystycznych. Wiersz *Or-Ota*, muzyka *Ai-Ara*, z 16 rysunkami *A. Piotrowskiego*. Łatwe piosenki, które dzieci mogą wykonywać w odpowiednich przebraniach — 40

Mały śpiewnik dla dzieci. 33 piosenki z towarzyszeniem fortepjanu, ułożone dla małych dzieci przez *Helenę Bojarską* — 60

Młody pieśniarz. 24 piosenki, skomponowane do słów M. Konopnickiej, Or-Ota i in., p. *M. Chełmońską* — 60

Śpiewnik dla dzieci. Cztery pory roku. 50 piosenek z towarzyszeniem fortepjanu. Słowa *M. Konopnickiej*, muzyka *Z. Noskowskiego*. Wyd. II w opr. 1 50
w opr. ozd. w płótno ang. 1 75

Młody lirnik. Piosenki wybrane z Chopina, Kurpińskiego, Reineckego oraz innych kompozytorów, ze słowami W. Rapackiego. Część I dla dzieci — 60
— — Część II dla młodzieży — 90

Piosnki dla dzieci wybrane z książek *M. Konopnickiej*, ułożone do śpiewu przez *St. Niedzielskiego*. po — 25
1) Rankiem. 2) Piosnka w kuźni. 3) Dwie sieroty. 4) Nasz domek. 5) Co robią ptaszki. 6) Janek. 7) Wieczorny pacierz. 8) Dziadek. 9) Druciarczyk. 10) Wieczorem. 11) Mały trębacz. 12) Piosnka majowa.

Gwiazdka. Wiązanka kolęd, ułożona przez *Z. Noskowskiego*; do śpiewu kop. 40, na fortepjan na 2 ręce kop. 30, na fortepjan na 4 ręce — 40

Powrót Taty. Opera ballada *H. Jareckiego*. Modlitwa dzieci (duet) — 30

Jaś i Małgosia. Baśń muzyczna *E. Humperdincka*. 1. Będziem tańczyć (duet) kop. 40. 2. Modlitwa (duet) kop. 30. 3. Gąski (duet) — 30

KSIĄŻKI DLA DZIECI OD LAT 8—12.

Książka dla Tadzia i Zosi. Opowiadania na tle swojskim i historycznym napisała *Marja Konopnicka.* Z rycinami, w opr. kart. 1 —
— — w opr. ozd. w płótno angielskie 1 40

Wiersze i deklamacje. 150 wierszy i ustępów poetycznych, wybranych dla młodzieży, przez *Marję Halinę.* 250 stronic, w ozdobnej oprawie — 75
— — w ozdobnej oprawie w płótno angielskie 1 20

Bracia i siostry. Powiastki dla dzieci do lat 10, przez *Ursyna,* z 4 rycin. kolor., w ozdob. oprawie. 1 50

Moje dzieci. Opowiadanie mamusi, przez *A. Domańską.* Z 6 rycinami, w ozdobnej oprawie 1 —
— — w ozdobnej oprawie w płótno angielskie 1 40

W Woli Tenczyńskiej. Opowiadanie dla młodzieży, przez *A. Domańską.* Z 4 rycinami, w oprawie 1 —
— — w oprawie ozdobnej w płótno angielskie 1 40

OPOWIADANIA FANTASTYCZNE.

O Krasnoludkach i o sierotce Marysi. Opowiedziała *M. Konopnicka,* wyd. II, z 8 kolorowemi rycinami, licznemi winjetami i inicjałami ozdobnemi, w oprawie ozdobnej 2 40
— — Wytworne wydanie na papierze kredowym w ozdobnej oprawie 3 50

Przy domowem ognisku. Baśnie i podania oryginalne i naśladowane, przez *J. Warnkównę,* z 8 rycinami kolorowemi, w ozdobnej oprawie 1 20

Pozdrowienie z pól i lasów. Powiastki z czeskiego, przez *J. Warnkównę,* z 8 rycin. kolor., w ozd. opr. 1 —

Listki z drzewa czarodziejskiego. Opowiadania *K. Glińskiego,* z 4 rycin., w ozdob. oprawie kolor. — 80

Zwierzęta mówiące. Opowiadanie dla dzieci, przez *Wł. L. Anczyca,* z 4 kol. ryc. Wyd. III, w ozd. opr. — 80

Zaklęte krainy. Baśnie czarodziejskie. I. Mocarz wód.— II. Noc letnia, n. *J. Osęka.* Z ryc. kol., w opr.— 55

ZAJMUJĄCE CZYTANKI.

Powiastki dla młodzieży przez *Al-Ara, A. Staśnego, Zb. Kamińskiego, Antoszkę, A. Lubicza i E. Trojana.*

1. W pobliżu bieguna.
2. Na pustyni Saharze.
3. Wychowaniec gajowego.
4. Balonem nad Australją.
5. Król puszty węgierskiej.
6. W dziewiczych lasach Ameryki.
7. Córka osadnika.
8. W podziemiach ruin.
9. Z wieków średnich.
10. Syn rycerza.
11. Opatrzność Boska.
12. U ojca chrzestnego.
13. Dziesięć dni na tratwie.
14. Z młodości dziadunia.
15. Między Wilkami a Indjanami.
16. Mały bohater.
17. Rodzina Kamieniarza.
18. Strzelec alpejski.
19. Błędne ogniki.
20. Słoń elektryczny.
21. Zaklęta królewna.
22. Kominiarczyk.
23. Robinson na oceanie Spokojnym.
24. Balon tajemniczy.
25. Wdzięczność niewolników
26. Babunia i Marysia.
27. Dziewica jeziora.
28. Najazd Niemców.
29. Dwaj rycerze.
30. Mały grajek.
31. Czarna Perła.
32. Hrabia i pastuch.
33. Stary grabarz.
34. W lochach zamczyska.
35. Przygody chłopców w Afryce.
36. Na samotnej wysepce.
37. Ucieczka z osady indyjsk.
38. Wzburzenie w Indjach.
39. Córka młynarza.
40. U Chińczyków.
41. Przeciw Turkom.
42. Portret ojca.
43. Pogromca zwierząt.
44. W piwnicy zamkowej.
45. Z wojen husyckich.
46. Piet, bohater burski.
47. Jaskinia w kopalni.
48. Spiskowcy.

Każda książka w kolor. okładce z obraz. po 12 kop.

TEATRZYK DLA MŁODZIEŻY.

Zbiór komedyjek do przedstawień domowych

1. Amator przygód.
2. Kajtuś plotkarz.
3. Skąpiec.
4. Uczony.
5. Łakomca.
6. Niczego się nie boję.
7. Strachy.
8. W cudzych piórkach.
9. Złośnica.
10. Próba.
11. Panna Ciekawska.
12. Jest to cnota nad cnotami trzymać język za zębami
13. Naszyjnik babuni.
14. Dożynki.
15. Śnieżka
16. Dwie Marysie
17. Fałszywy książę

Każda komedyjka po 20 kop.

MOJA BIBLJOTECZKA

POWIASTKI I OPOWIADANIA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

Każda książka ozdobiona obrazkami, w opr. karton.

A) POWIASTKI I OPOWIADANIA DLA MŁODSZYCH.

1. **Chata wuja Toma.** Opowieść o losie niewolników, podług *Henrietty Beecher Stowe* — 55
2. **Czerwony domek.** Opowiadanie p. *A. Hoffmana* — 55
3. **Don Kiszot z La Manczy i jego przygody.** Podług *M. S. Cervantesa*, dla młodzieży streścił Zb. Kamiński — 55
4. **Podróże Gulliwera do liliputów i olbrzymów.** Podług *J. Swifta*, dla młodzieży nap. Zb. Kamiński — 55
6. **Stach Bartnik.** Opowiadanie bajeczne. — 55
10. **Za siedmiu górami.** Baśnie i klechdy — 55
11. **Dobre dziewczynki.** Powiastki i opowiadania przez *Teresę Jadwigę* — 55
12. **Bajki Andersona,** opracował *Zb. Kamiński* — 55
21. **Marchewka.** Przygody małego chłopczyka. Powiąstka z 36 rycinami, w oprawie — 55
23. **Turkusik, Rubinek i Perełka.** Powiastka dla małych dzieci, przez *Z. Budziszewską*, z 48 ryc., w opr. — 60
31. **Kocia mama i jej przygody,** z własnych wspomnień opisała *Marja Bujno* z licznemi obrazkami — 65
36. **Opowiadania babuni** dla kochanych wnucząt, podług B. Schuman, nap. *A. Domańska*, z 42 rys. L. Ilinicza — 55
37. **Nowe opowiadania babuni** dla kochanych wnucząt, napisała *A. Domańska*, z 40 rysun. L. Ilinicza — 65
40. **Na wakacjach w Zalesiu.** Opowiadanie dla dzieci, napisała *Marja Bujno*, z 27 rycinami — 65
41. **Pamiętnik Stacha.** Opowiadanie dla dzieci, napisała *Marja Bujno*, z 20 rycinami 65
45. **Bohater Pawełka — Krzesełko Karolka — Polowanie na lisa — Pioszczoszka.** Powiastki, n. *M. Strebejko*, z 13 obr. — 55

B) OPOWIADANIA NA TLE PRZYRODY.

25. **Takie sobie bajeczki.** Wybór z *Rudyarda Kiplinga*, z 33 rycinami, w oprawie — 60
52. **Strzępouch, Matka Liszka, Srebrnoplamik.** Opowiadania z życia zwierząt napisał *G. S Thompson*, tłumaczyła M. Arct-Golczewska, z licznemi rysunkami — 50
53. **Opowiadania prawdziwe i fantazyjne na tle przyrody.** Przez *K. Ewalda*, z licznemi rycinami — 50